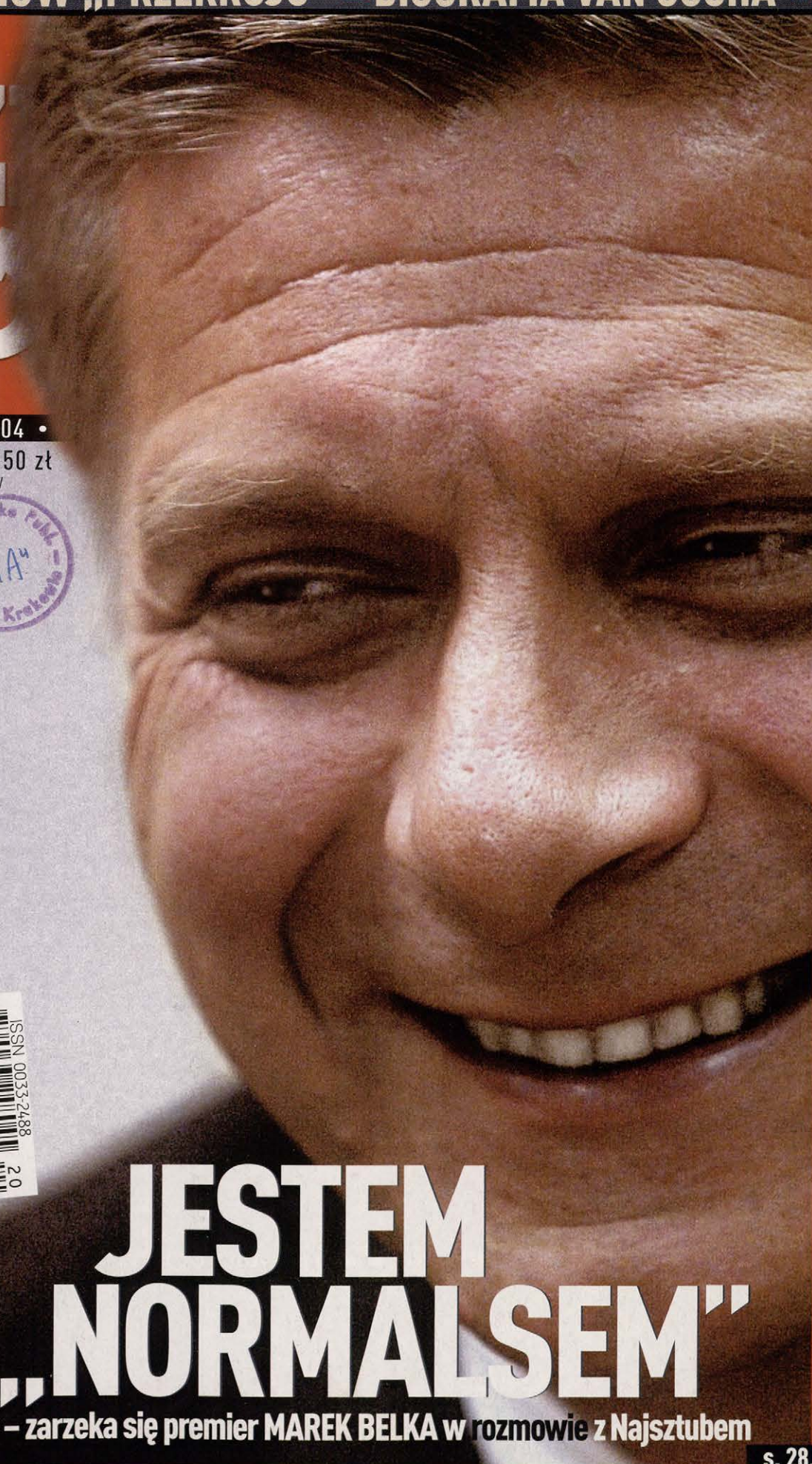



PRZ KRO




Nr 20 / 3073 • 16 maja 2004 •

• cena 4,50 zł
/w tym 7% VAT/

EL GRECO
WCIĄŻ
AWANGARDOWY
s. 66.



**OSTATNI
WYWIAD**
Z WALDEMAREM MILEWICZEM
s. 6.



**POLICJA
ZABIJA!**
Kto poniesie
odpowiedzialność?
s. 14.

ISSN 0033-2488
9 770033 248045
20

JESTEM „NORMALSEM”

– zarzeka się premier MAREK BELKA w rozmowie z Najsztabem



Opel. Twórcze myślenie –
lepsze samochody.

Tak, potrafi ugryźć



Nowy Opel Astra. Uwierz swoim oczom.

na Czwartek **RACZKOWSKI**



w tym tygodniu **NIE PISZEMY:**

...o tym, że Aleksandra Jakubowska przestała być sekretarzem stanu w kancelarii premiera i szefem Gabinetu Politycznego Prezesa Rady Ministrów. Bo zanim zaczniemy chwalić premiera Marka Belkę za słuszny kierunek, poczekamy, aż naprawdę zostanie premierem i zrobi coś naprawdę ważnego.

...o szefie Samoobrony, który zaprosił do siebie Romana Jagielińskiego (szefa Partii Ludowo-Demokratycznej) i przewodniczącego Krajowej Partii Emerytów i Rencistów Tomasza Mamińskiego. Lepper zapowiedział, że będzie namawiał gości, „żebyśmy zrobili wszystko, aby żaden rząd nie został powołany i abyśmy pomyśleli już o przyszłych wyborach do naszego parlamentu”. Bo wciąż

liczymy na roztropność naszych obywateli i na to, że zrobią wszystko, żeby o przyszłym Sejmie ci trzej nie mogli mówić „nasz”.

...o zapowiedzi szefa Sojuszu Lewicy Demokratycznej Krzysztofa Janika, że jesienią zrezygnuje z kierowania partią. Jego zdaniem ostatnie sondaże wyborcze sprawiły, że twarz lewicy się zmienia: „Jest coraz mniej pewna siebie”. Bo nie takie już rzeczy zapowiadał Janik publicznie, a potem wszystko szło po staremu.

...o czterech Indianach z Arizony uczących strażników granicznych z Warmii i Mazur, jak tropić nielegalnych imigrantów. Bo zastrzeżeń nie mamy, teraz czekamy na ekipę z Australii, która

nauczy naszych pograniczników rzucania bumerangiem. Wyjdzie tańsze uzbrojenie.

...o akcji, jaką w formie happeningu przeprowadziła Amnesty International w Łodzi. W ramach światowej kampanii „Stop przemocy wobec kobiet” członkowie AI rozwiesili przy ulicy Piotrkowskiej plachty materiału. Na białych obrysowywane były dłonie osób popierających kampanię, a na czarnej zamieszczono informacje o przemocy wobec kobiet. Organizatorzy wysłali plachty z obrysowanymi dłońmi do placówek dyplomatycznych krajów, gdzie łamane są prawa kobiet, np. do Suazi w Afryce. Bo choć cele akcji niewątpliwie chwalebne, to jej forma całkiem niedorzeczna.

CYTAT tygodnia

Podziwiam go za to, że będąc człowiekiem z nizin, własną pracą wspiął się na wyżyny

ADAM MICHNIK
o Leszku Millerze



hyde park

MŁODY, MYŚLĄCY CZYTELNIKU!

Oddajemy Ci stronę w „Przekroju”. Zapraszamy do hyde parku, gdzie opublikujemy każdą ciekawą, kontrowersyjną, ważną opinię (ocenia, ale nie cenzuruje, Piotr Najsztub). Piszcie do nas!

6 POWIĘKSZENIA
Ostatni wywiad z Waldemarem Milewiczem; Nie dzwońcie na policję

20 PRZEKRÓJ TYGODNIA
– wiadomości krajowe i zagraniczne

25 ODESZLI

26 KOMENTARZE

27 RACZEJ RACZKOWSKI

NAJSZTUB PYTA

28 „CZASOWNIK”
– Czasami, jak już nie można inaczej, to trzeba poleć, ale dopóki jest szansa na przeżycie, to trzeba ją wykorzystywać – twierdzi nowy premier Marek Belka

GORĄCY DOKUMENT

32 PODWODNE TRUMNY ATOMOWE
Awaria reaktora w atomowej łodzi podwodnej może kosztować życie milionów osób. A większość pływających okrętów podwodnych to wraki

NOWE ZAWODY

36 BANKOWCY UDERZAJĄ PRZED POŁUDNIEM
Wyspecjalizowani złodzieje czyhają na nas w bankach

40 OPINIA
Ciesz się, Zachodzie

LUDZIE

42 WIRUS PAWLAKA
Waldemar Pawlak zaprogramował się na wielki powrót

46 ATAK WOODWARDEM
Znany bezkompromisowy dziennikarz stał się pupilkim Białego Domu

53 ŚWIECĄ LUB SPADAJĄ

HYDE PARK – STRONA

CZYTELNIKÓW

54 NIE ZGADZAM SIĘ
Dlaczego tak łatwo godzimy się na odejście pokolenia ludzi, którzy walczyli o wolną i demokratyczną Polskę? Dlaczego oni tak łatwo rezygnują z dalszego wysiłku odpowiedzialności?

NAUKA

56 ŻEBYŚ WIEDZIAŁ

58 EFEKT STARSZEGO BRATA
Geje orientację seksualną zawdzięczają starszym braciom i... uczuleniu

60 KRZYWA CZASOPRZESTRZENI
Nowy satelita ma udowodnić teorię Einsteina

62 INSPEKTOR GADŻET

SPORT

64 DO UNII Z POMP(K)A
Właśnie trwa Wyścig Pokoju! Ale czy ktoś o tym wie?

PATRZĄC I CZYTAJĄC

66 EUREKA EL GRECA
Zdrowy, dobrze widzący, pracowity biznesmen i geniusz

74 LISTY

75 TYDZIEŃ – KULTURALNIE POLECAMY

76 WYSTAWA RYSOWNIKÓW „PRZEKROJU”

78 FILM – „Troja”

80 MUZYKA – Skalpel

82 KSIĄŻKI – Paul Auster „Księga złudzeń”

84 TEATR – nowy spektakl Kazimierza Kutza

86 TELEWIZJA – Jak żyć bez „Przyjaciół”?



Fot. COBBIS/FREE

ROZMAITOŚCI

88 Kulinarne PIÓRO Polski; Winny **BIEŃCZYK**; krzyżówka, jolka

90 Zalewajka KAZIMERZA KUTZA

66

El Greco – praojciec sztuki nowoczesnej

Czy odkrycie biologicznych podstaw homoseksualizmu zapewni godność i równouprawnienie gejom i lesbijkom?

Klub Trójki, 13 maja, godz. 21.05. Zaprasza **Jerzy Sosnowski**. Gościem będzie **Olga Woźniak**, szef działu nauki „Przekroju”

Trojka - usłyszysz więcej...



Fot. MARIUSZ SZACHO/FORUM



Inspektor Gadżet

62



DLA FIRM

Sony Ericsson P900

1199 zł
1462,78 zł z VAT

z wbudowanym aparatem fotograficznym



Samsung D410

399 zł
486,78 zł z VAT

z wbudowanym aparatem fotograficznym



Nokia 6600

399 zł
486,78 zł z VAT

z wbudowanym aparatem fotograficznym



Powyższe ceny telefonów obowiązują dla planów taryfowych Idea Top Firma 200 i 400. Telefony są dostępne w zależności od stanów magazynowych.

Biuro w Twoim telefonie

Wybierz nowoczesny i bogato wyposażony telefon, który zapewni Ci prestiż i swobodę komunikacji niezależnie od tego, jak daleko będziesz od swojego biura. Już dziś skorzystaj ze specjalnej oferty Idei dla Firm, a otrzymasz:

- Dodatkowy pakiet minut na połączenia wewnątrz sieci Idea,
- Pakiety Firmowe GPRS - 50% taniej przez 6 miesięcy,
- SMS-y za 0,10 zł, a MMS-y tylko za 0,20 zł netto.

Bądź w biznesie o krok do przodu z Ideą dla Firm!

Oferta jest dostępna we wszystkich punktach sieci Idea i Telepunktach. Szczegóły oferty w regulaminie promocji. Informacja Handlowa dla Firm: 0 801 100 501; Koszt połączenia: 1 jednostka taryfikacyjna wg cennika TP SA; www.idea.pl

IDEA

Łączy Cię z ludźmi

powiększenie

WALDEMAR MILEWICZ: – JADĘ DOWIEDZIEĆ SIĘ, KIM SĄ LUDZIE Z FALLUDZY, DLACZEGO PODKŁADAJĄ BOMBY I DOKONUJĄ SAMOBOJCZYCH ZAMACHÓW



Fot. POLARIS/EAST NEWS



Fot. ADAM KOCON/SUPER EXPRESS

Ostatni wywiad Waldemara Milewicza, 30 kwietnia 2004 r.

MARTA GRZYWACZ: Na długo jedziesz do Iraku?
WALDEMAR MILEWICZ: Na dwa tygodnie. I to jeszcze – jaja jak berety – wymyśliłem sobie, że pojedzie ze mną Arab. Jest u nas montażysta, Algierczyk, który zna doskonale arabski i polski, bo już długo tu mieszka.

Dobry pomysł.

– Tak mi się właśnie wydawało. Najczęściej trafia się na przypadkowych tłumaczy. Współpracowałem z jednym, aż ktoś mi zwrócił uwagę, że facet na ekranie mówi coś zupełnie innego niż to, co jest tłumaczone. Tłumaczył zupełnie farmazony. Więc tym razem pomyślałem, że wezmę człowieka stąd. Nie chciałbym zapeszać, bo może będzie znakomity, ale trochę zastanawiam się, czy dobrze zrobiłem. Już dwa razy do mnie dzwonił, chcąc odwoływać współpracę, bo rodzina płacze i umiera ze strachu. Ale kiedy mu zrobiłem awanturę – „albo jesteś poważnym człowiekiem, albo dzieckiem” – wtedy się zgodził. Nie chcę przytaczać tej rozmowy, w każdym razie była ostra i obfitowała w różne nieparlamentarne wyrazy.

Wyjeżdżasz na wojnę i nie zastanawiasz się, z kim będziesz rozmawiać, tylko martwisz się najpierw o własne bezpieczeństwo?

– Szarpimy się z naturą rzeczy martwych. A te są najbardziej złośliwe. Oczywiście bezpieczeństwo jest ważne i ciągle się o tym myśli, nawet jak się człowiek do tego nie przyznaje. W końcu nikt nie jest samobójcą i ciągle waży każdy krok – czy należy go wykonać, czy nie, czy się cofnąć, czy zrobić krok do przodu, bo w końcu własny tyłek jest najważniejszy. Ale zawsze będę mówił, że najważniejszy jest program.

Chyba po to go robisz?

– Gdybym nie wyjeżdżał, przestałbym robić to, co lubię, i liczyć się w tej pracy. A to, co lubię robić, wiąże się z pewnym ryzykiem. Podczas tego wyjazdu na przykład ryzyko jest ogromne.

Dlaczego?

– Bo wojna nie jest tak ryzykowna jak to, co dzieje się w tej chwili w Iraku. Dziennikarz na wojnie nigdy nie jest celem. Jesteś świętą krową, samochód opisany, kamera. A w Iraku jesteś celem – cywil, biały. Najpoważniejsze agencje poodwoływały z Iraku wszystkich białych ludzi. Z kamerą pracują tylko Arabowie.

To po co jedziesz?

– Ktoś musi to zrobić. Jeśli my od miesiąca ilustrujemy incydenty z udziałem polskich żołnierzy zdjęciami Reutersa, to trochę wstyd. Do spraw, w których biorą udział nasi żołnierze, trzeba mieć swoje zdjęcia. Dlaczego ma nam to filmować jakiś Arab czy Anglik?

Nalegałeś, by cię tam posłali, czy cię poproszono?

– Nikt mi nie złożył takiej propozycji. Ostatni raz byłem w Iraku w maju zeszłego roku, jak się skończyły działania wojenne. We wcześniej obsługiwałem całą wojnę. Byłem pierwszym dziennikarzem, który wjechał do Iraku. Wojna się zaczęła w nocy 20 marca, a ja wieczorem tego dnia przekroczyłem granicę Kuwejtu z Irakiem. Ale wtedy były zupełnie inne warunki. Była linia frontu i jeśli się jej nie przekraczało, człowiek czuł się w miarę bezpiecznie. Nie było zamachów, nie było tego polowania na białych, na cudzoziemców.

Czyli jedziesz na własną prośbę?

– Tak, sam to postanowiłem. Mam program, który muszę wyprodukować i wypełnić. Jestem ciekaw mechanizmów, które obserwujemy – dlaczego szybciej tego radykała Muktady as Sadra postanowili walczyć? Przecież oni cierpieli najbardziej za reżimu Husajna. To jest ciekawa sprawa. Jadę, żeby znaleźć odpowiedź. Poza tym ciekawi mnie, kim są ludzie z Falludży, dlaczego walczą z Amerykanami, podkładają bomby, dokonują samobójczych zamachów. Czy oni w coś wierzą, czy oni wierzą w jakąś lepszą

przyszłość? Czy mają zielone pojęcie, o co walczą, czy są terrorystami, jak nazywają ich Amerykanie? Czy to może obcy najemnicy, którzy zostali przysłani przez Syrię, Iran? A jeśli to Irakijczycy, to w imię czego to robią? Mówimy o tym codziennie przez rok, ale nie bardzo wiadomo, o co w tym wszystkim chodzi. Brakuje prawdziwych analiz, bo pseudoanaliz pisanych przez ludzi, którzy nie ruszają się z fotela, jest sporo, ale są w większości nieprawdziwe. W tej chwili w Iraku nie ma dziennikarzy poza tymi, którzy siedzą w bazie i nie ruszają się z niej na krok.

A ty zamierzasz się ruszać poza bazę?

– Ja do bazy nie zamierzam w ogóle wjeżdżać. Chcę zobaczyć ten kraj rok po wojnie. Pojechać do Falludży, do Nadżafu, jeździć, rozmawiać z Irakijczykami, którzy walczą, i tymi, którzy się nie sprzeciwiają. Zobaczyć, jakie każdy z nich ma zdanie. Dziennikarze, którzy siedzą w bazie, mają inne zadanie – jak zdarzy się incydent z udziałem polskich żołnierzy na terenie bazy, to go opisują. Oni też są potrzebni, ale nie mogą formułować opinii na temat rzeczywistości poza bazą, bo jej nie znają.

Czy wyobrażasz sobie sytuację, kiedy trafiasz w ręce nieprzyjaciela?

– Zakładnikiem nigdy nie byłem i, mam nadzieję, nie będę. Nie zastanawiałem się nad tym, co miałbym powiedzieć porywaczom. Nie piszę sobie scenariuszy na taką ewentualność. Zapewniam sobie własne bezpieczeństwo, podejmując przemyślane decyzje oparte na kilkunastu latach doświadczenia. Wiem, a przynajmniej tak mi się wydaje, jak należy w danej sytuacji postąpić.

Umiesz strzelać?

– Umiem, ale nigdy nie robiłem tego jako korespondent wojenny.

Masz broń?

– Mam broń i mam pozwolenie. Natomiast nigdy jej nie używałem.

Ale nosisz ją przy sobie? Poruszasz się z bronią, kiedy jedziesz na teren konfliktu?

– No co ci będę mówił. Broń jest w bezpiecznym miejscu. Nie paraduję z pistoletem po mieście.

Słyszałam historie o dziennikarzach wojennych nadających relacje spod stołu w hotelu.

– Ja też o takich słyszałem. Z wielu różnych opowieści, najczęściej piwnych. Natomiast nigdy nie byłem świadkiem mistyfikacji, mimo że wielokrotnie spotkałem się z opowieściami na swój temat od „życzliwych” ludzi. „Ten Milewicz to lubi spektakle, z nim nie ma co jeździć, bo on udaje różne rzeczy”. Chętnie bym zaprosił takich, co to opowiadają, na wspólny wyjazd. Ci, co ze mną jeżdżą, wiedzą, że nie ma w tym żadnego picu. Jeśli chodzi o sprawy zawodowe, nie mam sobie nic do zarzucenia. Przysięgam przed Bogiem, że nigdy nie koloryzuję. Choćby nawet to się wydawało niewiarygodne. Zdarzają się historie, że sam się dziwię, jak z tego wyszedłem. Byłem kiedyś w Czeczenii z operatorem Andrzejem Wyglądałą. Kiedy upada pocisk moździerzowy, masz kilka sekund, żeby się ukryć, bo jak leci, to gwizdże. Słychać było gwizd i Andrzej wywrócił się z kamerą. Ale super się zachował, bo nie wyłączył kamery i widać, jak ta kamera koziółkuje. Przypadek sprawił, że obiektyw był skierowany na miejsce, gdzie ten pocisk się rozwalił. Spadł na łękę, my ukryliśmy się w lasku. Pocisk kopnął ziemię i rozerwał się jakieś 50 metrów od Andrzeja. Ktoś powie, oglądając takie zdjęcia, że to mistyfikacja.

Co ci przyświeca? Ambicja, misja?

– O misji nigdy nie myślałem.

Jeśli mówisz, że musisz to zrobić, to jest w tym rodzaj misji.

– Skoro już ktoś wybrał sobie drogę zawodową, to ona staje się sposobem na życie. Nie mówię o zarabianiu pieniędzy, bo one są w sumie marne.

Mam o tym pisać?

– A pisz sobie, mogę pokazać swoje zadłużone konta bankowe. Natomiast jest to jakiś sposób na życie i po 15 latach mogę powiedzieć, że im dłużej to robię, tym trudniej mi odpowiedzieć na to pytanie. To jest chyba suma tego wszystkiego, o czym wspomniałaś. I kwestie charakterologiczne – muszę coś ze sobą zrobić, muszę się sprawdzić, muszę być, muszę widzieć. Po prostu coś mnie pcha. Po drugie, ambicjonalne historie, po trzecie, strasznie lubię to, co robię, i nie wyobrażam sobie życia bez tego. I tak mnie czasami strasznie denerwuje to, co się dzieje w tej firmie, tak mnie szlag trafia, ale siedzę w niej, bo w innych stacjach telewizyjnych takich możliwości być może nie będę miał, bo trzeba na to sporą kasę wyłożyć. To nie jest taka dziedzina, którą każdy by hołubił. Taka praca, takie ryzyko – ktoś powie: świr. Ale ja świrem nie jestem, zresztą mam nadzieję, że moi najbliżsi też mnie za świra nie uważają. Mimo tych najgorszych rzeczy są wspaniałe chwile, które człowiek straszliwie przeżywa. Na przykład kiedy przychodzę do kogoś i mogę dać mu trochę nadziei, nadziei, że coś się zmieni. Bo ten człowiek rozpaczliwie tej nadziei potrzebuje.

Mówisz o ludziach, których spotykasz na wojnie? Jak dajesz im nadzieję?

– Zawsze istnieje wytłumaczenie pewnych trudnych spraw, których oni nie rozumieją, i zawsze można to tak sformułować, żeby człowiek nie upadał na duchu. I wielokrotnie to robiłem.

Powiesz coś więcej?

– Po co?

Zamiana programu z „Dziwny jest ten świat” na „Dziwny jest ten kraj” nie wchodzi w grę?

– Nie.

A czego nie pokazujesz telewizjom?

– Są rzeczy, na które sam nie mogę patrzeć, i nie wiem, jak operator to filmował. Na Bliskim Wschodzie miałem ostatnio taką historię. Człowiek został rozwalony ra-

kietą, zostały z niego strzępy, nie mogłem tego oglądać. Można opowiedzieć to samo, pokazując coś innego. Dawno już się przekonałem, że na widzach większe wrażenie robi zupełnie spokojny obrazek niż epatowanie okrucieństwem. Rozpacz na twarzy człowieka pozbawionego domu niż pokiereszowany człowiek.

Na ile zmieniło cię te 14 lat pracy? Nauczyło cię cynizmu czy raczej współczucia?

– Nie zauważam, żebym stał się obojętny na ludzkie cierpienie dlatego, że stykam się z nim częściej niż inni.

A kiedy siedzisz z przyjaciółmi przy piwie, to umiesz normalnie cieszyć się chwilą?

– Nie budzę się w nocy, nie mam koszmarów.

A normalne podróże cię jeszcze kręcą?

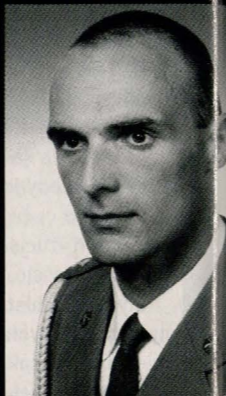
– Wakacje najchętniej spędzałbym w domu. Ale wiem, że osoba, z którą jestem, nie ma takich możliwości podróży jak ja, dla niej wyjazd to jednak frajda. Więc jadę, ale robię to niechętnie. Bo czuję głęboką niechęć do samolotów, lotnisk i hoteli. Cóż to za wakacje, skoro kojarzą się z pracą? Wakacje powinny być odmianą.

A jak już jedziesz, to wolisz leżeć na plaży czy zwiedzać?

– Mieliśmy jechać w tym roku do Francji. Chcieliśmy wypożyczyć barkę i przeprować się kanałami. To się nazywa barka, ale tak naprawdę to jest jacht motorowy. Płyniesz sobie, nie trzeba żadnych licencji, szkolenie trwa godzinę. To jest czynna forma wypoczynku. Nie znoszę wakacji organizowanych przez biura podróży. Nigdy na nich nie byłem. Jedziemy do jakiegoś kraju, tam wypożyczamy samochód, każdą noc spędzamy gdzie indziej. Jedziemy, gdzie nas oczy poniosą. Nie znoszę monotonii. Nie mam domu letniskowego, bo nie znośliłbym jeździć na wakacje w to samo miejsce. To by mnie chyba zabiło.

ROZMAWIAŁA MARTA GRZYWACZ,
 30 KWIEŃNIA 2004 R.

KAPITAN
SŁAWOMIR STRÓŻAK



STARSZY CHORAŻY
MAREK KRAJEWSKI



MOUNIR
BOUAMRANE



WALDEMAR
MILEWICZ



PO OSTATNICH WYPADKACH POLSKA NIE WYCOFA ŻOŁNIERZY Z IRAKU ANI NIE ZMNIJSZY KONTYNGENTU MIMO WCZEŚNIEJSZYCH ZAPOWIEDZI – MÓWI JERZY SZMAJZIŃSKI, SZEF MON

7 maja rano Waldemar Milewicz, montażysta Mounir Bouamrane i operator Jerzy Ernst z irackim przewodnikiem wyjechali z Bagdadu w kierunku Nadżafu. 40 kilometrów na południe pod małą miejscowością Mahmudii ciemne daewoo dziennikarzy dogonił cywilny samochód. Napastnicy zaczęli strzelać przez okno. Waldemar Milewicz zginął od razu, od pierwszej serii. Gdy samochód się zatrzymał, iracki kierowca i Mounir wyskoczyli z niego i próbowali ratować Milewicza. Napastnicy zawrócili i znowu otworzyli ogień. Walili do Polaków długimi seriami. Na ziemię przy otwartych tylnych drzwiach padł Mounir. Kilka godzin później anonimowy informator telewizji Al-

-Dżazira poinformował, że napad był zaplanowany i była to egzekucja.

WSZĘDZIE ROZPACZ

Waldemar Milewicz pracę w telewizji zaczął w czasie stanu wojennego w Biurze Współpracy z Zagranicą. Pomagał zachodnim ekipom telewizyjnym, które przyjeżdżały robić reportaże o Polsce. Organizował potajemne wywiady z Lechem Wałęsą.

W 1984 roku przeszedł do „Dziennika telewizyjnego”. Przyznał później, że prawdziwa robota dziennikarska zaczęła się jednak dopiero w 1989 roku, kiedy Jacek Snopkiewicz, szef TAI, wysłał go do Wilna, gdzie Rosjanie szturmowali budynek telewizji. Wkrótce widzowie zobaczyli Milewicza pod więzą wileń-

skiej telewizji, tuż przed szarżującym radzieckim czołgiem. Tak zaczęła się jego kariera korespondenta wojennego. Przez 15 lat jeździł po świecie, nadając z najbardziej zapalnych miejsc. Był w Afganistanie, Abchazji, Rwandzie, Somalii, Etopii i Kambodży. Udało mu się nawet przedrzeć do oblężonego Kosowa, a potem do Groznego w Czeczenii.

Miał charakterystyczny głos. Potrafił budować dramaturgię. Będąc w Afganistanie, pokazywał broń i mówił, za ile można ją tam kupić: „Wszędzie przemoc, narkotyki, rozpacz. Z Afganistanu dla »Wiadomości« Waldemar Milewicz”.

Mounir Bouamrane dzięki znajomości arabskiego miał pomóc Milewiczowi dotrzeć do ludzi, którzy organizują zamachy na woj-

ska koalicji, by poznać ich mentalność i zrozumieć nieprzejednaną postawę.

Bouamrane od kilkunastu lat pracował w TVP jako montażysta. Jego matka była Polką, ojciec Algierczykiem. Miał więc dwie ojczyzny: Polskę i Algierię. Bardzo się przejmował konfliktem irackim. – Nie potrafił się w tej sytuacji odnaleźć, on żył jakby między dwiema kulturami – wspomina go mieszkający w Polsce Algierczyk Sofuan Malti. – Przy nim nie można było krytykować ani Algierii, ani Polski – powiedział „Trybunie”. Mounir osierocił 13-letnią córkę.

NIE WYCOFAMY SIĘ

Dzień później z Iraku doszły kolejne tragiczne wiadomości. Od wybuchu miny i w wypadku samochodowym zginęło dwóch żołnierzy.

Kapitan Sławomir Stróżak dowodził patrolem. Przy drodze w Al-Imam zobaczył tajemniczy ładunek. Zatrzymał podwładnych i sam poszedł go sprawdzić. Wtedy nastąpiła zdalnie sterowana eksplozja. Komandos, który od 14 lat służył w 18. Batalionie Desantowo-Szturmowym, zginął na miejscu. Drugi z żołnierzy kierował ciężarówką, na którą pod Karbalą najechał inny iracki samochód. Auto kierowane przez Polaka stoczyło się z wysokiego nasypu. Starszy chorąży Marek Krajewski miał 34 lata. Brał już udział w zagranicznej misji w Syrii. Osierocił ośmioletnie bliźniaczki. To już czwarty żołnierz, który zginął w Iraku.

Polska Akcja Humanitarna zawiesiła w poniedziałek działalność w Iraku ze względu na bezpieczeństwo pracowników.

– Nadal będziemy dążyć, aby pomyślnie wypełnić naszą misję w Iraku – powiedział jednak premier Marek Belka. Tragedie nie wpłyną zatem na przyspieszenie daty wycofania polskich żołnierzy z Iraku. Mogą mieć jednak krytyczne znaczenie, jeśli chodzi o społeczne poparcie dla obecności polskich wojsk w Iraku.

– Poparcie maleje już od jakiegoś czasu – mówi socjolog Krzysztof Podemski z Uniwersytetu im. Adama Mickiewicza w Poznaniu. – Wpłynęły na to zamachy terrorystyczne w Hiszpanii oraz coraz więcej informacji o stosowaniu tortur wobec jeńców irackich. Śmierć znanego dziennikarza nawet bardziej niż śmierć kolejnych żołnierzy może być przełomem w negatywnym myśleniu o tej misji.

(JOGA, MW)



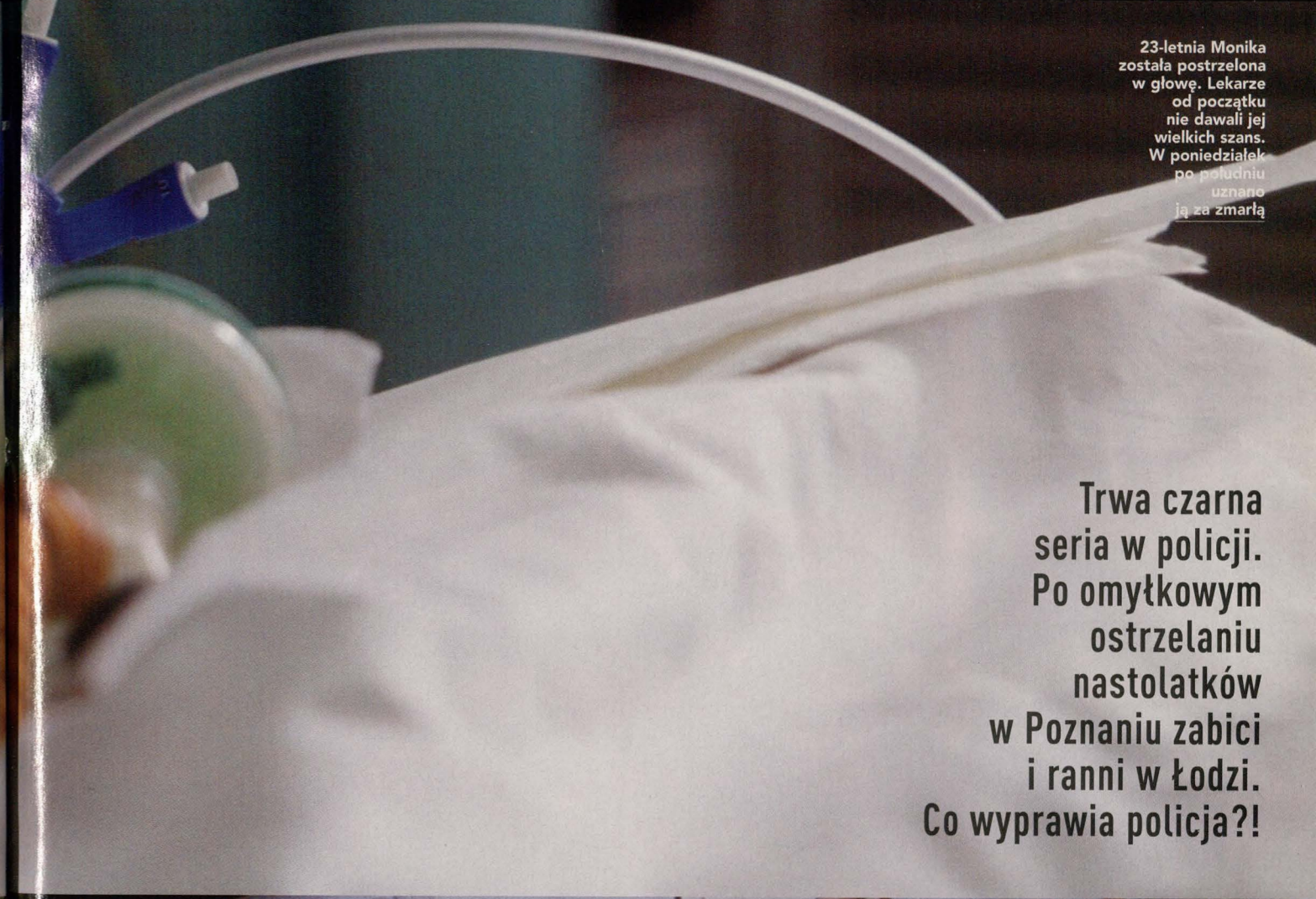
Fot. ALI HAI DEN/EPAP



Fot. TOMASZ GZELL/PAP

powiększenie

TRAGICZNY WYNIK ŁÓDZKICH JUWENALIÓW TO DZIESIĄTKI RANNYCH DWIE OSOBY ZABITE. ZASTRZELILI JE POLICJANCI, BO PRZEZ POMYŁKĘ DOSTALI OSTRĄ AMUNICJĘ



23-letnia Monika została postrzelona w głowę. Lekarze od początku nie dawali jej wielkich szans. W poniedziałek po południu uznano ją za zmarłą

Trwa czarna seria w policji. Po omyłkowym ostrzelaniu nastolatków w Poznaniu zabici i ranni w Łodzi. Co wyprawia policja?!



NIE
DZWOŃCIE
NA POLICJĘ

W stronę policjantów chuligani rzucali kamienie, butelki i płyty chodnikowe. Teren wokół akademików jeszcze długo po koncercie przypominał nohójnisko



Dzień po tragedii ulicami Łodzi przeszedł marsz solidarności z ofiarami wydarzeń. Wzięło w nim udział blisko pięć tysięcy osób

Kto jest winny łódzkiej tragedii? Czy zmiana na stanowisku szefa wojewódzkiej policji zapobiegnie podobnym tragediom w przyszłości, czy problem leży zupełnie gdzie indziej?



Monika Kelm (1981–2004)



Damian Tubura (1985–2004)

MINISTER SPRAW WEWNĘTRZNYCH ODWOŁAŁ SZEFA ŁÓDZKIEJ POLICJI JACKA STANIECKIEGO WCZEŚNIEJ DO DYMISJI PODALI SIĘ TAKŻE KOMENDANT POLICJI MIEJSKIEJ I JEJ ZASTĘPCA



Rodzina zabitego przez policję 19-letniego Damiana podczas marszu milczenia w Łodzi

NAJWIĘKSZE BŁĘDY POLICJI

24 czerwca 1999 r. W Warszawie protestują pracownicy Łuczniaka. Manifestacja zamienia się w regularną bitwę. Policja używa armatek wodnych i gumowych kul. Robert Sobkowicz, fotoreporter „Naszego Dziennika”, zostaje trafiony, traci oko. – To był nieszczęśliwy wypadek – mówi generał Ryszard Siewierski z Komendy Stołecznej Policji.

11 września 1999 r. W olsztyńskim urzędzie wojewódzkim doszło do strzelaniny. Wobec okupujących urząd rolników policjanci użyli gumowych kul. Ówczesny szef MSWiA Krzysztof Budnik przyznał, że działanie policjantów było lekkomyślne.

28 maja 2001 r. Nietrzeźwy mieszkaniec Kalisza został postrzelony przez policjantów w izbie wytrzeźwień. Przyczyna? Zachowywał się bardzo agresywnie, rzucając w stronę czterech funkcjonariuszy wszystkim, co znalazł pod ręką.

22 października 2001 r. Na klatce schodowej jednego z warszawskich bloków policjanci zauważyli mężczyznę podobnego do poszukiwanego listem gończym gangstera. Kiedy chcieli go wylegitymować, odepchnął policjanta i zaczął uciekać.

Funkcjonariusze ruszyli w pościg. Kiedy mężczyzna nie zareagował na strzał ostrzegawczy, jeden z policjantów trafił go w nogę. Po wszystkim okazało się, że postrzelony to nie żaden gangster, ale przypadkowa osoba podobna do niego.

14 stycznia 2002 r. W czasie koncertu Wielkiej Orkiestry Świątecznej Pomocy w Krakowie tłum młodych ludzi został brutalnie spacyfikowany przez policję. Na taśmie wideo zarejestrowano, jak jeden z funkcjonariuszy Tomasz M. kopie w brzuch i głowę zatrzymanych. Inny ciągnął za włosy po ziemi bezbronną dziewczynę.

27 maja 2002 r. Pijany kierowca zepchnął z drogi funkcjonariusza policji. Fiat wpadł do rowu, jednak nim to się stało, policjant zdążył wyskoczyć i w odwecie oddał strzał w kierunku samochodu. Trafił w opony. Później tłumaczył się, że bał się rabunku.

Noc z 6 na 7 maja 2004 r. W zatoczce przy autostradzie między miejscowościami Sadek i Sośnica policjanci zastrzelili mężczyznę, który kradł paliwo ze stojących na parkingu TIR-ów. (PN)

ZGODNIE Z WOLĄ ZABITEJ DZIEWCZYNY LEKARZE POBRALI Z JEJ CIAŁA NARZĄDY DO PRZESZCZEPY. JEJ SERCE BĘDZIE NADAL BIĆ, ALE W CIELE INNEGO CZŁOWIEKA

Wnocy z 8 na 9 maja na studentckim osiedlu w Łodzi trwały w najlepsze juwenalia. Wokół dwóch scen bawiło się kilka tysięcy studentów. Późnym wieczorem pod pierwszą sceną nadciągnęło około stu chuliganów wracających ze stadionu Widzewa. Rozżaleni porażką swojej drużyny dresiarze szukali okazji do rozróby. Przeszli pod akademiki przy ulicy Pomorskiej, zaczęli zaczepiać bawiących się studentów. – Bili każdego, kto im się nie podobał, a inni studenci nie reagowali – opowiada Aneta, studentka, która była na koncercie. Ochroniarze szybko się zorientowali, że nie poradzą sobie z rozproszonymi łobuzami. Wzwalali policję, ale nawet ona nie była w stanie zapanować nad przebiegiem wypadków. – Dresiarze działali bardzo sprytnie – opowiada Aneta. – Byli rozdzieleni na małe grupy, tłum studentów zasłaniał ich przed policjantami i tamci nie wiedzieli, kogo łąpać. Nie było typowej bójki z policją. Chuligani z daleka rzucali kamieniami i butelkami. Bezradność sił porządkowych była zadziwiająca. Przez kilka godzin dresiarzom nikt specjalnie nie przeszkadzał w demolowaniu bar-

ków z piwem i kradzieżach kas. Bezkarne lali pałami studentów, jedną z ofiar pocięli nożem. – Chłopak miał rozciętą całą jamę brzuszną. A nasz ochroniarz uciekł i zostawił otwartą akademik – opowiada Magda.

SALWĄ W TŁUM

Po godzinie 1 w nocy na miejsce zajęć przyjechały oddziały prewencji wyposażone w kasiki, tarcze i broń gładkolufową. Zamknięto ruch na ulicy, a policjanci przystąpili do pacyfikowania chuliganów. Strzelali gumowymi – jak im się zdawało – pociskami w tłum, także w uciekających w panice studentów.

– To było przerażające. Najpierw salwa, a potem kilkanaście osób pada na ziemię – opowiada z przejęciem Aneta. – Nie wiedzieliśmy, co się dzieje. Wszędzie było pełno krwi, nasz kolega opowiadał o chłopaku, który leżał w wątrobie na wierzchu. Jeszcze rano widziałam kałuże krwi i jakieś kawałki skóry, wnętrzości.

Gdy jeden z policjantów zauważył, że ma w karabinie ostry nabój, ogień przerwano, jednak w stronę tłumu zdążyło już polecieć sześć pocisków. Trzy z nich były celne. Na miejscu zginął 19-letni Damian, z zawodu ślusarz, szalikowiec Widzewa. 23-letnią studentkę postrzeloną w głowę w bardzo ciężkim stanie odwieziono do szpitala, gdzie zmarła, nie odzyskawszy przytomności. – Nasza koleżanka stała cztery metry od niej – relacjonuje Aneta. – Widziała, jak tamta pada nieprzytomna, z rozwaloną głową, całą

zalana krwią. Nie chce o tym w ogóle mówić, prosiła, żeby nie dawać jej numeru telefonu. Pogotowie udzieliło pomocy ponad 70 osobom. Z pewnością ucierpiała znacznie większa grupa, ale jeśli ktoś nie miał otwartej rany czy złamania, uciekał jak najdalej, nie myśląc o szukaniu lekarza.

To już druga tragiczna interwencja policjantów w ostatnich dniach. Pod koniec kwietnia dwóch nastolatków zostało omyłkowo postrzelonych przez funkcjonariuszy z Poznania ścigających groźnego Bandytę. W wyniku kosztownego błędu zginął niewinny chłopak, drugi jest ranny, a domniemany przestępca nie został zatrzymany. Zdumienie opinii publicznej wzbudziło tłumaczenie Alicji Hytrek, rzecznik prasowej komendanta głównego policji, sugerujące, że chłopcy sami sobie są winni. A czy nie jest tak, że tragedia obnażyła niekompetencję policji? Wypadki z Łodzi zdają się potwierdzać tę tezę.

ODSKOCZNIĄ DO KARIERY

– Czarna seria policji nie jest przypadkiem – uważa Marek Biernacki, były minister spraw wewnętrznych i administracji. – To konsekwencja kilku lat błędów, zaniechań i niereagowania na sygnały, że od dawna dzieje się źle. A że tak jest, widać gołym okiem.

Zdaniem byłego ministra resort spraw wewnętrznych jest obecnie tylko „odskocznia” dla politycznych karier. Dwóch ostatnich ministrów – Janik i Oleksy – jak się okazało,

traktowało fotel ministra jako poczekalnię w drodze do innych stanowisk. Nic dziwnego zatem, że nie skupili się na pracy policji i nie zaczęli reformować tej instytucji. A zmiany przydałyby się na kilku szczeblach. Najpilniejsze wydaje się szkolenie policji. Przeciętny policjant bowiem w sytuacjach ekstremalnych, czyli gdy działa w stresie i pośpiechu, jest jak pijane dziecko we mgle. Przed wypadkami w Łodzi doskonałym tego przykładem była „obecność” policji na polu senatora Stoklosy, gdy jego ludzie zatrzymali ekipę dziennikarzy TVP. Funkcjonariusze przez kilkanaście godzin nie mogli się zdecydować, czy słuchać senatora, czy podjąć interwencję w zgodzie z przepisami i zdrowym rozsądkiem. Ostatnie wypadki to kolejny dowód na fatalne wyszkolenie policjantów. Jeśli interweniujący nieświadomie użyli broni z ostrymi nabojami, to okaże się, że w warunkach ekstremalnych policjanci nie potrafią się zachować. Przecież pociski gumowe różnią się od amunicji ostrej: kolorem, wagą i specjalnymi zaczepkami przy łuskach. Gdyby policjanci trenowali wcześniej podobne interwencje, wiedzieliby, co biorą do ręki. Nie strzelaliby też w głowy i piersi, lecz w nogi – do czego zobowiązują ich przepisy. Inna sprawa, że w policji nadal pokutuje filozofia reagowania po zdarzeniu. Tymczasem trzeba się skupić na tym, aby wcześniej nie dopuścić do niebezpieczeństwa. W Łodzi policja wiedziała, że jest mecz, i nie reagowała,

gdy bandy chuliganów zaczęły się zbierać i szukać możliwości do rozróby. Potem była bitwa i policjanci pokazali, co potrafią.

RYBA PSUJE SIĘ OD GŁOWY

Zdaniem byłego ministra szefowie resortu nie reagują także na pogłębiającą się w policji lukę pokoleniową. Z policji odchodzą wyszkoleni już po 1989 roku czterdziestokilkulatki. To najlepsi i najbardziej doświadczeni funkcjonariusze. Dostają lepiej płatną pracę i zostawiają swoje stanowiska bez równie dobrze wyszkolonych następców. Zostają tylko „trepy” i bardzo młodzi, niedoświadczeni mundurowi. Niedobrze się także dzieje na najwyższych szczeblach. Jak informuje „Życie Warszawy”, już trzech komendantów wojewódzkich złożyło podania o zwolnienie ze służby. Ich przypadki doskonale oddają negatywne tendencje w policji. Oficjalnie dwóch z nich ma awansować do pracy w Komendzie Głównej. Jednak zdaniem lokalnych dziennikarzy inspektor Stanisław Bukowski, szef policji w Lubuskiem, jest skonfliktowany z wiceministrem spraw wewnętrznych i do odejścia został zmuszony. Inspektor Janusz Tkaczyk, szef policji warmińsko-mazurskiej, który właśnie zastąpił zdymisjonowanego komendanta policji w Łódzkiem, bardziej zasłużył na naganę niż awans. W jednostkach mu podległych ma bowiem panować zupełna degeneracja. Komendant przyznał wysokie nagrody pieniężne dwóm funkcjonariuszom, którzy

z policji powinni wylecieć. Szef tamtejszej drogówki Stanisław S., jadąc po pijanemu, potrafił na pasach kobietę i nie tylko jej nie pomógł, lecz jeszcze uciekł z miejsca wypadku. Jego przełożony Wacław B. nie wyciągnął żadnych konsekwencji, przystał tylko na odejście ze służby pirata drogowego. Z kolei inspektor Józef Jedynak z Podkarpacia przed odpowiedzialnością uciekł na emeryturę. Wewnętrzna kontrola stwierdziła wiele niegospodarnych działań w podległych mu służbach. Miliony złotych wydawane były bez sensu, na przykład 500 tysięcy na siedzibę komisariatu, do którego nie prowadzi żadna droga.

KTO ODPOWIE?

Po serii tragicznych pomyłek opinia publiczna w demokratycznym kraju wydałaby wyrok na władze porządkowe, domagając się dymisji szefa całej policji. Takiej zażądały już władze Socjaldemokracji Polskiej i PiS-u. Powstaje jednak pytanie, czy w Polsce to coś zmieni. Czy jest kim zastąpić obecnego komendanta? Gdzie naprawdę tkwi problem? Może na niższych szczeblach – w nieudolności dowódców i programie szkoleń szeregowych funkcjonariuszy? Może cała polska policja wymaga przebudowy od podstaw, bo w słusznej pogoni za przestępcami biegnie dosłownie po trupach.

MAX SUSKI
MICHAŁ WÓJCIC

BURDEL W ONZ

MISJE POKOJOWE W KOSOWIE NAPĘDZAJĄ RYNEK PROSTYTUCJI I HANDEL LUDŹMI – ALARMUJE AMNESTY INTERNATIONAL

Szef zmuszał mnie do zaspokajania potrzeb seksualnych międzynarodowych żołnierzy i policjantów” – mówi jedna z kobiet cytowanych w raporcie Amnesty International. Organizacja twierdzi, że pracownicy międzynarodowych organizacji humanitarnych są głównymi klientami rynku usług seksualnych w Kosowie, a część z nich jest zamieszana w handel kobietami.

Pracownicy ONZ oraz żołnierze oddziałów KFOR generują 80 procent zysków w miejscowych domach publicznych – pisze Amnesty. Obsługuje ich ponad dwa tysiące kobiet z Ukrainy, Mołdawii, Rumunii oraz Rosji.



Albańska prostytutka w Kosowie proponuje swoje usługi żołnierzom oddziałów KFOR

Znaczna część z nich to nieletnie dziewczęta. Za sprawą obcokrajowców liczba domów publicznych w Kosowie wzrosła w ciągu czterech lat z 18 do ponad 200. Departament misji pokojowych ONZ przyznał, że obecność „błękitnych hełmów” w Kosowie „jest częścią problemu handlu żywym towarem”.

Raport AI o Kosowie zbiega się z publikacją w USA skandalizujących wspomnień byłych pracowników ONZ. W książce „Seks szybkiego reagowania” opisują rozwiązania subkulturę misji pokojowych – orgie, pijaństwo i zażywanie narkotyków. Oenzetowscy urzędnicy usiłowali zablokować druk książki. (AK)



Ochroniarze wydobywają Kadyrowa spod gruzów trybuny honorowej. Prezydent Czeczenii zmarł w drodze do szpitala

CZECZENIA BEZ MARIONETKI

CZECZEŃSCY PARTYZANCI ZABILI W NIEDZIELĘ PROROSYJSKIEGO PREZYDENTA CZECZENII. KREML NA GWALT SZUKA DLA NIEGO NASTĘPCY, BY UNIKNĄĆ WIDOCZNEGO ZAANGAŻOWANIA W REPUBLICĘ

Ahmad Kadyrow zginął od bomby podłożonej pod trybuną honorową na stacji Dynamo w Groznych, gdzie odbywał się transmitowany w telewizji koncert z okazji Dnia Zwycięstwa.

Niedzielny zamach sparaliżował władze republiki i rosyjskie dowództwo w Czeczenii. Wraz z Kadyrowem śmierć poniosło co najmniej 14 osób, a 62 zostały ranne. Większość to urzędnicy jego rządu i wysocy rangą oficerowie rosyjscy. Wśród ciężko rannych jest generał Walerij Baranow. To już drugi rosyjski głównodowodzący w republice, który padł ofiarą zamachu. Pierwszy, generał Anatolij Romanow, od października 1995 roku leży w śpiączce w moskiewskiej klinice wojskowej.

Ahmad Kadyrow, były mufti Czeczenii, który pięć lat temu przeszedł na stronę Rosjan, był najbardziej nienawidzoną postacią w Czeczenii. Stworzył oddziały, które przejęły od Rosjan ciężar walki z partyzantami. To dzięki niemu konflikt czeczeński przestał być postrzegany jako rosyjska pacyfikacja

niepokornej republiki i nabrał charakteru wojny domowej. W ciągu trzech lat na prezydenta lub jego synów próbowano dokonać co najmniej 23 zamachów. – Był prawdziwym bohaterem – powiedział po zamachu Władimir Putin. – Zabito go w nasze narodowe święto, ale pozostał niezwykłony.

Od połowy kwietnia dwa bataliony Kadyrowa polowały na Asłana Maschadowa, ostatniego demokratycznie wybranego prezydenta Czeczenii i przywódcę partyzantów. Chcieli go złapać w prezencie dla Putina z okazji Dnia Zwycięstwa. 6 maja Kadyrow zagroził, że będzie karał rodziny partyzantów, które odmawiają wydania swoich bliskich.

Po zamachu władzę w republice objął tymczasowo jego zastępca, Rosjanin Siergiej Abramow. Nie wiadomo, kto na stałe zajmie miejsce zabitego prezydenta. Kreml próbuje rozmawiać z jego synami. Rosjanie boją się, by ich oddziały – pozbawione dowódcy – nie przeszły na stronę partyzantów.

ANDRZEJ ŁOMANOWSKI



Za rozesłanie wirusa Jaschenowi grozi do pięciu lat więzienia

18 MILIONÓW OFIAR 18-LATKA

Sven Jaschen z Waffensen w Dolnej Saksonii nie był nawet najlepszym uczniem w miejscowej szkole. – Nie wierzę – powiedział jego nauczyciel informatyki, gdy dowiedział się, kto jest autorem wirusa Sasser. Według „Süddeutsche Zeitung” po aresztowaniu 18-latek powiedział policjantom, że początkowo próbował stworzyć program usuwający wirusy typu Netsky. Chciał w ten sposób pomóc matce, właścicielce upadającego punktu naprawy komputerów. Gdy dowiedzieli się o tym jego koledzy, zaczęli się z niego naśmiewać, żądając, by „stworzył coś naprawdę szkodliwego”. Dla odmiany napisał więc wirusa Sasser wykorzystującego lukę w systemie Windows. – Po prostu nie zastanawiałem się nad konsekwencjami – wyznał policjantom. W ciągu tygodnia wirus spustoszył komputery od Nowego Jorku po Sydney, Microsoft wyznaczył ćwierć miliona dolarów nagrody za głowę autora, a w poszukiwaniach brały udział policje kilkudziesięciu krajów. (AK)

Amerykański magazyn „Premiere” ogłosił listę stu najbardziej wpływowych osób w Hollywood. Na pierwszym miejscu są

STEVE JOBS i JOHN LASSETER, szefowie studia Pixar Animation. Rok temu byli na 23. miejscu

w MADRYCIE WESELE

SZEŚĆ MILIONÓW EURO BĘDZIE KOSZTOWAŁ ŚLUB HISZPAŃSKIEGO NASTĘPCY TRONU Z TELEWIZYJNĄ PREZENTERKĄ

Kontrola graniczne, myśliwce F-18, samolot wczesnego kostrzegania w zamkniętej strefie powietrznej, blokady i 10 tysięcy policjantów – takie środki bezpieczeństwa obowiązywać będą w Madrycie 22 maja, kiedy w katedrze Almudena będzie się odbywać ślub stulecia. Wybraną następcą hiszpańskiego tronu Filipa Burbońskiego jest 31-letnia rozwódka Letizia Ortiz (poprzedni ślub był cywilny, więc Kościół się nie sprzeciwił). Przy-



Przyszła para królewska Hiszpanii: księżę Filip i księżna Letizia

szła królowa była do niedawna presenterką hiszpańskiej edycji CNN – nadawała między innymi korespondencje z Iraku.

Na uroczystości zjadą przedstawiciele 40 rodów królewskich. 21 maja wybrani zjedzą kolację w pałacu El Prado. Według nieoficjalnych szacunków uroczystość będzie kosztować króla sześć milionów euro. Nowożeńcy mogą liczyć na prezenty – także od zwykłych Hiszpanów. Choć nie wszyscy popierają monarchię, większość bardzo ekscytuje się królewską galą. Dziennik „Cordoba Daily” twierdzi, że nadeszły już pierwsze oryginalne prezenty: pyton i dwa osły. (RYB)



Michael Moore

DISNEY CENZURUJE

PRODUCENT FILMÓW O SŁONIUM DUMBO I MYSCIE MIKI ZABLOKOWAŁ DYSTRYBUCJĘ KRYTYCZNEGO FILMU O BUSHU. KONCERN DISNEY PRZESTRASZYŁ SIĘ ZEMSTY PREZYDENTA

Dokument „Fahrenheit 911” Michaela Moore’a krytykuje amerykańskiego prezydenta za jego politykę przed atakami 11 września i po nich. Opowiada także o powiązaniach Busha z bogatymi rodami Arabii Saudyjskiej, między innymi z rodziną lidera Al-Kaidy ben Ladena. Lewicowy pisarz i reżyser Michael Moore w 2003 roku zdobył Oscara za film „Bowling for Columbine” pokazujący dostępność broni w USA i obsesję Amerykanów na jej punkcie. Film o Bushu nakręcił za pieniądze wytwórni Miramax od 10 lat wchodzącej w skład holdingu Disneya.

Szefowie Disneya otwarcie przyznają, że zablokowali dystrybucję filmu z obawy przed zemstą klanu Bushów. Na Florydzie, której gubernatorem jest brat prezydenta Jeb, korporacja prowadzi park rozrywki i kilka hoteli – wszystkie korzystają z ulg podatkowych przyznanych przez władze stanowe. – Moore wiedział o decyzji niemal od roku, a teraz dla autoreklamy robi szum wokół sprawy – twierdzi Disney. Reżyser chce, by jego film został pokazany w USA przed listopadowymi wyborami prezydenckimi. Poprzedni film Moore’a zarobił w USA 22 miliony dolarów, więc „Fahrenheit 911” z pewnością znajdzie innego dystrybutora. Już 17 maja obejrzą go goście festiwalu w Cannes, a w sierpniu kinomani w Wielkiej Brytanii. (RYB)

Od kwietnia 2004 r. nowy hotel w sieci Mercure Kasprowy Zakopane

Ponad 750 hoteli w 45 krajach
10 hoteli w Polsce

Wybierając hotele Mercure poznasz

...ich indywidualny styl i charakter
Każy z nich „opowie” inną historię związaną ze swoim regionem.

...specjalności kuchni regionalnych
Szefowie naszych restauracji przygotowują najlepsze regionalne dania.

...jakość naszych usług
W hotelach Mercure połączyliśmy tradycyjną polską gościnność z międzynarodowym standardem usług.

...to co najlepsze w regionie
Nasze miasta nie mają przed nami tajemnic, chętnie odkrywamy je naszym Gościom.

Mercure, to co najlepsze w regionie.

Warszawa • Częstochowa • Gdańsk • Jelenia Góra
Lublin • Opole • Poznań • Toruń • Wrocław • Zakopane

Rezerwacja: www.orbisonline.pl www.mercure.com
www.orbis.pl Infolinia: 0801 606 606, 0502 805 805

ORBIS SPONSOR

ACCOR Europejski lider i światowy koncern w dziedzinie Hotelarstwa i Usług

POROZMAWIJ Z KONIEM

MONTY ROBERTS UKŁADA KONIE BEZ PRZEMOCY. KOMUNIKUJE SIĘ Z NIMI GESTAMI I DŹWIĘKAMI. PIERWSZY RAZ PRZYJEŹDŹA Z POKAZEM DO POLSKI

Poznałem go w 1991 roku w Niemczech, gdy dawał pierwsze pokazy. Początkowo mnie nie przekonywał, ale byłem zdumiony efektami. Do dziś ujeździłem w ten sposób około setki koni – opowiada Bogdan Kuczejda, wieloletni kierownik Stadniny Koni w Ochabach.

Niespełna 70-letni Monty Roberts mówi, że jest „człowiekiem, który rozmawia z końmi”



Fot. AXEL KOESTER/CORBIS SYGMA/FREE

Roberts latami poznawał zwyczaje mustangów i sposoby ich porozumiewania się

(tak zresztą zatytułował jedną ze swoich książek). Opracował metodę porozumienia z tymi zwierzętami, opartą na gestach i odgłosach, obserwując latami stada mustangów. Światową sławę zawdzięcza zainteresowaniu jego metodą brytyjskiej królowej w 1989 roku. Odtąd Roberts krąży po świecie z pokazami i wykładami, pisze książki i kręci filmy. Wszystko pod mottem: „Przeciw przemocy”. 19 maja na warszawskim Torwarze przez trzy godziny będzie prezentował swoją metodę na polskich koniach. – Są różne szkoły układania: włoska, niemiecka, ale Roberts jest jedyny i niepowtarzalny – mówi Kuczejda.

ADAM ROMER



Łysi heterozadymiarze najpierw krzyczyli do gejów: „Wypierdalać!”, a potem sami wzięli nogi za pas

Fot. PAWEŁ ULATOWSKI/AGENCJA GAZETA

ANTYGEJE PODWAWELSCY

BILANS PIERWSZEGO POLSKI DO UNII EUROPEJSKIEJ MARSZU TOLERANCJI W KRAKOWIE: 20 OSÓB ZATRZYMANÝCH, POLICJANT Z TWARZĄ OBLANĄ KWASEM LEŻY W SZPITALU

Prawie dwa tysiące zwolenników społeczeństwa otwartego przemaszerowało pod wielobarwnymi flagami przez krakowskie Planty. Marsz Tolerancji nie doszedł na Wawel. Nie dopuścili do tego krótko ostrzyżeni młodzieńcy pod wodzą pravicowych radnych. Marsz ruszył spod Collegium Novum. Wbrew obawom przewodniczącego Platformy Obywatelskiej w Krakowie Zbigniewa Fijaka (zarząd krakowskiej PO był przeciwny marszowi) szli w nim zupełnie normalni ludzie. Niektórzy z dziećmi. Nie działo się nic, co obrażałoby moralność szacownych obywateli królewskiego stołecznego miasta. Uczestnikom towarzyszyła grupka nie do końca trzeźwych, rzucających jajkami przeciwników. Gdy któremuś kończyły się jajka, przechodził do rękoczynów. Interweniowała policja, a maszerujący krzyczyli: „Tolerancja!”. I tak co 50 metrów.

Dopiero pod Wawelem czekała grupa trzeźwiejszych, ale bardziej zdeterminowanych przeciwników pod wodzą posła LPR

Stanisława Papierza i radnych tej partii. Po przepychankach policja poprosiła o rozwiązanie marszu. Nieusatysfakcjonowani heterocy pod transparentem „Smok Wawelski był hetero” z okrzykami: „Wypierdalać!”, „Peđały do gazu!”, przeszli na Rynek, gdzie – w związku z kłopotami z rozpoznaniem w tłumie rozpierchniętych homoseksualistów – postanowili walczyć z policją. Władza szybko sobie z nimi poradziła za pomocą gumowych (tym razem) kul, psów i pałek. Powinna sobie poradzić wcześniej, nie dopuszczając brutalnych obrońców moralności na Rynek – nie ucierpiaby wtedy ogródki kawiarniane.

Jak na bardzo konserwatywne miasto w marszu wzięło udział dużo osób, zdecydowanie więcej niż aktywnych przeciwników. W następnym marszu zwolenników pewnie przybędzie. Może dołączy nawet krakowska PO, przeszkalając wcześniej Zbigniewa Fijaka i resztę zarządu na temat społeczeństwa obywatelskiego w Unii Europejskiej.

KORRESPONDENCJA Z KRAKOWA – MARCIN KĘDRYNA

KOSZTOWNA SKÓ(?)ROWA

MIESZKAŃCY DOMAGAJĄ SIĘ UTRZYMANIA PISOWNI WSI PRZEZ „U”

Problem „u” pojawił się, gdy Ministerstwo Finansów komputeryzowało urzędy skarbowe. Przy wprowadzaniu do bazy danych nazwy Skurowej – małej wsi w gminie Brzostek w Podkarpackiem – urzędnik uznał, że wieś ma wrócić do nazwy z XIV wieku (Skorowa). Na biurku wójta gminy wylądowało pismo z żądaniem zmiany pisowni. W radzie gminy zawrzało. – Skurowa od 130 lat pisze się przez „u” – broni pisowni sekretarz gminy Lucyna Pruchnik. Problem na pozór tylko wydaje się błahy. Wprowadzenie drobnej poprawki pociąga za sobą wymianę dowodów osobistych i rewolucję w księgowości gminy. Za wszystkie zmiany zapłaciliby mieszkańcy. A oni ani o tym myślą: – Jeśli my mamy zmienić nazwę, to niech zmieni ją też Pruchnik. – Skoro urzędnik uważa, że Skurowa pochodzi od skóry, powinien wiedzieć, że Pruchnik jest od próchnicy – uzasadnia weto mieszkańców Lucyna Pruchnik. Na razie na linii gmina–ministerstwo panuje pat. – Będziemy bronić nazwy – deklaruje wójt Leszek Bieniek i dodaje, że mieszkańcy w głosowaniu opowiedzieli się za pozostawieniem Skurowej w spokoju. Ostateczna decyzja na szczelbu centralnym ma zapaść w maju.

MICHAŁ WÓJCIK

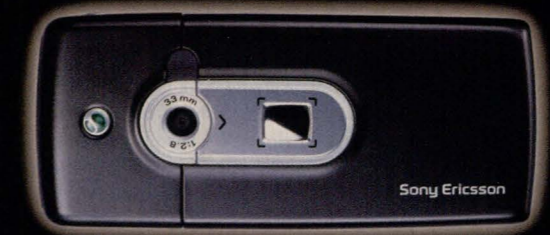
☛ Darmowy koncert akustyczny da na krakowskim Rynku grupa **MARILLION**. Impreza odbędzie się 17 maja,

a na jej program złożą się najnowsze utwory z płyty „Marbles”

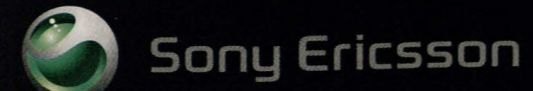


T630 Z KOLOROWYM WYŚWIETLACZEM I **QuickShare™**

- **QuickShare** – łatwy sposób na robienie i przesyłanie zdjęć
- Wysokiej rozdzielczości wyświetlacz TFT
- 65 536 kolorów
- Wbudowany aparat cyfrowy



- Dostępny w kolorze czarnym i srebrnym
- Oddzielny przycisk do robienia zdjęć
- Bluetooth
- Znana gra V-Rally zainstalowana w telefonie



CHŁOPCY BEZ POLIGONU

GMINY BEZ OPAMIĘTANIA PODNOSZĄ PODATKI, A WOJSKO JUŻ NIE MA Z CZEGO PŁACIĆ

Jeśli gminy, na których terenie znajdują się garnizony wojskowe, nie zmieniają swojej polityki podatkowej wobec armii, polscy żołnierze będą musieli odbywać ćwiczenia poza granicami kraju – ostrzega MON. Kilka lat temu stawki podatkowe od „pozostałych gruntów”, czyli także poligonów, wynosiły od trzech do sześciu groszy za metr kwadratowy. W 2003 roku maksymalną stawkę ustalono na 31 groszy. Prawie wszystkie



Fot. GRZEGORZ JAKUBOWSKI/FORUM

„garnizonowe” samorządy przyjęły najwyższą stawkę. Armia zmuszona była ciąć inne wydatki, bo jej zobowiązania wobec samorządów za 2003 rok wyniosły 180 milionów złotych, czyli 10 razy więcej niż rok wcześniej. Wojsko się broni, oddając poligony lub przynajmniej ich części Lasom Państwowym. Na przykład obejmujący 20 tysięcy hektarów poligon w Orzyszu zmniejszy się o blisko 10 procent. Dzięki podobnym operacjom armia zaoszczędzi w tym roku 70 milionów złotych. Chociaż wojskowi ostrzegają, że pazerność samorządów nie wyjdzie im na dobre, władze gmin nie tracą humoru – dzięki pieniądзом z podatków polatali dziury w budżetach, a i tak dużo zostało. Cele zawsze się znajdują. Jednym z nich może być już niedługo organizowanie nowych miejsc pracy – grozi MON – dla tych, którzy ją stracą, gdy wojsko wyprowadzi się z „garnizonowych” gmin, zostawiając sprytnym samorządowcom „pozostałe grunty”. (REM)



Fot. WOJCIECH JANKOWSKI/SŁOWO POLSKIE GAZETA WROCŁAWSKA

POGRÓŻKI PO NIEMIECKU

PLAKATY Z SZOKUJĄCYMI ZDJĘCIAMI OSKARŻAJĄCE POLAKÓW I CZECHÓW O LUDOBÓJSTWO NA NIEMCACH POJAWIŁY SIĘ NA SŁUPACH NA DOLNYM ŚLĄSKU

Nasze prawo pracuje skrupulatnie, morderstwo się nie przedawnia” – gzmiały pogroźki w języku niemieckim na słupach w Jeleniej Górze, Karpaczu i Podgórzynie. Autorzy akcji zarzucili Polakom i Czechom wymordowanie 22 tysięcy Niemców w polskich i czeskich obozach koncentracyjnych. Na plakatach pojawiły się też wstrząsające zdjęcia masowych grobów ofiar oraz pojedynczych egzekucji. Na jednej z fotografii cywile w lesie zabijają dwie kłęczące osoby strzałami w tył głowy, na innej widać pielęgniarkę obok trójki śmiertelnie zagłodzonych dzieci. Niektórzy mieszkańcy Dolnego Śląska bardzo poważnie potraktowali niemieckie pogroźki. Prerażeni zgłaszali się na policję w obawie, czy Niemcy nie zechcą ich wypędzić z domów. Bogdan Malinowski, burmistrz Karpacza, nakazał zerwać plakaty, które jego zdaniem mogą zwiększyć obawy starszych ludzi, że po wejściu Polski do Unii Niemcy wrócą na utracone ziemie. Zdaniem Józefa Kusiaka, prezydenta Jeleniej Góry, plakaty to wybryk, który ma skłócić Polaków i Niemców. Joanna Kulisiewicz, przewodnicząca mniejszości niemieckiej w Jeleniej Górze, zapewnia, że nie jest to oficjalna akcja rządowa. – Zrobiła to jakaś mała grupa. Choć trzeba powiedzieć, że nie wszystkie sprawy polsko-niemieckie zostały wyjaśnione – mówiła „Gazecie Wrocławskiej”. Policjanci próbują ustalić, kto rozkleił plakaty. Trwają przesłuchania świadków. – Badamy, czy treści zawarte na plakatach podpadają pod artykuł dotyczący nawoływania do nienawiści na tle różnic narodowościowych – tłumaczy prokurator z Jeleniej Góry Andrzej Reczka. To pierwsza tego typu akcja na Dolnym Śląsku. Prokuratura bada jej rozmiar. Andrzej Reczka mówi, że nie wszyscy mieszkańcy zrozumieli treść niemieckich pogroźek. – Ktoś, kto wymyślił plakaty, pomylił się, bo Polacy nie znają języków obcych – mówi prokurator. (JOGA)

DYSTRYBUTORY ZA TRZY ZŁOTE

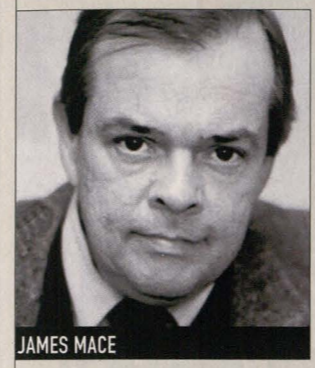
STARE DYSTRYBUTORY Z MECHANICZNYMI LICZNIKAMI MOGĄ WPĘDZIĆ WŁAŚCICIELI MAŁYCH STACJI BENZYNOWYCH W NIEZŁE TARAPATY

Galopujące ceny benzyny martwią nie tylko kierowców. Jak informuje „Super Express”, właściciele części stacji benzynowych ze zgrozą odkrywają, że liczniki ceny w dystrybutorach paliwa można ustawić maksymalnie na 3,99 złotego! A tyle kosztuje już benzyna Pb95 na niektórych stacjach w Warszawie. Małe, prowincjonalne stacje – dla wielu rodzin jedyne źródło utrzymania – często są jeszcze wyposażone w dystrybutory starego typu. Z przyczyn technicznych montowano w nich liczniki mechaniczne, których wskazania w okienku „cena” kończą się na 3,99 złotego. Benzyna poza miastami jest na razie tańsza. Co jednak będzie, gdy cena przekroczy magiczną granicę czterech złotych? I ilu jest takich, którzy wciąż nie mają pojęcia o ułomności swoich urządzeń? Zadzwoniliśmy do wybranej na chybił trafił stacji w Bielsku Podlaskim. Jej pracownik potwierdził nam, że czeskie dystrybutory firmy Adasta mogą wskazać maksymalną cenę 3,99 złotego. – Mamy jeszcze jeden taki dystrybutor – mówi. – Ale on dozuje olej napędowy. Dystrybutory benzynowe przerobiliśmy już wcześniej przy okazji serwisów – dodaje. Koszt takiej przeróbki to wydatek rządu kilkuset złotych. Nie każdą małą stacją będzie na to stać, nie mówiąc o wymianie całych urządzeń na nowe. (max)



Fot. ANDRZEJ IWANCIUK/REPORTER

ODESZLI



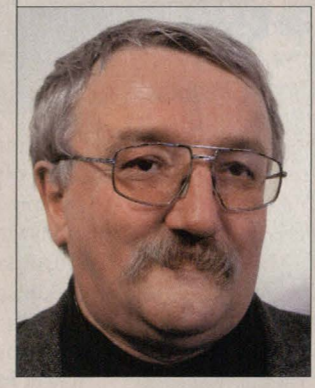
JAMES MACE

James Mace, 52, amerykański historyk i politolog, zajmował się badaniami nad Wielkim Głodem na Ukrainie w latach 30. ubiegłego wieku. W latach 80. był przewodniczącym komisji Kongresu USA, która miała ukazać fakty obciążające radzieckie władze odpowiedzialnością za głód i śmierć kilku milionów osób. W tym czasie pomagał historykowi Robertowi Conquestowi w napisaniu książki „Żniwa smutku”. Po odzyskaniu przez Ukrainę niepodległości w 1991 roku zamieszkał w Kijowie. Kontynuował badania nad historią Ukrainy i zbierał relacje świadków, którzy przeżyli dramat z lat 30. Wykładał także w prywatnej Akademii Kijowsko-Mohylańskiej.

Fot. AP (2), ARCHIWUM EZSZACH, IWONA BURDZANOWSKA/JAG

WACŁAW BIAŁY

Wacław Biały, 60, założyciel i wieloletni szef „Gazety Wyborczej w Lublinie”. Pracę dziennikarską zaczął w „Głosie Fabryki Samochodów Ciężarowych”, potem trafił do redakcji rolnej Polskiego Radia Lublin. W 1980 roku zaczął działać w Solidarności Rolników Indywidualnych. Na początku stanu wojennego został aresztowany za kolportowanie ulotek i skazany na karę więzienia. Po wyjściu był nocnym stróżem, a potem sprzedawcą. W podziemiu roznosił bibułę, a w 1989 roku zaczął działać w Komitecie Obywatelskim Lubelszczyzny. Ostatnio zajął się historią Lublina. Pisał cykl artykułów „Zdarzyło się w Lublinie”.

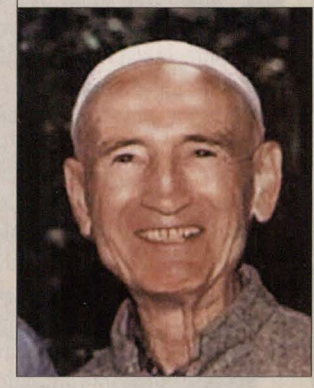


KAZIMIERZ HRABIA BROEL-PLATER

Kazimierz hrabia Broel-Plater, 89, szachista. Urodził się w Wilnie, był człowiekiem wielkiej kultury, biegle władał kilkoma językami. W latach 1946–1962 plasował się w ścisłej czołówce polskich szachistów, zdobył tytuł mistrza międzynarodowego (1950) i trzykrotnie mistrza Polski (1949, 1956, 1957). Reprezentował kraj na trzech olimpiadach szachowych oraz na wielu meczach międzynarodowych i turniejach strefowych. Przez wiele lat był trenerem i instruktorem młodych szachistów. Publikował artykuły na łamach dawnego miesięcznika „Szachy”.

PHILIP KAPLEAU

Philip Kapleau, 92, mistrz zen. Urodził się w New Haven w stanie Connecticut w Stanach Zjednoczonych. Z wykształcenia był prawnikiem, przez lata pracował jako reporter sądowy, był głównym amerykańskim sprawozdawcą sądowym z procesów w Norymberdze i Tokio. Oba te procesy wstrząsnęły nim na tyle mocno, że postanowił porzucić swój zawód. W wieku 41 lat rozpoczął praktykę zen, po pięciu latach osiągnął oświecenie, a po dalszych ośmiu został wyświęcony na mnicha. Po powrocie do Stanów Zjednoczonych założył znany na świecie Ośrodek Zen, był autorem wielu publikacji i książek („Trzy filary zen” oraz „Zen: świt na zachodzie”).



1 grosz za minutę

najtańsze minuty na rynku!

Motorola C550 do 49 zł

Plus GSM

BRIGITTE BARDOT odpowiada przed paryskim sądem za nawoływanie do nienawiści rasowej – w swojej książce opowiedziała się „przeciw islamizacji Francji”. Aktorce grozi nawet rok więzienia



a właściwie
to...

Wojna policyjno-polska

W ostatnich latach nie mieliśmy szczęścia do ministrów, nadzorców policji. Krzysztof Janik miał do niej „pełne zaufanie” i na tym z ulgą poprzestawał. Potem tylko, mimo całego swojego zaaferowania wielką polityką, przystawał przed kamerami „Wiadomości” TVP lub „Faktów” TVN i powtarzał, że kolejna afera z udziałem policjantów „zostanie dokładnie zbadana, a jeśli okaże się, że policjanci zawinili, to wnioski będą surowe”. Jak mina ministra wypowiadającego te słowa.

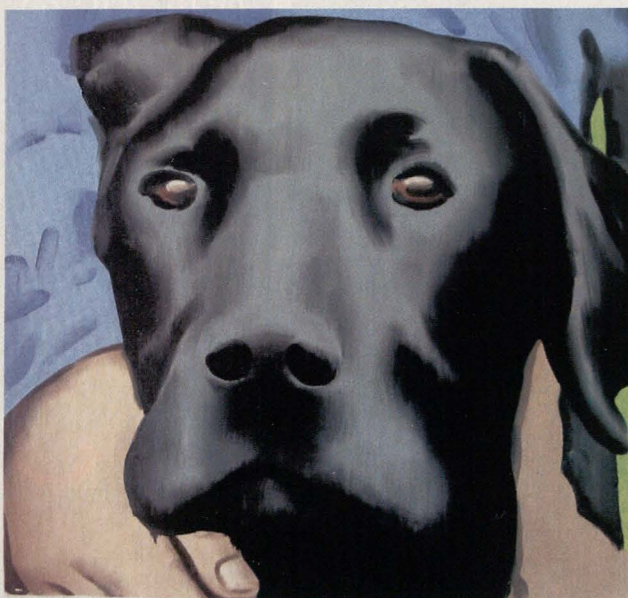
A przecież Janik miał zawsze twarz szczerą, jowialną i ciepłopolską. I tak też działo się z konsekwencjami. Były nasze z krwi i kości – czyli żadne. Jego następcą Józef Oleksy nawet już nie przystawał przed kamerami w takich sprawach, tylko w studiach telewizyjnych debatował o przyszłości SLD i Polski w ogóle. Między jednym a drugim pudrowaniem nawet chyba nie zauważył, że nadzoruje coraz bardziej samowolną policję.

I tak doczekaliśmy się, że policja znowu stała się państwem w państwie. I to ich państwo zabija obywateli naszego państwa. Wcześniej ich tylko ignorowało albo pozostawiało samych sobie w obliczu przestępstwa. Trzeba więc wypowiedzieć wojnę policyjnemu państwu. Na początek spróbujmy sprawdzić, jak dalece wybiła się na niepodległość. Teoretycznie jej król, czyli komendant główny policji, powinien podać się do dymisji, jeśli obywatele naszego państwa tego zażądają. A więc żądamy jego natychmiastowej dymisji!

Jeśli tego nie zrobi, pokaże, że jest już władcą suwerennym. Pozostanie nam wtedy tylko „podbić” jego państwo. Jak? Zrobią to za nas szalikowcy instynktownie wyczuwający przyzwolenie społeczne dla takich zachowań. Sterroryzują policję i nas. Niech więc pan komendant pójdzie sobie wreszcie! Ze względu na bezpieczeństwo nas wszystkich.

PIOTR NAJSZTUB

MACIEJOWSKI



BOHATER



© MARCIN MACIEJOWSKI/MEYER-KAINER GALLERY

– Gdyby nie pies, doszłoby do tragedii – mówi.



Kaci demokracji

Zołnierze w mundurach US Army spuszczają na więźniów psy, gwałcą jarzeniówkami, każą się im masturbować, oblewają płynem ze świetlówek, przypinają elektrody do genitaliów, zmuszają do homoseksualnych stosunków. Szeregowa England ciąga Irakijczyka po podłodze na smyczy. Jest tak dumna z siebie i czuje się do tego stopnia bezkarna, że daje się nawet fotografować. Oglądając zdjęcia, trudno uwierzyć, by żołnierze wbrew sobie wykonywali rozkazy. Oprawcy mają pety w ustach i szczerzą się od ucha do ucha.

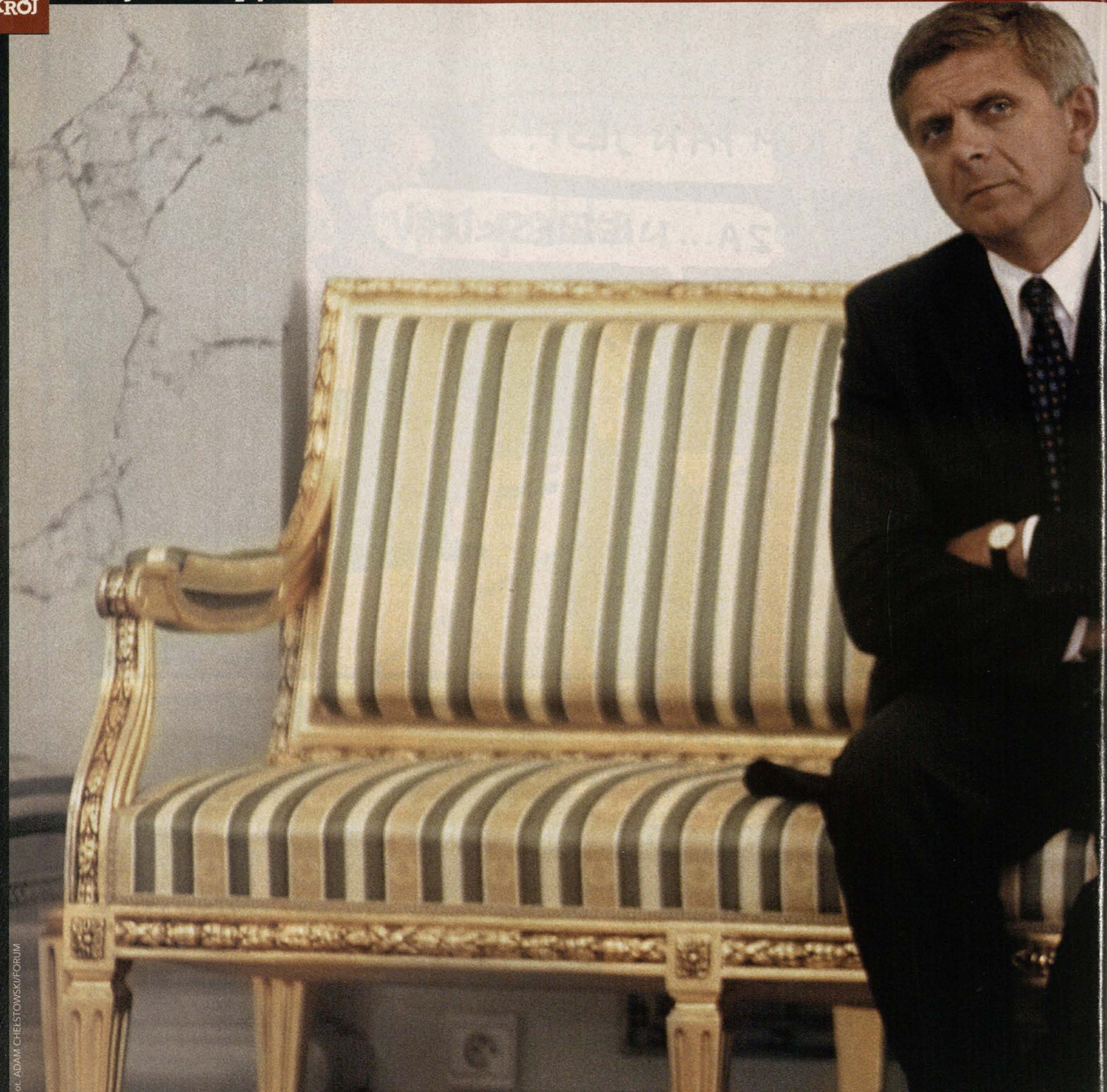
Niech sobie państwo teraz wyobrażą, że w środku siedzi ktoś z waszych bliskich. Od pół roku przychodziecie pod katownię Saddama i nie możecie dowiedzieć się nawet, czy wasz brat lub mąż żyje. Któregoś dnia widzicie w telewizji zdjęcia gołych ludzi, upokarzanych, torturowanych, perwersyjnie i metodycznie upadlanych. Jedna z twarzy wydaje się znajoma. To on? Nazajutrz znów przychodziecie pod bramę Abu Ghraib i znów nic nie wiadomo. Dwóch więźniów nie przeżyło amerykańskich przesłuchań, a 25 innych zgonów w amerykańskich więzieniach w Iraku i Afganistanie jest przedmiotem wojskowego śledztwa, podobnie jak wypadek gwałtu na przetrzymywanej w Abu Ghraib Irakijce. Co na to Amerykanie? „Przepraszamy. Bardzo przepraszamy. Zburzymy Abu Ghraib, więźniów przeniesiemy gdzie indziej. I dalej będziemy walczyć o prawa człowieka i demokrację”. W jakiego Boga wierzą nasi sojusznicy?

WAWRZYNIEC SMOCZYŃSKI

raczej RACZKOWSKI



WYMYŚLIŁ I NARYSOWAŁ MAREK RACZKOWSKI



Fot. ADAM CHEŁSTOWSKI/FORUM

„CZASOWNIK”

Pewny siebie: pewny, że może poprawić polską gospodarkę; pewny, że nie ulegnie partyjnym naciskom; pewny, że nie musi być premierem dłużej niż rok; pewny, że znajdzie fachowców, którzy mu pomogą, gdy czegoś nie będzie pewny. Profesora MARKA BELKĘ, chwilowo premiera, przepytuje niepewny Piotr Najstlub

Panie premierze, może mógłby pan rządzić bez oglądania się na Sejm, partie polityczne? Oni i tak pana nie kochają.

– Pewne, absolutnie niezbędne, sprawy muszą być przeprowadzone przez parlament. Na przykład ustawy o ochronie zdrowia. Ale rząd może samodzielnie wiele zrobić w kwestiach absorpcji funduszy unijnych.

Ale jakieś szybkie ruchy: likwidację paru marnotrawiących pieniędzy agend rządowych?

– Likwidacji agend nie da się zrobić bez Sejmu. Bez parlamentu da się przede wszystkim zrobić budżet.

Potem jednak parlament jest potrzebny do jego uchwalenia.

– Nie, bo jak nie uchwała, to wtedy wprowadza się prozorium budżetowe i gospodarka dalej „chodzi”. Mogę samodzielnie wiele zrobić w sprawie uporządkowania majątku państwowego, w kwestiach unijnych. Natomiast przy wielu poważnych decyzjach potrzebna jest zgoda parlamentu. Niestety.

Czyli nie będzie pan pierwszym premierem, który – bez oglądania się na partyjne interesy – wydaje szybko parę nieodwracalnych decyzji i...

– Oczywiście w Polsce potrzeba czegoś więcej niż paru nieodwracalnych ruchów. Nie jesteśmy jeszcze krajem, który działa jak dobrze naoliwiona maszynka. Chyba że pan uważa inaczej?

Upieram się jednak, że pańska droga do ważnych decyzji musi być inna niż dotychczasowych premierów. Do tej pory wszystko było uzgadniane w gremiach partyjnych, a wydaje mi się, że ta droga jest dla pana zamknięta, cokolwiek by się mówiło o ciułaniu poparcia SLD dla pańskiego rządu.

– Ja nie ciułam.

Ta inna sytuacja wymaga działania wbrew partiom. Czuje się pan na siłach działać wbrew parlamentowi, politykom?

– Nie jestem człowiekiem wywołującym niepotrzebne konflikty. Nie specjalizuję się w tworzeniu tak zwanych personalnych zdrażnień, jeżeli o to panu chodzi.

Nie, nie o to mi chodzi. Czy jest pan gotów pójść na wojnę z politykami i partiami?

– W jakimś sensie to ja już na niej jestem.

Jeszcze nie.

– To znaczy, że będzie gorzej?

Mam nadzieję, że będzie dla pana gorzej, bo wtedy może być dla mnie lepiej. Oczywiście o ile pańskie pomysły gospodarcze będą trafne.

– Zdaje się, że ta wojna jest nieunikniona, nie wszyscy politycy będą ze mnie zadowoleni. Jednak ja mam dewizę: wojny się po to prowadzi, żeby wygrywać, a nie żeby bohaterko paść na barykadzie.

Czyli mało „po polsku”.

– To jest tylko taki mit. Mój ojciec był żołnierzem powstania warszawskiego. Ja miałem oczywiście takie wyobrażenie, że powstanie warszawskie było jedną wielką regularną rzezią ludzi, domów, miast. I oczywiście do pewnego stopnia tak było. Natomiast pamiętam, że zapytałem kiedyś ojca, o co właściwie im chodziło, a on mi odpowiedział: „Chodziło o to, żeby się nie dać zabić”. W tak skrajnych warunkach nikt bynajmniej nie pragnął zostać bohaterem opiewanym przez Baczyńskiego. Myślę, że to samo jest ze mną. Czasami, jak już nie można inaczej, to trzeba polec, ale dopóki jest szansa na przeżycie, to trzeba ją wykorzystywać.

Już jednej szansy na przeżycie pan nie wykorzystał, bo jednak zgodził się zostać premierem.

– Gdybym powiedział „nie”, toby oznaczało, że w ogóle nie uczestniczę w tej grze.

MARKA BELKA
MA 52 LATA. STUDIOWAŁ NA WYDZIALE EKONOMICZNO-SOCJOLOGICZNYM UNIwersytetu Łódzkiego, OD 1994 ROKU JEST PROFESOREM NAUK EKONOMICZNYCH. PRACOWAŁ JAKO DORADCA W WIELU INSTYTUCJACH, BYŁ MIĘDZY INNYMI KONSULTANTEM W BANKU ŚWIATOWYM. W RZĄDACH WŁODZIMIERZA CIMOSZEWICZA I LESZKA MILLERA PEŁNIŁ (W SUMIE PRZEZ 16 MIESIĘCY) FUNKCJĘ WICEPREMIERA I MINISTRA FINANSÓW. ZASŁYNAŁ Z WPROWADZENIA 20-PROCENTOWEGO PODATKU OD ODSETEK Z LOKAT BANKOWYCH ZWANEGO PODATKIEM BELKI. DO DYMISJI PODAŁ SIĘ Z POWODÓW OSOBISTYCH. OD CZERWCA 2003 ROKU PRACOWAŁ W IRAKU, NAJPIERW JAKO SZEF RADY KOORDYNACJI MIĘDZYNARODOWEJ, A OD 1 LISTOPADA BYŁ DYREKTOREM POLITYKI GOSPODARZEJ W TYMCZASOWYCH WŁADZACH KOALICYJNYCH. ODPOWIADAŁ ZA CAŁOŚĆ POLITYKI GOSPODARZEJ IRAKU, W TYM ZA POLITYKĘ HANDLOWĄ, TWORZENIE SYSTEMU BANKOWEGO I RESTRUKTURYZACJĘ PRZEDSIĘBIORSTW PAŃSTWOWYCH. 2 MAJA PREZYDENT ALEKSANDER KWAŚNIEWSKI DESYGNOWAŁ MARKA BELKĘ NA PREZESA RADY MINISTRÓW

Wszystkim się wydawało, że pan właśnie nie uczestniczy. – Mnie właściwie też.

I nagle, jak grom z jasnego nieba...

– Wie pan, pomyślałem sobie, że w gospodarce polskiej zaczyna być bardzo interesująco.

Czyli chce pan zjeść po prostu owoce, które z trudem zasiał i wypielęgnował poprzedni premier Leszek Miller?

– Ale to ja też zasiałem, w każdym razie byłem jednym z tych, którzy zasiał!

To trzeźwa ocena byłego ministra finansów czy megalomania?

– Gdyby zaakceptować budżet pozostawiony przez rząd Buzka, to dzisiaj mielibyśmy nie jakiś tam kryzys polityczny, tylko kryzys gospodarczy. Oczywiście, że ja to mówię z pewną autoironią, ale oczywiście myśmy wtedy dziurę zatkali.

Zatkaliście i pan sobie poszedł.

– No bo po co miałem dalej tam być? Potem przygotowywaliśmy się do referendum unijnego, wszyscy byli zdecydowani raczej przeczekać, niż coś konkretnego zrobić.

NO dobrze, ale rozumiem, że oprócz zasypywania dziury po premierze Buzku miał pan jakieś inne pomysły, a jednak zrezygnował pan z ich realizacji. Uznał, że „a to ja już teraz sobie pójdę”.

– Tak, bo już nie dało się nic sensownego zrobić.

Ale tym samym wykazał pan brak cechy – może niezbędnej dla polityka – że on walczy do końca, nie poddaje się, nie ustępuje.

– Leszek Miller jest człowiekiem, który właśnie walczy do końca, nie poddaje się i nie ustępuje. Przepraszam, co mi pan tu za tandetę wciska!

Może nie oczekuję od pana takiego zaparcia, jakie prezentował poprzedni premier, ale z drugiej strony co nam po premierze, który za dwa miesiące powie: nie, trochę się rozjeźrzałem, nie mam warunków do realizacji moich świetnych pomysłów, odchodzę, wpadnę znowu trochę później, za dwa, trzy lata, może wtedy będą dla mnie warunki. Jak ma pan pomysły, to niech o ich realizację walczy do końca!

– Ja nie zamierzam się awanturować. Natomiast nie jestem miękki, jeżeli otrzymam wotum zaufania, to będę pełnił tę funkcję tak długo, jak będzie trzeba, dopóki się Sejm nie rozwiąże albo prezydent nie powie „dość”.

Wolałbym usłyszeć, że pan będzie pełnił tę funkcję do czasu, aż zrealizuje to, co chce zrealizować.

– No, to właśnie powiedziałem. To ładnie brzmi, tylko wiadomo, że ten rząd ma perspektywę roczną, a wiele rzeczy trzeba przez ten rok załatwić, wiele innych zacząć, ja także będę siał dla następców. Na przykład pewne decyzje prywatyzacyjne trzeba teraz przygotowywać, wiedząc, że żniwo zbiorą następcze rządy. Jeśli mam to zrobić, to potrzebuję roku, a jeśli Sejm będzie forsował wrześnie wyборы, to potwierdzi, że jest swoistym kuriozum.

Po raz pierwszy mamy taką sytuację, że premier deklaruje, że chce nami rządzić tylko przez rok. Jest pan pierwszym premierem „czasownikiem” – jak nazywa się ostatnio pracowników wynajmowanych na chwilę.

– Rzeczywiście będę pracownikiem sezonowym.

„Premier sezonowy” to może być nasz wkład w nowoczesną politykę. Ale można sobie wyobrazić sytuację, szczególnie biorąc pod uwagę pańską pewnością siebie, że może się panu udać i ten rok będzie dobrym rokiem dla polskiego rządu. Rok minie, pan będzie miał poczucie sukcesu. I co?

– I będą wybory, ktoś je wygra i utworzy rząd beze mnie.

Nie bierze pan pod uwagę takiej możliwości, że w szczytowym momencie, za 10 miesięcy, kiedy prosperity Belki będzie szalala, nie tylko w Marriotcie, ale też za jego szybami, pan pomyśli: nie, zaraz, nie można tak tego zostawić, bo inni przydad i zepsują to wszystko! Dalej, zakładamy partię Belki!

– Nie, do tego ja się w ogóle nie nadaję. To jest tak egzotyczne, że mogę to tylko obśmiać.

A nie wydaje się panu śmieszny pomysł premierowania przez rok, bez względu na skutki, na przykład dobre?

– Nie, wydaje mi się, że to jest pomysł bardzo roztropny i potrzebny Polsce. Na samym początku kwietnia, kiedy przyjechałem, powiedziałem, że właściwie dwie rzeczy można zrobić: albo natychmiast rozwiązać ten parlament i mocno uciąć, albo dać trochę spokoju nowemu rządowi. Zgodzić się, nawet z zaciśniętymi zębami, na jakiś rząd i pozwolić mu zrobić parę niezbędnych rzeczy. Oczywiście nie jestem takim naiwniakiem, żebym myślał, że rzeczywiście jest taka alternatywa. Nie było jej. W Sejmie nie ma woli do samorozwiązania. Czyli od samego początku uważałem, że skoro tej woli nie ma, to trzeba tworzyć jakiś rząd. Ja naprawdę wierzę w to, że czerwcowy czy też wiosenny – w przyszłym roku – termin wyborów jest bardzo dobrą propozycją.

Ale jest jeszcze jeden powód, który politycy powinni wziąć pod uwagę. Mamy w roku 2005 zbieżność dwóch wyborów i wszyscy się oczywiście boimy, że produktem wyborów parlamentarnych będzie taki Sejm, przy którym trudno będzie sformułować jakikolwiek, już nie mówiąc o dobrym, rząd. No to wtedy może dobrze byłoby dać ludziom z pół roku na przemyślenie własnych wyborów, żeby dokonali jakiejś korekty podczas wyborów prezydenckich.

Może mając w perspektywie podwójne wybory, a równocześnie obserwując narastającą apatię wyborców, powinien pan przeformować jakąś formę obowiązkowego głosowania?

– Są kraje z obowiązkowym głosowaniem. Ale u nas wszystko to, co jest obowiązkowe, kiepsko się sprzedaje.

Ale z drugiej strony grozi nam, że do wyborów pójdzie 30 procent obywateli, będzie rządziła w związku z tym partia, na którą głosowało 12 procent obywateli, i znowu będzie brak tak zwanej legitymacji społecznej, rząd będzie słaby. Czy nie lepiej byłoby zmusić Polaków, na przykład grzywną 50 złotych za niegłosowanie, do wzięcia odpowiedzialności za swój los?

– Z takiego pomysłu na pewno by się ucieszył minister finansów, mógłby zebrać sporo pieniędzy. A mówiąc poważnie, myślę, że taka zła opinia, jaką ludzie mają o politykach, płynie z braku innego typu legitymacji. Politycy myślą, że Polacy są inni, niż są w istocie. Tu mamy dwie koncepcje. Jedna jest taka, że Samoobrona to druga Solidarność, ta Solidarność nie chce Polski idealnej, tylko Polski realnej, i że w związku z tym, skoro taki jest nasz kraj, to jesteśmy na nią skazani i to jest nasz niepewny, może czarny los. Ale jest też inna szkoła, której ja raczej jestem bliższy, że ludzie są bardziej racjonalni i mają bardziej wyważone opinie, niż śniło się politykom. Natomiast ci politycy sądzą, że ludzie chcą, żeby ich mamić, oszukiwać, obiecywać te gruszki na wierzbie, poza tym myślą, że ludzie lubią ekstremizmy, a tak właśnie nie jest. Tu jest jeszcze problem elit, które do polityki weszły niedawno. To są ludzie, którzy nie przeszli, jak dzieje się to na przykład



Fot. MACIEJ FIGURSKI/FORUM

Mam szacunek dla tradycji, dla rodziny. Szacunek dla Kościoła, szacunek dla historii. Aborcja... Nie wiem, jakie byłyby moje poglądy wtedy, kiedy ta dyskusja trwała, dzisiaj uważam, że ta ustawa jakoś tam się sprawdziła

w Anglii, przez proces wychowywania przez system polityczny. W Anglii, kiedy chłopak chce iść do polityki, to jak ma 22 lata, jest asystentem jakiegoś posła, a jak ma 28 lat, to już startuje w jakimś okręgu. I potem przez całe życie jest politykiem i się tego uczy. Jest też inny model, gdzie ludzie najpierw mają własne kariery życiowe i potem dopiero idą do polityki. A u nas właściwie żaden z nich nie działa. Jak mówił jeden znany polski mąż stanu, nasz polityk to „ni pies, ni wydra, coś na kształt świdra”. I w związku z tym ci ludzie w polityce są tacy, oczywiście z wyjątkami, niedorobieni. U nas do polityki trafiają ludzie bardzo często z nieprzeciętnymi charakterami.

Może to akurat powinniśmy sobie cenić?

– Nie, bo to nie znaczy, że karierę robią silne, nieprzeciętne charaktery, one czasami graniczą z charakteropatią.

To z tego względu powinien się pan martwić o własną karierę, bo wygląda pan na kompletnego „normalisa”.

– Jestem „normalsem”, ale też dlatego jestem raczej „gastarbeiterem” w świecie polityki.

I to mnie martwi.

– Znowu, choć pośrednio, mnie pan pyta, czy czasem po paru miesiącach nie powiem: to ja sobie pójdę, jest za ciężko. Byłem dwa razy epizodycznie w polityce. Pierwszy raz nie zepsułem, tylko zacząłem naprawiać i przegraliśmy wybory. Drugi raz coś jednak też zrobiłem i potem się okazało, że mogę bezboleśnie wyjść, nic się złego nie stanie. Był następcą, minister Grzegorz Kołodko. Więc to też nie była nieodpowiedzialność. W tej chwili taka postawa byłaby chyba nieodpowiedzialnością. To dobrze, że pan takie pytanie stawia... Czy ja mogę być nieodpowiedzialnym lekkoduchem?

**Chyba nieodpowiedzialnym ekonomicznym piękno-
duchem?**

– Moja odpowiedź będzie blankietowa, bo przecież odpowiem, że nie. Ale dobrze, że już sobie uświadamiam istnienie takiego niebezpieczeństwa.

Czy premier Miller, odchodząc, powiedział panu coś istotnego? Prywatnie, tak jak poprzednik następcy.

– Rozmawialiśmy długo. Są pewne rzeczy, szczególnie w sprawach międzynarodowych, które stanowią wiedzę dostępną tylko dla bardzo ograniczonego grona ludzi. Otrzymałem od niego bardzo cenne informacje, wskazówki.

To są informacje, które nie pozwolą nam w żadnej mierze wycofać naszych wojsk z Iraku, bo zawarliśmy na przykład nieformalnie jakieś porozumienia?

– Nie, to nie są żadne tajne sensacje. Miller powiedział mi jeszcze coś takiego: musisz być świadom, premier jest żywą tarczą strzelniczą, musisz być silny, nie możesz się rozczulać, musisz być przygotowany na bardzo trudne czasy.

Do tej pory prezentował pan przede wszystkim poglądy ekonomiczne i gospodarcze. Ma pan jeszcze jakieś inne poglądy?

– Najpierw powiem, że choć oczywiście robię „karierę” polityczną, to nie chcę być politykiem, który wypowiada się autorytatywnie na każdy temat.

Panie premierze, co za banalne nudziarstwo!

– Ale tak jest.

Już Wałęsa nie chciał, ale musiał.

– Ale ja nie mówię, że ja nie chcę, ale muszę. Ja chcę, ale nie muszę.

Jednak wróćmy do pańskiego światopoglądu. Jaki jest ten nasz nowy premier, jest przeciwnikiem aborcji, jest za laickim państwem?

– Jestem wychowany w kulcie wartości tradycyjnych.

Czyli jakich?

– Mam szacunek dla tradycji, dla rodziny. Szacunek dla Kościoła, szacunek dla historii. Aborcja... Nie wiem, jakie byłyby moje poglądy wtedy, kiedy ta dyskusja trwała, dzisiaj uważam, że ta ustawa jakoś tam się sprawdziła.

Jakoś tak, bo mamy bardzo zdolnych ginekologów, którzy zbudowali wielkie podziemie aborcyjne.

– Jeżeli to jest prawda, to jest to wielki argument dla tych, którzy by chcieli liberalizacji. Wiem natomiast, że 25–30 lat temu aborcja nie była uważana za zło, a dzisiaj jest. Nawet przez tych, którzy chcą liberalizacji. Ta ustawa przyniosła z jednej strony zmianę poglądu, ale jeśli z drugiej strony kwitnie podziemie, to to jest hańba. Ale ja w dalszym ciągu się panu migam od odpowiedzi.

Tak.

– Wie pan, jeżeli „roczny” premier rządu chciałby uczynić sprawę aborcji sztandarem swojego urzędowania, to byłby to wyraz bezradności.

Nie każę tego panu wypisywać na sztandarze, ale przecież oprócz tego, że będzie pan starał się pomagać gospodarce, finansom publicznym, naszym kontaktom z Unią Europejską – nie będzie się pan mógł wymigać od na przykład debat parlamentarnych na tematy światopoglądowe.

– Będę się starał nie brać w tym udziału. Jeżeli ktoś chce zmieniać prawo aborcyjne, to powinien to robić przez Sejm.

Zostawmy aborcję. A pańskie zdanie w sporze o zaostrzenie lub niezaostrzenie kodeksu karnego?

– Niech pan mnie o to nie pyta. Jestem w tym mało kompetentny, nie mam na ten temat poglądu.

To jest pan ewenementem! Premier, który nie ma poglądów na temat polityki karnej...

– Nie mam. Zostawmy to prawnikom. Jakbym chciał szukać jakiejś taniej popularności, tobym powiedział: trzeba zaostrzyć, pogonić itd. A to byłaby też tandeta.

Panie premierze, to wyliczmy rzeczy, na których się pan zna i w których będzie pan przemawiał swoim głosem.

– Czy pan zadał kiedyś to pytanie któremuś z moich poprzedników?

Nie, ponieważ oni mieli poglądy w każdej sprawie. Pan jest ewenementem, bo deklaruje, że nie na wszystkim się zna. Więc chcę ustalić sferę pańskich osobistych kompetencji.

– Tego się nie da tak zrobić. Założmy, że zamierzam się bardzo szybko i dużo uczyć, ale będę polegał nie tyle na swoich instynktach – choć te są ważne, bo człowiek musi się kierować instynktami – ile na zdaniu ludzi, fachowców. Uważam jednak, że w pełnieniu wszystkich publicznych funkcji najważniejsze jest nie formalne wykształcenie, lecz charakter i instynkt. Jestem przekonany, że najważniejsze decyzje, jakie człowiek podejmuje w życiu, powstają za sprawą instynktu w ciągu pierwszych trzech sekund po tym, jak powstają jakieś dylematy.

(Tu włącza się rzecznik prasowy Dariusz Jadowski, obecny przy rozmowie)

D.J.: – To jest tak, że premier zaufa swojemu instynktowi, zaufa generalnej mądrości życiowej, którą niewątpliwie ma, i rozsądkowi, którym się kieruje w życiu. Natomiast nie feruje sobie prawa do mądrości w każdej sferze, bo wychodzi z założenia, że są specjaliści.

Jestem przekonany, że najważniejsze decyzje, jakie człowiek podejmuje w życiu, powstają za sprawą instynktu w ciągu pierwszych trzech sekund po tym, jak powstają jakieś dylematy

A panowie się długo znają?

D.J.: – Długo, choć niezbyt intensywnie

Bo pan mówi z dużą znajomością pańskiej, panie premierze, psychiki.

– Nie, rzecznik mówi z dużą znajomością pańskiej psychiki.

D.J.: – W każdym razie premier nie rości sobie pretencji do mądrości w każdej sferze i jako mądry człowiek jest otwarty na rady specjalistów, które potrafi odpowiednio kojarzyć i wykorzystywać.

– I będziemy się tego trzymać.

Polaków zaczyna, szczególnie teraz, po śmierci Waldemara Milewicza, jego operatora i dwóch polskich żołnierzy, „boleć” Irak. Narasta sprzeciw wobec tej wojny. Ma pan jakiś zestaw zdań, którymi będzie uzasadniał naszą tam obecność?

– Jesteśmy tam w różnych celach. Po pierwsze i nie wiem, czy nie najważniejsze – bądźmy raz troszkę mniej cyniczni – jesteśmy tam po to, żeby ludzie się mniej zabijali. Po drugie, myśmy się w to zaangażowali, by dać wyraz naszej pozycji i naszemu uczestnictwu w Sojuszu Północnoatlantyckim jako partner wojskowo-polityczny.

Przypomnę, że Sojusz jako organizacja nie bierze udziału w tej wojnie.

– Ale Amerykanie biorą. Nasza rejterada w tej chwili oznaczałaby, że jako partner jesteśmy umiarkowanie spolegliwi.

Polacy mówią między sobą: a co by się straszno stało, gdybyśmy stamtąd wyjechali?

– Mniej by nas szanowali w Stanach Zjednoczonych, w Europie, w Iraku. A czybyśmy coś wygrali? No cóż, nasi ludzie, nasi żołnierze byliby mniej zagrożeni... Ale trzeba się liczyć z tym, że nasze uczestnictwo w siłach wojskowych interweniujących na świecie będzie się powtarzać.

Pan mówi: „Mniej by nas szanowali”, ale tak naprawdę to oznacza, że na jakich szczytach, na zebraniach światowych gremiów polscy politycy, polski premier, polski minister spraw zagranicznych byliby trochę inaczej traktowani. I tyle.

– Nie tylko. To także oznacza, że Polska na przykład dla Australijczyków bez naszego zaangażowania się w Irak byłaby pojęciem bardziej abstrakcyjnym.

Może lepiej byłoby to osiągnąć ekspansją kultury?

– Trzeba i tak, i tak. Choć w sprawie wojny to polityk, nie artysta, musi brać na siebie odpowiedzialność.

I pan teraz przejmuje tę całą odpowiedzialność? Żadnych „ale”?

– Powtarzam, że naszym celem jest wypełnienie misji, czyli w końcu wycofanie naszych wojsk z ustabilizowanego Iraku.

Nie kusi pana postawa nowego przywódcy Hiszpanii, który objąwszy urząd, wycofał swoje wojska?

– Nie. On akurat zawsze się wypowiadał przeciwko wojnie, więc miał moralne powody, żeby się wycofać. Aczkolwiek niektórzy mogliby powiedzieć, że to wielkie zwycięstwo Al-Kaidy. Ale tak nie jest. Zapatero musiał być po prostu konsekwentny. Natomiast gdyby Polska, w której dotąd wszyscy „ważni” popierali nasz udział w misji, się wycofała, to to dopiero byłoby pierwsze rzeczywiste zwycięstwo Al-Kaidy.



Po lewej: Łódź podwodna HMS „Trafalgar” w czasach świetności. Obok: HMS „Trafalgar” na holu u wybrzeży Szkocji, po tym, jak wpadł na skały. Poniżej: James Metcalf – jeden z 11 marynarzy z HMS „Trafalgar”, którzy odmówili służby z powodu złego stanu technicznego okrętu



JAKUB MIELNIK

PODWODNE TRUMNY ATOMOWE

Po oceanach pływa 160 łodzi podwodnych z napędem nuklearnym. Zderzają się, wpadają na skały, niekiedy toną. Ale tylko nieliczne wypadki wychodzą na jaw

Bunt na pokładzie zaczął się pod koniec kwietnia. W czasie próby sprawności w brytyjskiej bazie Faslane do wentylacji atomowej łodzi podwodnej HMS „Trafalgar” przedostały się spaliny. 130-osobowa załoga musiała zakładać maski gazowe. Do tragedii nie doszło tylko dlatego, że w chwili próby HMS „Trafalgar” był wynurzony. Część załogi ogłosiła bunt. – Ten okręt to śmiertelna pułapka – powiedział prasie James Metcalf, operator

sonaru na HMS „Trafalgar”, do niedawna dumie brytyjskiej Royal Navy.

Jeszcze dwa lata temu nafaszerowana elektroniką łódź podwodna brała udział w inwazji na Afganistan. Z jej pokładu odpalano pociski Tomahawk, które obracały w perzynę afgańskie bazy Al-Kaidy. Zła passa zaczęła się w listopadzie 2002 roku, kiedy okręt wpadł na skały koło szkockiej wyspy Skye. Trafił do stoczni na remont kapitalny.

– Naprawiali go przez półtora roku i ciągle jeszcze nie zszedł pod wodę – mówił Metcalf. Razem z nim zbuntowało się jeszcze 10 mary-

narzy Jej Królewskiej Mości. Nie chcieli wypływać na Atlantyk niesprawnym okrętem. Czterej z nich to eksperci od bezpieczeństwa, pięciu to operatorzy sonarów, a dwaj pracowali przy obsłudze wyrzutni rakiet. Wśród buntowników jest też marynarz z 17-letnim stażem.

Ostatni bunt zdarzył się w Royal Navy 70 lat temu. – Pół wieku temu buntowników po prostu by rozstrzelano – mówi „Przekroju” John Large, niezależny brytyjski ekspert od nuklearnych okrętów podwodnych. Jego firma doradzała rządowi brytyjskiemu po wypadku koło wyspy Skye. Dwa lata

wcześniej Large był głównym konsultantem władz rosyjskich przy zabezpieczaniu reaktora na „Kursku”.

NIE ZAUWAŻYLI WYSPY

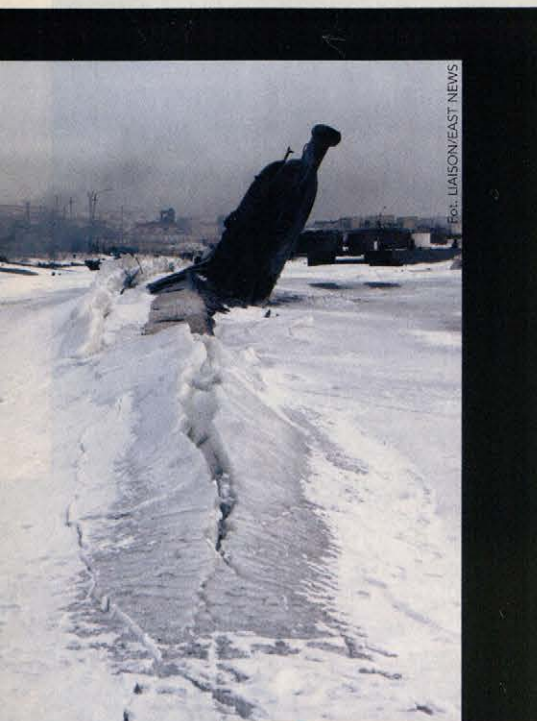
Informacje o wypadkach z udziałem atomowych łodzi podwodnych rzadko przedostają się do mediów. Po ujawnieniu buntu na HMS „Trafalgar” ekolodzy uderzyli na alarm, obawiając się skażenia Atlantyku, eksperci przypomnieli o opłakanym stanie podwodnych flot, a brytyjskie ministerstwo obrony zaprzeczyło zarówno informacji o buncie, jak i samej awa-

rii. Marynarze złamali żelazną zasadę, na której opiera się skuteczność działania podwodnej floty – „im ciszej, tym lepiej”.

Do końca zimnej wojny na świecie było około 400 nuklearnych łodzi podwodnych. Dziś pływa ich około 160. USA dysponują nadal ponad setką okrętów, z czego mniej więcej połowa jest ciągle w morzu. Brytyjczycy i Francuzi eksploatują po kilkanaście łodzi, Chiny mają sześć jednostek. Rosyjska podwodna flota atomowa liczy ponad sto okrętów, ale z braku pieniędzy na remonty większość jednostek rdzewieje w portach.

Oceany przemierzają codziennie dziesiątki jednostek klasy HMS „Trafalgar”. Czasami składają oficjalne wizyty w zaprzyjaźnionych portach, ale zazwyczaj po prostu zanurzają się i przepadają na długie tygodnie w głębinach. Czy rzeczywiście są niebezpieczne?

„Trafalgar” wpadł na skały podczas ćwiczeń. By przybliżyć kadetom warunki na polu walki, komandor Fancy kazał pozaklejać monitory przyrządów pokładowych i pogasić większość świateł na mostku. Kadet kalkulujący kurs z mapy pomylił się o 10 metrów i skierował „Trafalgar” prosto na wyspę Skye. Po kolizji



FOIA: LIAISON/EAST NEWS



FOIA: AP

Cmentarzysko rosyjskich okrętów atomowych koło Władywostoku. Obok: Władimir Putin i Silvio Berlusconi na pokładzie krążownika, który śledziła amerykańska łódź nuklearna

nym. Ta świadomość działa często demoralizująco. Nawet jeśli warunki służby znacznie się poprawiły.

Czasy, gdy na trzech marynarzy przypadła jedna koja, należą już do przeszłości, a na francuskich okrętach podwodnych kucharze codziennie pieką załozde świeże croissants. Wygody nie zmieniają jednak faktu, że podczas kilkutygodniowych rejsów setka marynarzy tłoczy się na powierzchni odwiadającej metrażowi jednorodzinnej domku. W głębinach pory dnia wyznaczają tylko wachty. Reaktor zapewnia nie tylko napęd okrętu, lecz także energię potrzebną do uzdatniania wody i oczyszczania powietrza.

– Po kilku tygodniach zamknięcia w klaustrofobicznej puszczy na dnie oceanu i oddychania regenerowanym powietrzem załozde zwyczajnie odbija – mówi ekspert wojskowy Maciej Fiszler. Nic dziwnego, że czasami doświadczeni kapitanowie urządzają sobie harce, które mają tragiczne konsekwencje.

PODWODNE IGRASZKI

– Myślałem, że to wieloryb, który wystrzelił spod wody na wysokość 20 metrów – opowiadał Hisao Onishi, kapitan japońskiego statku rybackiego zmiążdżonego w 2001 roku przez amerykański okręt podwodny. Załogę „Ehime Maru” stanowili uczniowie liceum rybackiego – ćwiczyli połowy. Pech chciał, że w tym samym rejonie Pacyfiku manewry ćwiczył także USS „Greeneville”.

Komandor Scott Waddle gościł właśnie na pokładzie 16 cywilnych dygnitarzy. Chciał im zademonstrować awaryjne wynurzenie 150-metrowego olbrzyma. Na mostku panował taki tłok, że operator sonaru nie zdążył zawiadomić dowódcy o jednostce znajdującej się na powierzchni. Na dodatek manewr wynurzenia rozpoczął za zgodą komandora jeden z VIP-ów.

Mający wyporność siedmiu tysięcy ton „Greeneville” wynurzył się z impetem, a potem opadł dziobem wprost na „Ehime Maru”. 10 razy mniejszy statek zatonał w ciągu kilku sekund. Zginęło dziewięciu marynarzy, wśród nich czterech 18-letnich uczniów. Komandora ukarano obcięciem zarobków i wcześniejszą emeryturą. Przy okazji wyszło na jaw, że wcześniej „Greeneville” uderzył w dno morza u wybrzeży Hiszpanii. Zderzył się też z amerykańskim krążownikiem w Zatoce Perskiej koło Omanu. Rządy Hiszpanii i Omanu nic nie wiedziały o wypadkach.

Jesienią ubiegłego roku w podobnej sytuacji znalazły się Włochy. Pod koniec września USS „Hartford” wypłynął w północny rejs po Atlantyku, a już miesiąc później był z powrotem w doku z rozprutym kadłubem i całkowicie zniszczoną aparaturą podsłuchową. Dowództwo amerykańskiej Szóstej Floty zatailo przed sojusznikami, że okręt zarył

w dno nieopodal Sardynii. Włoska prasa spekulowała, że „Hartford” przypłynął pod Sardynię w ślad za rosyjskim krążownikiem „Moskwa”, na którym prezydent Władimir Putin podejmował wówczas włoskiego premiera Silvia Berlusconi.

Wizyta flagowego okrętu Floty Czarnomorskiej na Sardynii miała symbolizować odrodzenie rosyjskiej potęgi morskiej. Putinowi nie było jednak dane otrząsnąć się z kaca po katastrofie „Kurska”. Na pokładzie krążownika dotarła do niego wiadomość o kolejnym wstydliwym wypadku. Przeznaczony na złom K-159 z dziewięcioma marynarzami na pokładzie zatonał w czasie holowania przez Morze Barentsa.

POLOWANIE Z NAGONKĄ

Dziś Flota Północna utrzymuje w gotowości tylko sześć atomowych okrętów podwodnych. Nie oznacza to jednak, że Rosjanie zrezygnowali ze swoich morskich aspiracji.

Na początku ubiegłego roku zatrzymano w Rosji dziennikarza Wadima Samowa, który opublikował obszerny raport o rosyjskich szpiegowskich okrętach podwodnych. Wynikało z niego, że mimo fatalnego stanu strategicznych kolosów o napędzie nuklearnym Rosjanie prowadzą w głębinach intensywną działalność wywiadowczą.

Marynarka rosyjska posiada specjalną eskadrę miniaturowych okrętów podwodnych o napędzie nuklearnym. Mogą one całymi miesiącami pozostawać na dnie. Ściągają tam dane z kabli telefonicznych lub zagłuszają sygnały ze stacji nasłuchowych NATO, które strzegą podwodnych szlaków z Morza Barentsa na Atlantyk. O znaczeniu tej jednostki świadczy fakt, że w ciągu ostatnich 10 lat jej dowódca, kontradmirał Władimir Dronow, i 10 jego podwładnych zostali udekorowani Orderami Bohatera Rosji, najwyższym odznaczeniem wojskowym Federacji.

Mimo to Amerykanie i Brytyjczycy pozostają dziś władcami oceanów. Od rozpadu potęgi wojskowej ZSRR ich okręty swobodnie inwigilują tak zwany szlak północno-wschodni biegnący wzdłuż syberyjskich wybrzeży Rosji aż do Władywostoku.

Dziś brytyjskie i amerykańskie okręty podwodne działają głównie na Dalekim Wschodzie, u wybrzeży Chin. To one pretendują dziś do zastąpienia ZSRR w roli nuklearnego supermocarstwa. Chińczycy mają sześć atomowych okrętów podwodnych i stale rozbudowują swoją flotę. Amerykański samolot szpiegowski, który trzy lata temu został zmuszony przez Chińczyków do lądowania na wyspie Hajnan, fotografował podobno tajne doki, w których Pekin buduje nowe łodzie podwodne.

– Od połowy lat 90. Amerykanie i Brytyjczycy tworzą na Dalekim Wschodzie pod-

wodną sieć stacji nasłuchowych i utrzymują stałe patrole, które śledzą ruchy chińskiej floty – mówi „Przekrojowi” John Large.

– Jedynym sposobem na upilnowanie wrogiego okrętu podwodnego jest namierzenie go przy wyjściu z portu – mówi Large. Tę metodę stosują też Rosjanie. Od końca lat 90. statki handlowe pewnego rosyjskiego armatora z Władywostoku pojawiają się wszędzie tam, gdzie są amerykańskie łodzie podwodne. W głębinach wciąż trwa zimna wojna.

BUNTU NIE BYŁO

Mnożące się awarie na zachodnich okrętach podwodnych to znak, że katastrofa na miarę „Kurska” może się powtórzyć. Niewłaściwa obsługa, problemy techniczne i złe przygotowanie marynarzy są przypadłością nie tylko rosyjskiej floty podwodnej. – Załogi wypływają dziś na znacznie dłuższe misje niż te, do których były szkolone – mówi John Large.

Do buntu na HMS „Trafalgar” doszło po całej serii wypadków z udziałem brytyjskich okrętów atomowych. W 2000 roku u wybrzeży Szkocji na skały wpadł HMS „Triumph”. Śledztwo wykazało, że prowadzący okręt oficerowie Pilpott i Tabberer przez 12 dni spali po cztery godziny na dobę. W tym samym roku atomowy okręt podwodny HMS „Tireless” (co znaczy



FOIA: NEWSMAKERS/EAST NEWS



FOIA: MIA/BECK

USS „Greeneville” w suchym doku w Pearl Harbour. Dowódca, komandor Scott Waddle, staranował japoński statek rybacki pelen uczniów szkoły morskiej. Zginęło dziewięciu marynarzy

„Niestrudzony”) zawiął na Gibraltar z awarią systemu chłodzenia reaktora atomowego. Admiralicja przez rok bagatelizowała sprawę. Gdy „Tireless” dotarł do Anglii, Royal Navy przyznała, że niebezpieczeństwo skażenia było bardzo duże. W maju 2003 roku ten sam HMS „Tireless” znów trafił do doku – zderzył się z górą lodową na północnym Atlantyku.

Brytyjczy ekolodzy wspomagani przez media domagają się sprawdzenia stanu podwodnej floty Jej Królewskiej Mości. „Buntownik” z HMS „Trafalgar” James Metcalf twierdzi, że jego okręt może podzielić los „Kurska”, który zatonał, bo dowództwo przytykało oko na fatalny stan jednostki. Brytyjska marynarka uważa jednak, że „Trafalgar”

ma się dobrze. Mimo to okręt ciągle stoi wynurzony u wybrzeży Szkocji.

Admiralicja uznała, że reakcja 11 członków załogi HMS „Trafalgar” to wynik stresu wywołanego wypadkiem sprzed dwóch lat. Buntowników skierowano na badania, a potem pod groźbą sądu polowego zmuszono do powrotu na pokład. Według oficjalnego komunikatu Royal Navy buntu w ogóle nie było, a marynarze zgłosili jedynie zastrzeżenia co do stanu technicznego jednostki. Wokół okrętów podwodnych znów zapadła głęboka cisza. Do następnej awarii.

JAKUB MIELNIK

WSPÓŁPRACA ANDRZEJ ŁOMANOWSKI

okręt wart 300 milionów funtów osiadł na dnie, a na pokładzie omal nie wybuchła panika. Dowódca dostał reprimendę, po czym przeniesiono go na pokład HMS „Triumph”. Ten okręt też zarył w brzeg Szkocji, tyle że wcześniej i pod innym dowództwem.

Wybuch reaktora na łodzi atomowej klasy HMS „Trafalgar” byłby 70 razy silniejszy niż ten, który zmiotł Hiroszimę. Zderzenie ze skałami na głębokości 50 metrów mogło skończyć się śmiercią nie tylko 130-osobowej załogi. Po wypadku szkoccy ekolodzy zażądali zawieszenia misji wszystkich atomowych okrętów podwodnych, zwracając uwagę, że w rejonie zagrożenia mieszkają miliony ludzi.

MARYNARZOM ZWYCZAJNIE ODBIJA

Załogi atomowych okrętów podwodnych nie mają szans na zetknięcie się z prawdziwym przeciwnikiem. – Powolny upadek rosyjskiej potęgi na morzach świata przypomniety katastrofą „Kurska” sprawił, że amerykańskie i brytyjskie okręty podwodne nie mają dziś godnego przeciwnika – mówi „Przekrojowi” Richard Scott, analityk brytyjskiego pisma „Jane’s Defence Weekly”. Trudno wymarzyć sobie wygodniejszą sytuację niż ta, w której jest się absolutnie bezkar-



telewizja tvn

Newsweek

W KINACH OD 14 MAJA WWW.TROJA.PL

VIVA!

Radio ZET

Warner Bros. Pictures



BANKOWCY

8:46:59
06-05-04

Podejmujesz w banku większą ilość gotówki? Nie miej złudzeń, nie jesteś bezpieczny. Obserwuje cię doskonale zorganizowana szajka specjalistów

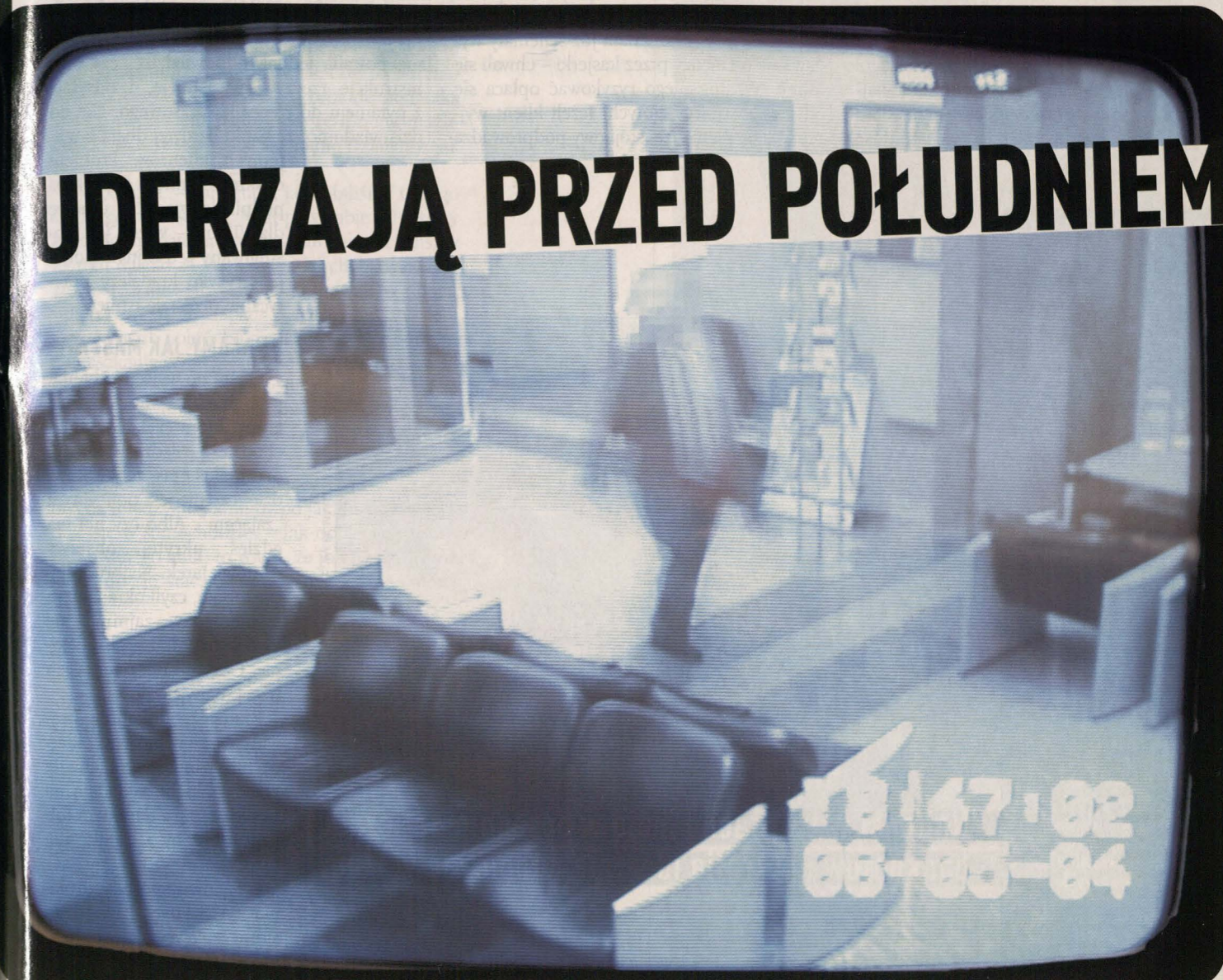
TOMASZ CZUKIEWSKI

Latwo pomylić ich z narkomanami lub małolatami, którzy działają podobnie, okradając z drobnych pieniędzy starsze osoby. Cieszą ich takie pomyłki, bo w ten sposób unikają odpowiedzialności: policja ich winami obarcza złapanych na kradzieży amatorów. – Nie można mówić o jakichś zorganizowanych grupach czy szajkach, ci złodzieje są zwykle pojedynczymi, zdesperowanymi osobami – przekonuje nas Anna Kędzierzawska z biura prasowego Komendy Stołecznej Policji. Prawdziwi złodzieje wysoko sobie cenią tę nieświadomość policji. Są dobrze zorganizowani i wiedzą, jak unikać niebezpieczeństwa. Nie

działają „na głódzie”, są wyrachowanymi profesjonalistami i doskonale znają prawo. Większość ma już za sobą jakiś wyrok, kuszą ich łatwe pieniądze i dobra zabawa. Podzieleni na grupy właśnie wkraczają w pełnię sezonu łowieckiego. Bo gdy nadchodzą cieplejsze dni, gdy gotówki nie ukryjemy pod zwalami zimowych ubrań, łatwiej jest okraść ludzi, którzy w banku podjęli pieniądze. **ŻYCIE JEST ZBYT KRÓTKIE** „Koper” i „Sołtys” mają po 22 lata. Znają się od dziecka: razem chodzili do podstawówki, razem nie skończyli nauki w technikum samochodowym i zawsze razem kombinowali pieniądze. – Parę lat temu kradliśmy

towar z supermarketów, ale później poznaliśmy Jarka. Po jakimś czasie zaproponował nam robotę – mówi wysoki, chudy „Koper”. O kolegach z „pracy” lubi mówić „mafiosi”. Jarek (27 lat) działał wcześniej w grupie, którą przypadkiem złapała policja. Po wyjściu z więzienia założył własny gang. – Psy już mnie znają, dlatego nie mogą być za bardzo widoczny. Pełnię funkcję kierowcy lub w razie potrzeby ubezpieczam chłopaków – opowiada. Razem pracują od czterech lat i nie potrafią już powiedzieć, ile przez ten czas nakradli. Cała trójka mieszka na jednym, złodziejskim osiedlu, gdzie każdy zna każdego, każdy każdemu jest winien jakieś pieniądze. – Większość z nas raczej od razu wszystko przepie-

Na zdjęciach z kamer bankowych nie można rozpoznać bandytów. Ci, którzy obserwują klientów, nie biorą udziału w napadach



UDERZAJĄ PRZED POŁUDNIEM

8:47:02
06-05-04

prza, ale jestem przekonany, że mamy dużą bańkę na koncie – mówi „Sołtys”. – Nie żałuję, że nie odkładam. Życie jest za krótkie na oszczędzanie – przekonuje. Ostatniego z załogi – Mirka – poznali dosyć późno. Nie mieszka na ich osiedlu, ale kojarzyli go ze wspólnych imprez. Specyficzny typ człowieka, który zna prawie każdego, przy czym sam nie rzuca się w oczy. Takich grup jak oni w stolicy jest kilka, w Polsce kilkanaście. Ich ekipa należy do elity, bo od czterech lat nie mieli żadnej wpadki. **NIE MA KWASÓW** Większość takich grup składa się z czterech osób: kierowcy (który jest zarazem

ochroniarzem), dwóch chłopaków (tych od najbrudniejszej roboty) i stojkowego. Okradaniem zajmują się od godziny 9 do 13. – Później już nie ma sensu szukać klientów, ludzie wracają z pracy do domów, za dużo osób, za dużo świadków – tłumaczy „Sołtys”. – Poza tym wieczorem trzeba się gdzieś pobawić – śmieje się „Koper”. Skład grupy często pozostaje niezmienny latami. Żeby do niej dołączyć, należy wykazać się odwagą i poświęceniem. – Na pierwszej robocie chłopaki wysłali mnie samego na dwóch kolesi, i to jeszcze po śmiesznej sumie. Ale musiałem się sprawdzić, żeby dołączyć do ekipy. I, jak widać, udało się – wspomina „Koper”.

W grupie panuje ściśle określony podział ról, jest hierarchia, jednak pieniądze dzielone są sprawiedliwie na cztery równe części. – Nie ma wtedy żadnych kwasów o hajs, takie rzeczy niszczą grupę – tłumaczy „Koper”. Ludzie z grupy trzymają się razem, pomagają sobie, nie ma przymusu niczego. – Jeżeli ktoś chce odejść, to odchodzi, musi jednak nas uprzedzić – mówi „Sołtys”. – Ale rzadko ktoś rezygnuje. To za duży i za łatwy zarobek. Szczególnie w naszej ekipie, gdzie od lat nie było żadnej wpadki. Jesteśmy już swoi. Szybko to wpadają małolaty, które nie za bardzo wiedzą, na co uważać. Teraz, gdy zaczyna się sezon, tych grup będzie jeszcze więcej, ale my się nie bijemy o teren, nie

czyścimy ich. Policja robi to za nas – uśmiecha się „Sołtys”.

STÓJKOWY BEZ ZARZUTU

Ofiara wybierana jest w banku przez faceta nazywanego w branży stójkowym. Ma najczystsza robotę ze wszystkich – znajduje klienta, który wyjmie z konta większą ilość

Gdy stójkowy zauważy, że ktoś wyjmie większe pieniądze, oblicza przybliżoną wartość kwoty. – Wystarczy mi jedno spojrzenie i już wiem wszystko. Znam już schematy wydawania pieniędzy przez kasjerki – chwali się Mirek. Według niego ryzykować oplać się od sześciu tysięcy złotych. Jeżeli klient wyjmie takie pieniądze, stójkowy podprowadza

Podobno są oficjalne instrukcje, według których kasjerki powinny wydawać pieniądze tak, żeby nikt oprócz obsługiwanego klienta tego nie widział. Pracownicy banku nie potrafią jednak odpowiedzieć, czy owe instrukcje rzeczywiście istnieją, i odsyłają z pytaniem do rzecznika prasowego. Nie od dziś wiadomo, że banki bardziej dbają o mających klientów. Problem dyskrecji znika, jeśli ktoś podpisuje specjalną umowę dla VIP-ów – wtedy jest obsługiwany w osobnym pokoju i ryzyko kradzieży praktycznie przestaje istnieć.

DZIAŁAMY JAK MASZYNY

Ofiara po wyjściu z banku jest przekazywana reszcie grupy, która czeka w samochodzie. – Śledzimy klienta przez jakiś czas, żeby sprawdzić, czy nie jest policyjnym „zajacem”. Albo czy nie ma gdzieś ukrytej obstawy – mówi Jarek. Najbrudniejszą robotą, czyli okradaniem z pieniędzy, zajmuje się dwóch najmłodszych w ekipie. Czasami ubezpiecza ich trzeci, największy.

Kradzieży dokonują prawie zawsze w blokowej klatce lub windzie. Na chwilę przed atakiem zakładają na głowę czapki z daszkiem lub kaptury, żeby ich nikt nie rozpoznał.

– Są dwa sposoby krojenia: na „wyrwę” i na „dziesionę”. Wyrwa jest bezpieczniejsza, grozi za nią mniejszy wyrok, ale robi się ją w pojedynkę, bo nie mo-

że być pobicia. Sztuka polega na tym, że trzeba szybko, za jednym szarpnięciem, wyrwać torebkę, saszetkę czy po prostu coś z pieniędzmi. Za wyrwę, jeżeli ma się czyste konto, dostaje się „zawiasy”, bo prokuratorzy nie chcą się pieprzyć z jakimiś gównianymi sprawami. A sędziowie nie chcą wsadzać, bo więzienia i tak są przepełnione. Sprawa jest więc czysta – mówi „Koper”.

Drugi sposób to klasyczna „dziesiona”. – Dwóch okrada, a trzeci ubezpiecza w razie niebezpieczeństwa. Jeden z okradających dusi ofiarę, a drugi wyrwa łup. Czasami jest problem, bo trzeba obezwładnić dwie osoby, ale działamy głównie na ich strachu, panice. Ludzie boją się o swoje życie – tłumaczy „Koper”. Dlatego osoby, które „mają kontakt z klientem”, muszą wyróżniać się w grupie zdecydowaniem i bezwzględnością.



Fot. JACEK MARCZEWSKI/AGENCJA GAZETA

Najlepsi w tym fachu mają w oczach przelicznik banknotów i potrafią idealnie wtopić się w tłum

gotówki. – Najlepsi w tym fachu mają przelicznik w oczach i potrafią idealnie wtopić się w tłum. Wiem, o czym mówię, bo jestem jednym z najlepszych – mówi Mirek.

Ma 32 lata, wygląda na kulturalnego drobnego biznesmena. – Pierwsza zasada: muszę być poza wszelkim podejrzeniem, bo to moja twarz jest w kamerze bankowej. Trzeba więc wiedzieć, jak się ustawić. Poza tym zawsze mam przy sobie grubszy pieniądz. Dla siebie, że niby chcę otworzyć konto, bo ochrona lubi podejść i zapytać, co tutaj robię, na co czekam – tłumaczy Mirek. O swój wizerunek drobnego handlarza dba od lat. – Wujek sprowadza terakotę z Niemiec, staram się wyglądać i zachowywać jak on – mówi Mirek, a „Koper” dodaje: – Bywa, że jeździ się tydzień za robotą i nic. Wtedy faktycznie stójkowi mają przejebane, ale tak naprawdę to czy sta robotą, najmniej ryzykowna – zachwala.

go reszcie grupy. – Czasami, jak są mniejsze sumy, odpuszczamy. Ale nie wyobrażam sobie, żeby odpuścić na przykład 20 tysięcy. Jeżeli mamy namierzoną taką kasę, to już jest nasza – tłumaczy „Koper”.

– W ten sposób można odróżnić prawdziwych chłopaków od łepunów, którzy okradają babcię z emerytur. My nie ruszamy małych sum – mówi stójkowy Mirek.

Banki nie potrafią bronić swoich klientów przed kradzieżami. Zasada, że tylko jedna osoba może stać przy okienku, niestety rzadko jest ściśle przestrzegana.

– Maszyna do liczenia pieniędzy jest ustawiona tak, żebym, stojąc przy okienku, widział ekranik. Ale dzięki temu wszyscy stojący za mną także wiedzą, jaką kwotę wypłacam. Zawsze czuję się trochę niepewnie, wychodząc z mojego banku z pieniędzmi w torebce – mówi jedna z klientek.

– Kobiety są bardziej waleczne. Zdarza się, że trzeba uderzyć, bo krzyczą. Starszych ludzi nie trzeba bić, oni mają większy szacunek do życia, boją się je stracić. Dla normalnego człowieka to jest niezrozumiałe, bo nigdy nie czuł tej adrenaliny co my. To jest wszystko robione pod taką presją, poczuciem zagrożenia, że nie ma możliwości przeciwstawienia się nam. Działamy jak maszyny – tłumaczy „Sołtys”.

Wspomina: – Pamiętam, jak robiliśmy takiego młodego biznesmena. Miał przy sobie 20 tysięcy euro. To był nasz największy zarobek. Jechaliśmy za nim daleko za Warszawę. On chyba wiedział, że go śledzimy, strasznie kombinował. W końcu udało nam się go złapać. Waleczny był, musieliśmy go ostro pobić, bo strasznie krzyczał. Potem z mieszkania wybiegł jakiś koleś. Jarek, który nas ubezpieczał, musiał przywalić mu rurą. To była strasznie brudna i niebezpieczna robota. Na szczęście nikt nas za dobrze nie zapamiętał – opowiada „Sołtys”.

Chwilę po ataku okradający rozdzielają się, biegną między blokami, by po jakimś czasie spotkać się w samochodzie. – Jak dobiegam do zaparkowanego auta, to wiem, że już nic złego nie może mi się stać, bo zaraz znikniemy – mówi „Koper”.

KRÓLOWIE ŻYCIA

Po udanej pracy rozpoczyna się zabawa. – Jak już zarobimy, to forsy jest zwykle od cholery. Wtedy w ruch idzie totalny melanz, czyli kokaina, dziwki, jakieś disco. Ogólnie rzecz biorąc, przez parę dni jesteśmy królami życia – rozmarza się „Sołtys”.

O ofiarach nie myślą, nie mają wyrzutów sumienia czy też szlachetnych odruchów zwracania pieniędzy. – To jest kradzież, ale pieniądz rzecz nabyta. Wszyscy kradną: politycy, urzędnicy, biznesmeni. Wystarczy tylko otworzyć gazetę. Aż roi się od afer. Zresztą ja mam zamiar otworzyć niedługo jakiś legalny biznes. Jak to mówią: pierwszy milion trzeba ukraść – planuje Mirek. Dlatego jako jedyny z grupy odkłada pieniądze.

– Ja po prostu lubię tę robotę, bo mimo dużego strachu tak naprawdę ryzyko wpadki jest małe, a zarobek duży – podsumowuje „Sołtys”.

Od jakiegoś czasu banki zaczęły współpracować z policją, w ich placówkach przeczytać można ulotki informujące klientów o potencjalnych zagrożeniach. – Starsze, samotne osoby mogą z jednodniowym wyprzedzeniem zadzwonić do najbliższej komendy. Zostaną wtedy odeskortowane z banku do domu przez funkcjonariuszy – mówi Anna Kędzierzawska z Komendy Stołecznej Policji.

– Faktycznie jest może trochę gorzej. Ale nie jest źle, zarabiamy swoje, bo wszystkich policja nie odeskortuje. Poza tym nie zapominajmy, że weszliśmy do Unii. Otwierają się przed nami różne ciekawe możliwości – rozmyśla Jarek.

TOMASZ CZUKIEWSKI



MOTOROLA
intelligence everywhere™

MOTOROLA i stylizowane logo M są zastrzeżonymi znakami towarowymi Motorola, Inc. BLUETOOTH jest zastrzeżonym znakiem towarowym, używanym przez Motorola, Inc. za zgodą właściciela. © 2003 Motorola, Inc. Wszelkie prawa zastrzeżone.

MOTOCONTROL



Bluetooth – pocuj swobodę
beprzewodowy zestaw słuchawkowy Motorola HS 810 mały i lekki (20g)
4 godziny rozmowy
100 godzin czuwania
zasięg 10m
odwiedź naszą stronę:
www.motorola.pl
infolinia: 0 801 620 620 lub
(22) 60 60 112 z tel. komórkowych



Niech nowi członkowie Unii realizują swoje interesy narodowe, zamiast dostosowywać je do nadrzędnych europejskich racji

Ciesz się, Zachodzie!

Łatwo przeoczyć wagę wydarzenia, które zapowiadano od dawna. Proces rozszerzenia Unii Europejskiej o 10 nowych członków, przede wszystkim z Europy Środkowej, był tak rozciągnięty w czasie, że gdy 1 maja rozszerzenie stało się faktem, wydało się wydarzeniem niemal banalnym. To jednak doniosły moment w dziejach Europy: ostatni akt burzenia żelaznej kurtyny i ponowne zjednoczenie długo podzielonego kontynentu.

STRACH I ZOBOWIĄZANIA

Ekspansję uczczono na wiele sposobów, ale nie zmieniło to ponurego nastroju wśród starych państw członkowskich. Europejcy przywódcy zrobili niewiele, by przekonać swych wyborców do idei rozszerzenia, więc opinia publiczna jest nastawiona raczej wrogo. Starzy członkowie wcale nie witają obywateli dawnych państw komunistycznych z otwartymi ramionami, wręcz przeciwnie – starają się mnożyć przeszkody na drodze do ich pełnego uczestnictwa w elitarnym klubie.

Mrożące krew w żyłach historie o milionach imigrantów szukających pracy oraz pasożytach chcących żerować na szczodrych systemie socjalnym skłoniły większość zachodnich rządów do ograniczenia swobody zatrudnienia dla nowych obywateli Unii. Główni płatnicy netto do unijnej kasy chcą obniżyć transfery z budżetu UE do nowych państw członkowskich i stanowczo mówią im, by nie liczyły na taką samą szczodrość, jakiej w przeszłości doświadczyły Hiszpania i Irlandia. Ponadto wielu polityków atakuje rzekomo nieuczciwą konkurencję ze strony nowych krajów, która objawia się w irytującym zwyczaju utrzymywania płac na niskim poziomie i obniżaniu podatków.

Takie podejście nie uwzględnia dwóch najważniejszych korzyści płynących z rozszerzenia Unii. Pierwszą z nich jest zadośćuczynienie krajom, które przez kaprys geografii wiele lat cierpiały komunistyczne zniewolenie. Powinnością Zachodu jest zwiększenie zatrudnienia, inwestycji i podniesienie standardów życia w tych krajach, bo większość z nich jest znacznie biedniejsza niż państwa, które wcześniej wchodziły do europejskiego klubu. Tego nie da

się zrobić bez wysiłku ze strony starych krajów członkowskich i bez poniesienia przez nie pewnych kosztów.

Druga korzyść jest mniej oczywista, ale może się okazać nawet ważniejsza. Chodzi o to, co nowi członkowie mogą wnieść do klubu. Stary Kontynent przechodzi obecnie przez powtarzający się co pewien czas okres gospodarczego застоju. Wzrost jest anemiczny, szczególnie w najważniejszych krajach strefy euro. Bezrobocie utrzymuje się na zastraszająco wysokim poziomie. Podejmowane bez większego przekonania próby zreformowania prawa pracy, szczodrego systemu emerytalnego i rozdętego państwa opiekuńczego spotykają się ze zdecydowanym sprzeciwem wyborców. Większość europejskich firm przegrywa w konkurencji z Ameryką i Azją.

Ktoś mógłby nawet zapytać, po co nowe kraje wchodzić do tak podupadającego klubu? Na szczęście ich pojawienie się może zmienić sytuację na lepsze. Ich gospodarki są stosunkowo małe, ale rozwijają się znacznie szybciej od starych państw członkowskich. To zaś oznacza większy i dynamiczniejszy rynek dla europejskich przedsiębiorstw. Niższe płace, świadczenia socjalne i podatki także przysłużą się Europie. Jak każda konkurencja, nowe kraje członkowskie będą stanowiły potężny bodziec dla swych starszych kuzynów, by obniżyć koszty i ograniczać świadczenia socjalne.

Większość nowych członków przynosi to sąbą również zdrowe spojrzenie na europejski projekt. Kraje te dokonały wielkiego wysiłku, by wyostać się ze śmiertelnego uścisku Związku Radzieckiego, i nie chcą go teraz zamieniać na męczącą kuratelę Brukseli. Nowi członkowie opowiadają się za państwem wielonarodowym, a nie superpaństwem europejskim. Niewielu jest wśród nich zwolenników europejskiej konstytucji. W większości wierzą raczej w wolny rynek niż państwowy interwencjonizm i mogą wzmocnić w Unii zwolenników gospodarczego liberalizmu.

Istnieje oczywiście niebezpieczeństwo, że nowi członkowie powtórzą błędy starych. W Europie Środkowej także nie brakuje zwolenników państwowego interwencjonizmu i regulowania rynku. Firmy mogą, tak jak to się stało w Niemczech Wschodnich, zresztą ze



FOT. BORIS KOLESNIKOV/AP

szkodą dla tego kraju, nauczyć się, że łatwiej jest domagać się subsydiów, niż szukać nowych rynków. Kiedy liczni w tym regionie rolnicy otrzymają w końcu pełny dostęp do monstrualnie rozbudowanej wspólnej polityki rolnej, mogą dołączyć do potężnego lobby na rzecz jej utrzymania.

PRZECIW HEGEMONOM

Nowi członkowie UE są jednak z pewnością świadomi tych zagrożeń. Widzą wszak, jak Niemcy, Francja i Włochy boleśnie odczuwają konsekwencje wysokich podatków, interwencjonizmu państwowego i nadmiernego poziomu regulacji w gospodarce. Jeśli wykażą się mądrością, przeciwstawiać się mnożeniu przez Brukselę uregulowań w sprawach socjalnych i ochrony środowiska. Nie posłuchają też zwodniczych podszeptów do harmonizacji polityki podatkowej i będą zwlekać z decyzją o przyjęciu euro.

Podsumowując, nowe państwa członkowskie powinny realizować swoje interesy narodowe, a nie dostosowywać je do nadrzędnych europejskich racji, o których nie wiadomo do końca, czy istnieją. Postępując w ten sposób, nowe państwa mogą zawrócić Unię z drogi ku politycznemu monolitowi. Nowi członkowie zdecydowanie przeciwstawiają się francusko-niemieckiej koncepcji twardego jądra Europy na rzecz zróżnicowanej Europy wielu prędkości.

Jeśli coś może uratować Unię przed popadnięciem w starczą demencję, to właśnie ekspansja na wschód i południowy wschód. I to jest wielki powód dla wszystkich starych państw członkowskich, by z entuzjazmem powitać majową jutrzenkę rozszerzenia ich klubu.

© THE ECONOMIST 2004

TYTUŁ I ŚRÓD TYTUŁY – OD REDAKCJI „PRZEKROJU”



Zyskaj na połączeniu! Karta kredytowa i konta osobiste bez opłat

Tylko do 31 maja specjalna oferta unijna: europejska karta kredytowa – seria limitowana, konto osobiste do 12 miesięcy za 0 zł. Połącz korzyści – bez granic, bez opłat! Aby uzyskać więcej informacji, przyjdź do dowolnego z 500 Oddziałów Banku BPH lub zadzwoń pod numer 0 801 321 321*.

Bank indywidualnych rozwiązań

Bank BPH

*koszt jak za połączenie lokalne



Zbudowany jest z ambicji i goryczy, którą nosił w sobie przez ostatnie siedem lat, odkąd odepchnięto go od władzy.

Terminator polityczny

WALDEMAR PAWLAK

wraca pomścić swoje krzywdy i zdobyć władzę

W

aldemar Pawlak przeszedł w stan gotowości 16 marca 2004 r. na kongresie PSL. Stało się to zupełnie nieoczekiwanie, po siedmiu latach bezczynności, gdy się zawiesił po odwołaniu go z funkcji prezesa PSL.

Zaplanował dokładnie swój powrót. Wsparł Janusza Wojciechowskiego i zrobił go presem. Sam miał zostać szefem Rady Naczelnej ludowców, czyli drugą figurą Stronnictwa, by z tylnego siedzenia włączyć się do wielkiej polityki.

Nie wyszło, bo pokrzyżował mu plany Jarosław Kalinowski, który wykonując pokerową zagrywkę, też wystartował na szefa Rady Naczelnej PSL zamiast na prezesa partii.

– To, co się stało na kongresie, było zupełnie nielogiczne. Najpierw kongres odwołał Kalinowski, a potem wsadza go na kierownicę autobusu, którym jedzie człowiek Pawlaka

Janusz Wojciechowski – mówi Władysław Serafin, szef kółek rolniczych.

Kalinowski wygrał ten etap gry, ale to zaledwie lekko spowolniło rozpędzonego Pawlaka, który już zaprogramował się na przejęcie władzy. Na razie w Stronnictwie.

OPIS URZĄDZENIA

Zamknięty hermetycznie. Mrukliwy, nieprzystępny, nieufny. Zimny i z dystansem. Przyjaźni się z komputerami. Drewnianym głosem i ołowianym spojrzeniem odstrasza dziennikarzy.

Ponoć pod obudową cyborga jest miłe, a nawet dowcipne wnętrze, inteligencja i wielki, analityczny mózg stratega. Dziennikarzom nie dane było tego nigdy doświadczyć, bo rozbijała się o stalowe zderzaki prezesa, który przeganiał ich, mówiąc: „A sio!”

– Gdyby trochę się zmienił, nabrał otwartości i wicowości, odnosiłby wielkie sukcesy. Ale on mówi: „Jestem, jaki jestem” i dlatego

nie można oczekiwać, że Waldek nagle stanie się Michałem Wiśniewskim polityki – mówi Władysław Serafin.

Janusz Piechociński uważa, że Pawlak cyborg odszedł w niepamięć i z dala od partyjnego centrum narodził się ktoś nowy.

– Pamiętajmy, że Waldek wtedy zetknął się z cynizmem i wyrafinowaniem, że zamknął się w skorupie, by się bronić – mówi Piechociński. – Teraz odżył i jest bardziej otwarty.

PRZECHODZENIE W STAN SPOCZYNKU

Przejście w stan spoczynku nastąpiło w 1997 roku, po wyborach parlamentarnych, w których ludowcy wypadli dość słabo. Rada Naczelna PSL uznała, że Pawlak się wyładował i już nie zadziała. Jakby skończyły mu się baterie. Zamiast – jak cztery lata wcześniej – przyciągać elektorat, odpychał.

– Nastąpiła zemsta aktywu na szefie, bo aktyw zawsze mścił się na liderach za swoje porażki w terenie – mówi Władysław Serafin.

– Odwołali go ci, którzy przez lata ślizgali się na jego grzbiecie. Odszedł, bo przerastał pokolenie zgorzkniałych partyjniaków o głowę.

To właśnie 32-letni Pawlak zbudował potęgę PSL. 13 lat temu Stronnictwo pozbyło się Romana Bartoszcze z solidarnościową przeszłością i postawiło na młodego działacza ZSL. Waldemar Pawlak został premierem, miał za sobą 136 posłów i 36 senatorów. Nigdy wcześniej ludowcy nie byli tak potężni. Zanim go odwołali, widzieli w nim drugiego Witosa.

Wyeksploatowanego prezesa zastąpił Jarosław Kalinowski.

– Pięknym gwoździem do trumny Pawlaka była młoda rzeczniczka rządu Ewa Wachowicz – mówi Serafin. – Do dziś wieś nie potrafi zrozumieć, o co chodziło i po co mu to było. Ludzie mu to pamiętają.

Dwukrotny premier, kandydat na prezydenta RP zerwał kontakt z centralą i przeszedł w stan uśpienia. Został szeregowym posłem. Nie angażował się ani w Sejmie, ani w partii.

– Inwestował w siebie – opowiada poseł PSL. – Dużo czytał, zajął się finansami, zarządzaniem, szlifował angielski. Łatwiej było go spotkać w bibliotece niż na partyjnych zjazdach. Wolał książkę i komputer od rozmów z ludźmi.

Był maklerem Warszawskiej Giełdy Towarowej. Trzy lata temu został jej presem. Z dala od polityki, salonów i intryg przygotowywał swój powrót, bo Pawlak to precyzyjna maszyna polityczna planująca kolejne ruchy.

– Wybitny strateg, który każdy swój krok przewiduje z co najmniej rocznym wyprzedzeniem. Jeśli zdecydował się wyjść z cienia, to znaczy, że walczy o zwycięstwo, bo na fajerwerkach mu nie zależy – mówi poseł PSL.

Gra idzie o władzę, więc wokół Pawlaka robi się tłoczno.

– Już teraz ci, którzy pozbawili go władzy, stoją zgięci w pół, bo czują, że z Pawlakiem można się zabrać – mówi Serafin. – Na Grzybowskiej w PSL-u zawsze robi się tłok, gdy

STEFAN MAKUŁA

aktyw czuje, że rozdają władzę. A jak trzeba płacić rachunki, to nie ma nikogo.

WSKAZÓWKI DOTYCZĄCE OBSŁUGI

Pawlak nie zapomina krzywd. I cały czas tkwi w nim gorycz porażki, że na stanowisku prezesa PSL zastąpił go właśnie Jarosław Kalinowski – człowiek z najbliższego mu otoczenia, którego sam wspierał i kreował. Uznał, że uczeń wystąpił przeciwko mistrzowi.

I cóż z tego, że Kalinowski wykonał mnóstwo pokojowych i przyjaznych gestów, by obłaskawić Pawlaka – ten raz wyrządzonej szkody nigdy nie wybaczyci. Dlatego przez te siedem lat przy każdej okazji wspierał antykalinowską opozycję.

– Tak długo nosił w sobie chęć zemsty, aż dopiął swego i Kalinowski przestał być prezesem – mówi poseł PSL. – Ale to mu nie wystarczy. On chce głowę Kalinowskiego nosić pod pachą jak trofeum, by wszyscy widzieli,

ski – ale wystarczy wejść do siedziby PSL-u na Grzybowskiej i już wiadomo, że obecny prezes jest malowany. Partyjne doły chcą silnego lidera, który poprowadzi lud na barykady i do zwycięstwa, a nie sztabowca-intelektualisty od kuluarowych rozgrywek.

Nowy prezes potrzebuje sukcesów. Wojciechowski ponosi klęskę za klęską. Sondaże nie drgnęły i nadal PSL jest w nich blisko dna. Nie udało się przeforsować Wojciechowskiego na marszałka ani rozwiązać Sejmu.

Na horyzoncie widać kolejne porażki. Wojciechowski startuje z województwa łódzkiego do europarlamentu, choć nie ma tam żadnych szans na zdobycie mandatu. A jeśli PSL nie przekroczy w tych wyborach pięcioprocentowego progu, to chłopci poszukają sobie nowego lidera. I wtedy najłatwiej będzie zainstalować na Grzybowskiej Pawlaka.

– Waldek całkiem świadomie nie startuje w eurowyborach, bo on swoje plany na przy-

Prezes Wojciechowski miał być intelektualną alternatywą dla działaczy chłopskich i próbą wyrwania Stronnictwa z klasowych więzów. Ale na Grzybowskiej o prezesie Wojciechowskim mówią tak, jakby już go tu nie było. Ludowcy snują plany przyszłych sojuszy i nie ma w nich miejsca dla Wojciechowskiego.

Partyjne doły wzdychają za Pawlakiem, bo tam się pamięta, że za jego prezesury Stronnictwo było wielkie i bogate. Posiadacze bistorowych marynarek i tureckich swetrów z prowincji ciągle wierzą w siłę Pawlaka i marzą o jego powrocie – może wtedy i oni wrócą do władzy i urzędów. Nie mogą przecież ufać Wojciechowskiemu, który nawet ziemi nie ma. A chłop bez ziemi to jakby nie z PSL.

– Jego szybko nie będzie – mówią na Grzybowskiej. – Nawet się nie zorientuje, kiedy go Pawlak zastąpi.

ROZBUDOWANIE SYSTEMU

– PSL, jeśli chce przetrwać, musi stać się partią ogólnonarodową, odejść od klasowości, połączyć siły ludowe – mówią jednym głosem Artur Balazs ze Stronnictwa Konserwatywno-Ludowego i Roman Jagieliński z Federacyjnego Klubu Parlamentarnego.

– Pawlak powinien się zdecydować na udział w wielkiej grze – dodaje Jagieliński. – Ta wielka gra to próba stworzenia jeszcze w tym Sejmie rządu pod przywództwem PSL. Waldemar i Janusz mogliby stanąć na czele tego układu.

Jagieliński widzi w Pawlaku nawet przywódcę przyszłej Partii Ludowej. – Czas Pawlaka nadchodzi, bo trudno o lidera na jego miarę, a ludowcy potrzebują osobowości.

Podobnie mówią w PSL. Jak się ma cztery procent w sondażach, to strach zagląda w oczy. Dlatego stratedzy ludowców chcą zbudować wspólny blok, by przetrwać i nie podzielić losu lewicy. I wierzą, że jak już wejdą do Sejmu, to będą znów partią obrotową, bez której rządzić się nie da.

– Jeśli się nie połączymy z Balazsem i Jagielińskim, połknie nas Samoobrona – mówi dawny współpracownik Pawlaka. – Kiedyś Waldek miał na wsi większe poparcie niż dzisiaj Lepper. I tylko on może go dziś zatrzymać, a nas uratować.

DANE TECHNICZNE

Wiek – 45 lat.
Wykształcenie – absolwent Politechniki Warszawskiej.

Przynależność partyjna – w ZSL od 1985 roku, później w PSL.

Dwukrotny premier – w roku 1992 (przez 33 dni) i w latach 1993–1995.

Od 1992 roku prezes Związku Ochotniczych Straży Pożarnych.

STEFAN MAKUŁA

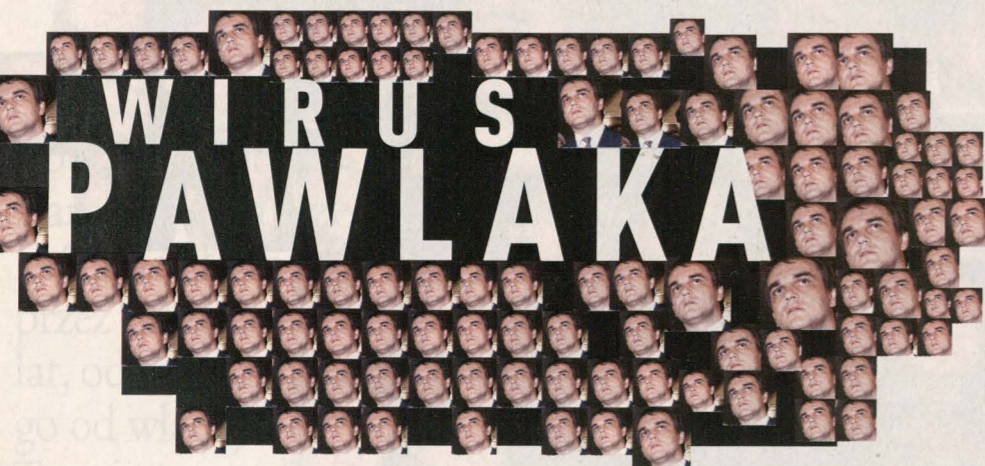
Radość słuchania



Trojka ³ - usłyszysz więcej...
POLSKIE RADIO



Białystok 96,0 • Bieszczady 96,3 • Bydgoszcz 102,1 • Częstochowa 91,7 • Gdańsk 99,9 • Giżycko 94,4 • Jelenia Góra 94,0 • Kalisz 102,5 • Katowice 99,7 • Kielce 96,2 • Konin 103,3 • Koszalin 97,4 • Kolobrzeg 101,5
Kraków 99,4 • Kudowa 99,3 • Kłodzko 89,2 • Leżajsk 98,9 • Lubaczów • Boble 96,0 • Lubań 91,5 • Lublin 104,2 • Olsztyn 99,1 • Opole 90,3 • Ostrołęka 98,5 • Piła 90,9 • Poznań 96,4 • Przemysł 99,6 • Płock 96,1
Rzeszów 92,0 • Siedlce 90,5 • Stary Sącz 94,7 • Suwałki 96,6 • Szczecin 102,3 • Warszawa 98,8 • Wałbrzych 99,8 • Wista 100,8 • Wrocław 100,2 • Zakopane 98,2 • Zamość 91,3 • Zielona Góra 94,1 • Żagań 96,3 • Łódź 103,8
TROJKA, Polskie Radio SA, 00-977 Warszawa, ul. Mysłwiecka 3/5/7, tel. (022) 645 55 47, fax 645 59 47
www.radio.com.pl/trojka



jaki los spotyka tych, którzy występują przeciwko Pawlakowi.

ZASIĘG

To nic, że oficjalnie Pawlak ma nikły wpływ na PSL. Jako prezes Ochotniczych Straży Pożarnych ma za sobą prawie 700 tysięcy członków w ponad 18 tysiącach organizacji, które w terenie są lepiej zorganizowane niż PSL. To nie tylko jego naturalny elektorat, lecz także zaplecze w walce o władzę w PSL.

– W centrali OSP są pieniądze i niejedyn poseł musi zabiegać o przychyłność Waldka, żeby je zdobyć dla remizy na swoim terenie – mówi poseł PSL. – A jeśli Waldek daje kasę, to oczekuje rewanżu.

Dlatego jego wpływy w PSL są ciągle duże, a jeszcze wzrosły, gdy Wojciechowski został prezesem. Pawlak powoli i niezauważalnie staje się mózgiem ludowców. To on wymyślił, by Wojciechowski wystawił przeciwko Józefowi Oleksemu w walce o fotel marszałka sejmu.

PODŁĄCZENIE INSTALACJI

Nie po to wybierano Wojciechowskiego, by go zaraz zmieniać – uważa Janusz Piechociński

szłość wiąże z krajem, a nie z zagranicą – mówi w PSL.

Jeśli klęska będzie dotkliwa i nastąpi szybko, to i Pawlak może wrócić już we wrześniu, podczas drugiej części kongresu ludowców.

– Pewnie, że jesteśmy zainteresowani jego powrotem, nie po to tyle lat trenowaliśmy go na mistrza, żeby teraz siedział w szatni – mówi poseł PSL. – On już wie, że jego powrót jest niemożliwy, dopóki nie pogodzi się z Kalinowskim. Ja sobie potrafię wyobrazić taką sytuację, w której Pawlak jest prezesem, a Kalinowski przewodniczącym Rady Naczelnej. Tylko Pawlak sobie tego nie wyobraża. A nam potrzebny jest ktoś o medialności Kalinowskiego i zdolnościach strategicznych Pawlaka.

ZASILANIE AWARYJNE

Janusz Wojciechowski został prezesem z konieczności.

– Kiedy przed kongresem Kalinowski się wycofał, Janusz stał się naturalnym liderem. Był wicemarszałkiem sejmu i postacią medialną. Komu innemu można było powierzyć władzę? – mówi jeden z działaczy PSL.

Białe Dom nie grzeszy otwartością wobec prasy. W ciągu trzyletnich rządów Bush wziął udział w zaledwie trzech konferencjach prasowych, a przeciętny waszyngtoński reporter jest szczęśliwy, jeśli oddzwoni do niego sekretarka doradcy prezydenta. „New York Times”, najpoważniejsza gazeta w USA, od trzech lat czeka na wywiad z Bushem. Tymczasem Bobowi Woodwardowi prezydent zwierzał się „on the record” przez trzy i pół godziny. Donald Rumsfeld – przez trzy. Obaj bez żadnych ograniczeń.

POMYLIŁ SIĘ, ALE CZYTAJCIE

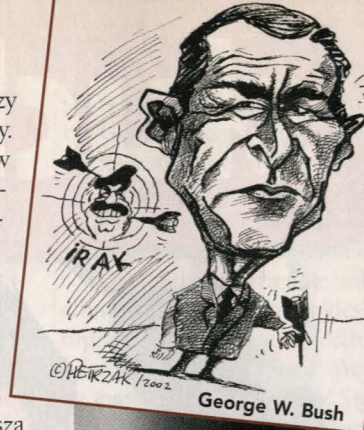
Z rozmów z niedostępnymi osobami i kilkumiesięcznych obserwacji życia w Białym Domu powstał największy amerykański bestseller ostatnich miesięcy. „Plan ataku” to opowieść o politycznych kulisach inwazji na Irak.

W książce roi się od rewelacji, które stawiają administrację Busha w wątpliwym świetle. Woodward twierdzi, że przygotowania do inwazji na Irak ruszyły już dwa miesiące po 11 września, a Bush od początku miał wątpliwości co do istnienia w Iraku broni masowego rażenia. O swoich zamiarach najpierw poinformował zaprzyjaźnionego ambasadora Arabii Saudyjskiej, a dopiero potem własnego sekretarza stanu Colina Powella. Woodward donosi też, że między Bushem a Saudami istnieje pakt, na mocy którego ci ostatni mają przed wyborami prezydenckimi obniżyć cenę ropy, aby Bush mógł przypisać sobie sukces gospodarczy i pokonać Johna Kerry’ego. Dziennikarz cytuje też Powella, który twierdzi, że to wiceprezydent Cheney za wszelką cenę zmierzał do wojny i utrzymuje w Białym Domu „osobny rząd”.

Od rewelacji Woodwarda bardziej zadziwiająca jest tylko odpowiedź Białego Domu. Miesiąc wcześniej ludzie prezydenta zmieszali z błotem inną kłopotliwą dla siebie książkę – opowieść Richarda Clarke’a o tym, jak Biały Dom przespał 11 września. Tym razem administracja Busha zachęca do przeczytania książki. Oczywiście zastrzega, że w najważniejszych kwestiach autor się pomylił, został niewłaściwie poinformowany, nie znał wszystkich faktów... i tak dalej. Skąd nagła wyrozumiałość dla Woodwarda?

BOBOWI SIĘ NIE ODMAWIA

Bob Woodward, reporter, który wraz z Carlem Bernsteinem ujawnił w 1972 roku aferę Watergate i obalił Nixona, od lat regularnie pisze bestsellery uchodzące za wzorzec dziennikarskiej rzetelności. O kolejnych prezydentach, CIA, amerykańskim sądzie najwyższym, Rezerwie Federalnej, wojnie w Afganistanie. Najbardziej szanowany amerykański dzienni-



BOB WOODWARD
napisał bestseller
o tym, jak Bush
rozpętał wojnę.
Czy odkrywca
afery Watergate
został pupilem
Białego Domu?

ATAK WOODWARD EM

karz nie musi naprzykrzać się ludziom władzy, bo ci uważają go za „swojego”. Do establishmentu należy duszą i ciałem. W pracy, czyli redakcji „Washington Post”, bywa rzadko. Mieszka w Georgetown, dzielnicy najpotężniejszych graczy Waszyngtonu, a jego luksusowa rezydencja bardziej przypomina apartamenty dyplomaty w randze ambasadora.

Woodward nie tylko opisuje polityczną rzeczywistość, lecz także aktywnie w niej uczestniczy. David Gergen, szef biura prasowego Clintona, wyjawiał niedawno, że doradcy tego ostatniego nakłaniali go do umawiania się z Woodwardem raz na tydzień. – Dostęp Boba do ludzi władzy rośnie jak śnieżna kula tocząca się po zboczu – uważa Matthew Felling z Centrum Mediów i Spraw Publicznych.

Podobnego zdania jest Edward Luttwak z Centrum Studiów Strategicznych i Międzynarodowych: – Jeśli odmówisz Woodwardowi rozmowy, dostaniesz po łapach. Dlatego lepiej udzielić mu wywiadu i przekazać opinii publicznej swój punkt widzenia.

Jak powstał „Plan ataku”? Autor twierdzi, że zebrał dostępne materiały, przesłał swoje wnioski do Białego Domu i poprosił o rozmowę, a ludzie Busha po prostu się zgodzili. Tym razem Woodward chciał napisać krytyczną książkę. „Bush na wojnie”, jego poprzedni bestseller o interwencji w Afganistanie, został przez krytyków okrzyknięty hagiografią prezydenta. „Plan ataku” miał dowieść, że Woodward wciąż niezależnym dziennikarzem.

Ale jest też inna teoria. „Bush na wojnie” podobno tak bardzo spodobał się prezydentowi, że to on zaprosił dziennikarza do Białego Domu. Woodward nie pozostał dłużny. Osobiście przyniósł Bushowi kilka egzemplarzy „Planu ataku”. Na trzy dni przed oficjalną premierą.

DLA KAŻDEGO COŚ MIŁEGO

Ale renoma i układność Woodwarda nie są jedynymi powodami łagodnej reakcji doradców Busha na jego najnowszą książkę. Gdyby prezydent został ukazany wyłącznie w złym świetle, jego ludzie nie zastawiliby na dziennikarza suchej nitki. Biały Dom może spokojnie rekomendować lekturę, bo napisana została w myśl zasady „dla każdego coś miłego”. Demokraci znajdą w niej potwierdzenie swoich pretensji do rządu, ale zachwyceni są również konserwatyści stanowiący polityczną bazę Busha.

Prezydent wylania się z książki Woodwarda jako człowiek głęboko przekonany o tym, że sam Bóg natchnął go do historycznej misji zaprowadzenia demokracji na Bliskim Wschodzie i obrony Stanów Zjednoczonych przed terrorystami. Boży pomazaniec Bush poszedł na wojnę, bo w to wierzył („Siedziałem i słuchałem go zdezorientowany” – wspomina Woodward). Bush u Woodwarda nie tylko wierzy, lecz także współczuje i modli się. Po wydaniu rozkazu zrzucenia kilkunastu bomb na bunkier

Saddama w Bagdadzie „wciąż martwił się o kobiety i dzieci”, a z Gabinetu Ovalnego wychodził z modlitwą na ustach.

Woodward podważa rozpowszechnioną na lewicy opinię, że politykę zagraniczną USA prowadzi neokonserwatysta Dick Cheney. Autor opisuje wprawdzie bitwy staczone przez wiceprezydenta z Colinem Powellem, ale jednocześnie każe wierzyć czytelnikowi, że to wódz naczelny zawsze miał ostatnie słowo. Można by zapytać, pod którym wpływem ów wódz podejmował ostateczne decyzje, ale Woodward w takie niuanse już się nie wdaje. Nie bez powodu najwięcej ciągów zebrał za bezkrytyczny stosunek do opisywanych przez siebie wydarzeń.

TRANSAKCJA WIĄZANA

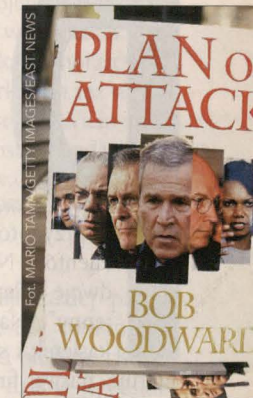
„Plan ataku” jest owocem nie tyle docieklowości i niezależnego śledztwa dziennikarskiego, ile samej obecności autora w najwyższych kręgach władzy. Rola insidera jest co najmniej dwuznaczna. Nie ulega wątpliwości, że władza dzieli się z Woodwardem tymi informacjami, które chce ujawnić. Naprowadza go na trop zgodny z jej interesem – tak samo jak dawni stolarze naprowadzali poszukiwaczy skarbów na skrytkę pod dnem szuflady sekretarzyka, podczas gdy prawdziwy tajemny schowek był ukryty zupełnie gdzie indziej.

Fakty ujawniane insiderowi muszą oczywiście mieć walor pozornej choćby sensacji, stąd przymieszka informacji nie najpochlebniejszych dla władzy, ale bynajmniej jej nie dyskredytujących. Woodward podejmuje grę narzucaną mu przez polityków, w zamian dostając na wyłączność wiedzę, o której zwykły reporter może tylko marzyć. Tyle że nie jest to ani wiedza obiektywna, ani całościowa.

„Plan ataku” to przykład tego, jak władza, ujawniając informacje pod pozorem otwartości, kreuje własny wizerunek w mediach. Jak każdy dziennikarz obracający się w kręgach władzy Woodward wie znacznie więcej, niż można przeczytać w jego książce. To jego rozmówcy dyktują, co może wykorzystać, a czego nie, i wpływają tym samym na owoc jego pracy. Woodward szanuje te uzgodnienia, bo wie, że inaczej straci przepustkę na szczyty.

Tak powstał układ, dzięki któremu Bob Woodward może raz do roku opublikować kolejny wstrząsający bestseller, opinia publiczna ma poczucie, że zajrzała za kulisy władzy, a Biały Dom przekazuje swój punkt widzenia w sprawach, do których wstyd byłoby się dobrowolnie przyznać. I wszyscy są szczęśliwi.

PIOTR MILEWSKI, RADIO ZET



HIPERŚWIAT

MAREK RYBARCZYK



WAL★MART

Witamy w hipermarkecie WAL-MART! Najlepsze ceny, gigantyczna oferta, sto milionów klientów tygodniowo, zarzycanie konkurencji, wyzysk dostawców, pracownicy jednorazowego użytku. Zapraszamy!

Pracownicy Wal-Mart od świtu przygotowują się do czarowania klientów. Nim otworzą przed nimi podwoje sklepu, odprawiają „taniec wojenny”. Najpierw przy wtórze chóru kasjerek i sprzedawców lider krzykiem literuje nazwę firmy: „W!-A!-L!-M!-A!-R!-T!”. Potem rzuca podwładnym pytanie: – Kto jest numerem jeden? – Kliiii-eeent!!! – wyją pracownicy, kręcąc pupami. Niezjący od 13 lat założyciel firmy Sam Walton byłby z nich dumny. To on podpatrzył „wojenne tańce” w fabryce piłek tenisowych w Korei Południowej i przywoził je do USA.

Przy wejściu do każdego ze sklepów klienta wita serdecznie uśmiechnięta dziewczyna. Za-

nim się zorientujesz, już pchasz podany ci wózek. Pracowników Wal-Mart obowiązuje reguła trzech kroków. Kiedy klient znajdzie się w tej odległości, muszą się przedstawić i grzecznie spytać: „Can I help you?” (W czym mogę pomóc?). Nie jest to tylko zwykła uprzejmość. Wal-Marty to giganty o powierzchni czterech boisk piłkarskich każdy. Łatwo się zgubić.

Jeśli konsumpcja jest dziś nową religią, to Wal-Mart jest jej największym kościołem. Sieć ma już ponad cztery tysiące gigantycznych hipermarketów w dziewięciu krajach świata. Kokietowanie klientów można by uznać za zbędne, bo i bez tego co tydzień sto milionów osób wali do Wal-Martów drzwiami i oknami. W samych Stanach klientów obsłu-

guje milionowa armia pracowników, a łączność między „świątyniami” zapewniają satelity. Sieć komputerowa Wal-Mart ustępuje zasobami pamięci tylko Pentagonowi.

W ubiegłym roku klienci zostawili w kasach Wal-Marta 258 miliardów dolarów, gwarantując firmie największy przychód na świecie. To więcej niż dochód narodowy Szwajcarii. Ale dla najpotężniejszej firmy na ziemi to wciąż za mało. Wal-Mart ma wielki apetyt na tysiące nowych hipermarketów. By przetrwać, musi stale rosnać. I rośnie.

ZŁAPANI NA KORNISZONY

Decydują ceny. Zwykle co najmniej o 14 procent niższe od konkurencji. Czasami śmiesznie

Happening przed otwarciem sklepu. Pracownicy Wal-Mart uczą się dewizy: klient jest najważniejszy!

Fot. ETIENNE DE MALIGNIÈRE/GAMMA/B&W



Fot. TIME LIFE PICTURES/GETTY/IFRM

Vlasic wycofaniem zamówień na inne towary. Po kilkunastu miesiącach Vlasic zbankrutował. Ale baniaki ogórków zrobiły swoje: przyciągnęły do Wal-Martów tysiące klientów, którzy złapali inne okazje i – przy okazji – zostawili w sklepach miliardy dolarów.

Mieli w czym wybierać. Na półkach Wal-Mart czeka na klientów 70 tysięcy produktów – od przecenionych pieluch i majtek po elektronikę, broń, meble, baseny, a nawet diamenty. Odtwarzacz DVD za 40 dolarów to w Wal-Marcie żadna sensacja. „Kupuję dużo, sprzedaję tanio i patrzę tylko, jak towar znika” – tę dewizę Sama Waltona skutecznie realizuje dziś jego rodzina.

Spadkobiercy Waltona zajmują szóste miejsce na najnowszej liście miliarderów czasopiśmie „Forbes”. Majątek każdego z pięciorga członków rodziny przekracza 20 miliardów dolarów. Mają 39 procent udziałów w sieci. Kiedy w latach 70. Wal-Mart wchodził na giełdę, sto akcji firmy można było kupić za 1650 dolarów. Dziś taki pakiet kosztuje ponad dwa i pół miliona dolarów.

Prócz amerykańskich supermarketów superkorporacja ma kolejne tysiące sklepów między innymi w Wielkiej Brytanii, Niemczech, Meksyku. Wal-Mart jest już dwa razy większy od sieci supermarketów Carrefour. Bije na głowę rozmiarami takie molochy jak General Motors i General Electric.

KOKOSY NA FIGACH

Zanim wyruszył na podbój świata, stary Walton zajmował się tradycyjnym handlem. Pod koniec wojny założył za pożyczone pieniądze sieć sklepów kolonialnych w Arkansas, Missouri i Oklahomie. Na genialny pomysł wpadł w 1947 roku. Zauważył chmarę klientów wychodzących z sąsiedniego skle-

pu z damskimi figami ze sztucznego jedwabiu. Tani towar (30 centów za sztukę) u konkurencji szedł zaskakująco dobrze. Walton poszedł na całość. Pojechał do fabryki majtek w Little Rock i wykupił cały magazyn.

Dopiero kilkanaście lat później, w 1962 roku, otworzył pierwszy sklep z tanimi towarami. Stał w 20-tysięcznym miasteczku Bentonville, obecnie siedzibie korporacji. Odtąd sukces gonił sukces. Sieć Wal-Mart opłota Południe, Środkowy Wschód, Kalifornię i Wschodnie Wybrzeże. Setki gigantycznych sklepów budziły zazdrość i strach konkurencji.

Ale Walton pracował niestrudzenie. Różne wakacje zmieniał w serię wizytacji nowych sklepów. Latał samolotami i notował

na mapach miejsca na nowe hipermarkety. Zrozumiał, że w poszukiwaniu „taniocy” ludzie będą gotowi pokonać nawet kilkadziesiąt kilometrów, więc od początku zwracał uwagę na lokalizację z dobrym dojazdem. Wal-Mart jako pierwszy zaprzął do pracy w handlu i księgowości komputery. Walton docenił rewolucyjną innowację kodów kreskowych.

SZARY PAPIER I WYZYSK

Nici gigantycznej pajęczyny Wal-Mart zbiegają się na przedmieściach Bentonville. Największa firma świata zadowolona się niepozornym, obskurnym biurowcem. Wielkie oszczędzanie zaczyna się od samej góry: szary papier w toaletach, zdekompletowane fotele w spartańskich salach konferencyjnych i menedżerowie jeżdżący VW Beetle zamiast mercedesami. Na korytarzach fotografie założyciela firmy Sama Waltona. Obok ulubione złote myśli prezesa. Dużo o szacunku dla jednostki i pracowników.

Pierwszym sekretem niskich cen jest trzymanie na smyczy dostawców. Wal-Mart dyktuje ceny, żąda obniżania jakości, domaga się produkcji według własnej specyfikacji. – Jeśli nie, sprowadzimy towar z Chin – mówią ludzie Waltona. Boją się ich najpotężniejsze firmy. Banicja z półek sklepowych Wal-Mart to wyrok śmierci.

Ale jest też druga, pilniej strzeżona, tajemnica sukcesu. Średnia płaca szeregowych pracowników Wal-Mart jest jak na Amerykę nędzna, przeciętnie o jedną trzecią niższa niż u konkurencji. Rodziny pracowników Wal-Mart żyją często poniżej federalnego minimum socjalnego. Związki zawodowe są w Wal-Marcie zakazane, a za ich zakładanie wylatuje się z pracy. W 2000 roku związek założyli rzemieślnicy z Wal-Mart w Teksasie. Istniał dwa tygodnie. „Zupełnie przypadkowo” centrala zlikwidowała wszystkie punkty krojenia mięsa.

Wśród mniej szczytnych wynalazków Waltona jest pojęcie „pracownika jednorazowego użytku” – w wielu hipermarketach raz na rok zmienia się niemal cały personel. Wielu zwolnionych szuka sprawiedliwości w sądach. Zarzucają molochowi jaskrawą dyskryminację kobiet i zmuszanie do darmowych nadgodzin.

PRACA UCIEKA DO CHIN

Wal-Mart uchodzi za najbardziej patriotyczną firmę USA. W latach 80. Walton prowadził wielką kampanię pod hasłem: „Kupuj amerykańskie towary”. Do dziś w jego sklepach roi się od flag. W 1992 roku, dwa miesiące po swojej śmierci, Walton przemówił z grobu na dorocznej konwencji Wal-Mart. Na jego prośbę akcjonariusze odśpiewali hymn „God Bless America”.

Ale patriotyzm wielkiego biznesu kończy się w pokoju głównego księgowego. Niskie ceny to zasługa importu z Ameryki Łacińskiej, Azji, a przede wszystkim z Chin.



Każdy nowy Wal-Mart oznacza śmierć dla dwóch lokalnych supermarketów

W Wal-Marcie można kupić wszystko, także broń palną i diamenty. Po prawej: 17 marca 1992 r. Sam Walton, założyciel sieci Wal-Mart (w towarzystwie żony Helen) odbiera medal od prezydenta George'a Busha seniora



Według niezależnych studiów tylko 17 procent towarów sprzedawanych w Wal-Martach rzeczywiście pochodzi z USA.

W 2001 roku Wal-Mart przeniósł swoją centralę zakupów do Pekinu. Jedną z amerykańskich firm zarżniętych przez tanią chińską konkurencję był producent tekstyliów Carolina Mills. Były prezes Steve Dobbins nie ukrywa rozgoryczenia. Od 2000 roku zwolnił 1400 z 2600 pracowników. – Ludzie mówią o Wal-Marcie: „Przecież to nic złego, że możemy kupować tanio” – mówił Dobbins w wywiadzie dla magazynu „FastCompany”. – Oczywiście, inflacja jest mniejsza i wszyscy lubimy przeceny. Kiedy jednak ludzie są bez

pracy, nie mogą już kupić nic! A my do tego właśnie zmierzamy. Powoli wykupujemy własne miejsca pracy – ostrzega Dobbins.

Tylko w 2002 roku Amerykanie oszczędzili dzięki Wal-Martowi od 20 do 100 miliardów dolarów, ale jednocześnie firma jest obwiniana o zaniehanie plac w całym sektorze handlu w USA – pisał „BusinessWeek”. Eksport bezrobocia do innych supermarketów i firm dostawców określa się dziś „efektem Wal-Marta”.

NIE CHCEMY WAS

Wal-Mart budzi opór w wielu stanach na północy USA, a także w Kalifornii. Kilkanaście dni temu korporacja Waltonów poniosła tam sromotną klęskę. W Inglewood na kolorowych przedmieściach Los Angeles nie powstał nowy Wal-Mart. Choć strategzy z Bentonville wyłożyli na kampanię okrągły milion dolarów, przegrali w lokalnym referendum.

Wynik stawia pod znakiem zapytania plany budowy w Kalifornii 40 nowych hipermarketów. Przeciwko korporacji agitował słynny lewicowy kaznodzieja Jesse Jackson, a w „Los Angeles Times” ukazała się nagrodzona potem Pulitzerem seria artykułów o sieci. Autorzy pisali o nędznych placach, zakazie działalności związkowej i podejrzanym dostawcach z Azji.

Wal-Mart twierdzi, że nigdy świadomie nie sprowadza towarów produkowanych przez więźniów i półniewolników. – Zawsze będą tacy, którzy łamią prawo. Istotą jest chciwość małej grupy ludzi – mówi szef firmy Lee Scott. Kiedy jednak w 1992 roku dziennikarz pokazał jego poprzednikowi fotografię 14-let-

niej dziewczynki z Bangladeszu pracującej ponad siły w fabryce związanej z Wal-Martem, menedżer cynicznie odparował: – Pańska i moja definicja dziecka mogą się różnić.

GDZIE SPOJRZYSZ, TAM WAL-MART

Ekonomiści twierdzą, że każdy nowy Wal-Mart doprowadza do zamknięcia dwóch dużych lokalnych sklepów. Tylko w USA korporacja chce w ciągu najbliższych pięciu lat otworzyć tysiąc nowych hal. Amerykanie żartują już, że pierwszym obrazem przesłanym z Marsa przez sondy NASA była fasada Wal-Mart. Kilkanaście dni temu na kalifornijskim Uniwersytecie Santa Barbara odbyła się konferencja poświęcona kontrowersjom wokół firmy. Rzecznik Wal-Mart się nie pojawił.

Socjologowie biją na alarm. Ludzie jeżdżą na zakupy coraz dalej. Lokalne społeczności tracą miejsca spotkań. Ginie różnorodność. Ale to nie wszystko. Wal-Mart czuje się już na tyle silny, że cenzuruje okładki sprzedawanych przez siebie kolorowych czasopism. Zasiłania te, które nie pasują do konserwatywnej mentalności amerykańskiej prowincji. Z opiniami ludzi z Bentonville liczy się Hollywood, Disney i wielkie wytwórnie płytowe.

„Wal-Mart to kwintesencja tego, co dobre i złe w kapitalizmie” – zauważył trafnie w wywiadzie dla „New York Timesa” ekonomista z firmy PricewaterhouseCoopers. Zwolennicy darwinowskiej walki o byt mówią, że wielki drapieżnik wymusza większą wydajność u mniejszych. Zapytany na niedawnej konwencji przemysłowców, czy chce zawojować świat, szef Lee Scott odparł spokojnie: – Nie, nie sądzę. Chcemy tylko rosnąć.

Dziś ekonomiści martwią się nie tylko konsekwencjami rozwoju Wal-Mart. Zaczynają też snuć dramatyczne wizje kryzysu największej firmy świata. Czy jeśli imperium Waltonów dostanie czkawkę, amerykańska gospodarka dostanie zawału?

MAREK RYBARCZYK

APARTAMENTY Z WIDOKIEM NA MORZE
wypoczywasz i zarabiasz

VELAVES
sprzedaż II etapu

KOMPLEKS APARTAMENTOWO-HOTELOWY
Władysławowo-Cetniewo
30 m do morza, dwa baseny: kryty i otwarty

SPRZEDAŻ:
(058) 774 73 11
0 603 596 863
e-mail: info@velaves.sky.pl
www.velaves.sky.pl

NOWY ZBIÓR MISTRZYNI PROZY POETYCKIEJ I FRAGMENTU

Sic!

Julia Hartwig
„Zwierzenia i błyski”

Wydawnictwo Sic! • (22) 840 07 53
www.wydawnictwo-sic.com.pl

ZGŁOSZENIA NA REKLAMY MODUŁOWE PRZYJMUJE

Grażyna Janiak
Tel./faks (022) 584 21 72
Tel. kom. 0-503 134 293
grazyna.janiak@edipresse.pl

WARSZAWSKA SZKOŁA FOTOGRAFII

- 2-letnie studium
- 4-miesięczne kursy
- 3 i 2-tygodniowe warsztaty

Biuro:
ul. Puławska 1 lok. 48
02-515 Warszawa
tel/fax: (22) 849-28-15
tel. kom.: 0-501-125-960
e-mail: info@wsfoto.art.pl
http://www.wsfoto.art.pl



WIEDZA POWSZECHNA



WYDAWNICTWO „WIEDZA POWSZECHNA”
ul. Jasna 26, 00-054 Warszawa, tel. (0-22) 827 07 99, fax w. 131
e-mail: info@wiedza.pl
www.wiedza.pl

OPINIA

Benjamin R. Barber, wybitny amerykański politolog, autor książki „Dżihad kontra McŚwiat”:

Wal-Mart sprytnie wykorzystuje istniejący system. Placi mało, zbija ceny dostawcom. Podmiejskie hipermarkety niszczą życie miast, lokalnych społeczności. Doprowadzają do bankructwa małe sklepy i mniejsze supermarket. Niedawna przegrana Wal-Mart w referendum w Kalifornii to uznanie tego, że decyzje konsumentów nie mogą wynikać jedynie z uwarunkowań ekonomicznych, wskaźników rynkowych. Wal-Mart prezentuje się bardzo dobrze, jeśli chodzi o kryteria rynkowe, ale jest prawdziwą katastrofą, jeśli chodzi o aspekty społeczne i kulturowe.

okno **ELITA** NOWOŚĆ! szyba ELITA-GLAS

JEZIERSKI markowe okna

tel. 041 / 300 11 75
mail: biuro@jezierski.com.pl

poszukujemy partnerów handlowych
kom. 0501 203 589
www.jezierski.com.pl

przykładowy kolor Canadian
luk antywłamaniowy
złota linia
wzmocnienie zamknięte
pięć komór

82 mm

Prywatna Klinika lecząca CHOROBY KRĘGOSŁUPA GŁOWY I NARZĄDÓW RUCHU
Krojanthy – Dwór k. Chojnic
tel. (052) 398-56-56; fax (052) 398-56-06
tel. kom. 0602 80-55-33; www.krojanthy-klinik.pl

LECZYMY – migrenowe bóle głowy, kręgosłupa („wypadnięcia dysków”) zwyrodnienia stawów i kręgosłupa.

WYKONUJEMY – rehabilitację pourazową i po wylewach
PROWADZIMY – wykonujemy odnowę biologiczną ludzi starszych
ZRÓB PREZENT SWOIM RODZICOM! turnusy 13 i 6 dni



RMF FM prezentuje

patroni medialni

PRZE KROJ

INTERIA.PL

matras KSIĘGARNIE

MERLIN.PL

www.wab.com.pl

W ab

HENNING MANKELL
morderca bez twarzy

M R O C Z N A
S E R I A

światowy bestseller

I Ogólnopolski Festiwal Piosenki Kabaretowej Poznań 20-23 V 2004

O B O R A

Koncert Finałowy – 23 maja, godz. 21.00
Dziedziniec Różany CK ZAMEK w Poznaniu

Mecenas

Cz. I Koncert Laureatów – prowadzą: Wojciech Kamiński i Przemysław Żejmo
Cz. II Koncert Galowy – prowadzą: Marta Lisiewicz i Zenon Laskowik
Wystąpią: H. Banaszak, K. Groniec, G. Halama, kabarety HRABI i MUMIO, A. Poniedziałki, B. Rybotycka, J. Szafran.

Informacje: tel. (61) 665 88 02, www.obora.pl

media

organizacja i współpraca

POCZTA POLSKA

RZECZPOSPOLITA onet.pl

POLSKIE RADIO 1

PRZE KROJ

Mercury

TVP 3

POZNAŃ WIELKOPOLSKI

GLKOS

NEXUS

MC Music Collection

CENTRUM KULTURY ZAMEK

TVP 2

ESUS

Impression

art

Andrzej Kowalik

Drukarnia Rybczyk

DOC REVIEW

PRZEGLĄD ŚWIATOWEGO FILMU DOKUMENTALNEGO WARSZAWA 14-26 MAJA 2004 KINOTEKA

Przeгляд pod honorowym patronatem Prezydenta m.st. Warszawy Lecha Kaczyńskiego

WYBIERAJ OD 14 MAJA NAJLEPSZY FILM I WYGRAJ TELEFON SIEMENS SK1 Z KAMERA www.docreview.pl

SPONSORZY

SIEMENS mobile

MINI Dealer MINI Auto Fus

PATRONI MEDIALNI

gazeta

PRZE KROJ

FILM

KING

gazeta.pl

radiostacja

CITY

FLUID

gerhard

MA

ŚWIECI ŚWIECI

świecą lub spadają

Krzysztof Warlikowski
CII, TAJEMNICA!

Pierwszego dnia obecności Polski w Unii Europejskiej na piersi reżysera teatralnego Krzysztofa Warlikowskiego pojawił się Order Kawalera Kultury – najwyższe francuskie odznaczenie za „zasługi dla światowej kultury i promocję kultury francuskiej na świecie”. Związany z TR Warszawa (dawniej Rozmaitości) 42-letni reżyser ma już ustaloną markę we Francji. Jako jedyny Polak trzy razy z rzędu był zapraszany ze swoimi przedstawieniami na renomowany awinioński festiwal teatralny. Wystawiał też w Wiedniu, Budapeszcie, Amsterdamie, Zagrzebiu i Tel Awiwie.

Warlikowski funkcjonuje w aurze skandalisty oraz wielbiciela sztuk Szekspira, które inscenizował już 10 razy. W Nicei z pierwszych przedstawień jego „Snu nocy letniej” zbulwersowana publiczność wychodziła przed końcem spektaklu. Według niego skandal polega na zderzeniu myśli z rzeczywistością, z natury nielogiczną i chaotyczną. Liczne nagrody, jakie Warlikowski odebrał (i miejmy nadzieję, odbierze), są jednak argumentem za tym, że logiczna rzeczywistość istnieje. Ale w trosce o następne wyrastające z niepokojów reżysera sztuki utrzymajmy to przed nim w tajemnicy.

Magda Gulewicz
PANI EINSTEIN

Gdy słyszymy o kimś, że jest fizykiem, najczęściej wyobrażamy sobie roztargnionego pana w okularach, zasypującego rozmówcę nudnymi tekstami o molekułach. Tymczasem po raz pierwszy w 50-letniej historii olimpiady fizycznej wygrała ją dziewczyna – Magda Gulewicz, tegoroczna maturzystka z klasy fizyczno-chemicznej warszawskiego Liceum imienia Józefa Poniatowskiego. Była jedyną dziewczyną w liczącym 60 uczniów gronie finalistów, a teraz przygotowuje się do międzynarodowej olimpiady fizycznej w Korei Południowej.

Gdy udało nam się z nią skontaktować, biegła akurat na próbę chóru (śpiewa altem). – Dlaczego fizyka? – zastanowiła się. – Dlatego że jest to jedyna nauka, która w miarę rozsądnie opisuje rzeczywistość. Nawet matematyka nie jest tak dokładna, choć jest narzędziem fizyki.

Pytana o plany na przyszłość zdradza, że będzie studiować fizykę, ale tak do końca nie wie, czym będzie się zajmować. – Są tysiące możliwości – mówi.

Kiedy odpoczywa od problemów fizyki, chodzi po Bieszczadach i gra na gitarze.

SPADA SPADA

Jan Borysewicz
LADY WESZŁA DO UNII

Władze niewielkiego Sulęcina w Lubuskim postanowiły uświetnić tradycyjne Międzynarodowe Spotkania na Sulęcińskim Rynku. Na imprezę połączoną ze świętowaniem wstąpienia Polski do Unii zaprosiły (jako gwiazdę wieczoru) grupę Lady Pank.

Zespół przyjechał z ponadgodzinnym opóźnieniem, a jego członkowie, według świadków, zdradzali objawy wskazujące na spożycie. Lider zespołu Jan Borysewicz wszedł na scenę i zaczął stroić gitarę. Uznał przy tym, że nie podobają mu się siedzący w pierwszych rzędach ubrani w garnitury miejscy oficjele i zaproszeni goście z Holandii, Niemiec i Francji. Kazał im więc „wypier.. z tych ławek”, bo „dla emerytów nie gramy”.

Menedżer zespołu Marek Mach w rozmowie z „Gazetą Lubuską” tłumaczył Borysewicza (któremu za rok stuknie pięćdziesiątka) rockowym wizerunkiem zespołu. – Kapela gra koncerty dla żywej publiczności bawiącej się razem z grupą tuż pod sceną. Stwarzanie sztucznego dystansu jest lekceważeniem publiczności – wyjaśniał. Najwyraźniej polecenie, jakie padło z ust Borysewicza, lekceważeniem nie jest.

Alicja Hytrek
NIE UCIEKA

Jak należy się zachowywać, gdy do naszego samochodu podbiega kilku agresywnie nastawionych mężczyzn z bronią w rękę? Uciekać – taka jest pierwsza myśl każdego niewinnego człowieka.

Tymczasem Alicja Hytrek, rzecznik komendanta głównego policji, w rozmowie z „Gazetą Wyborczą” przyznała, że nie wie, jak by się w podobnej sytuacji zachowała, ale na pewno by nie uciekała, bo należy „poddąć się policyjnemu nakazowi”. Tylko skąd mogę wiedzieć, że wściekły facet w swetrze wymachujący bronią to policjant? Nawet jeśli funkcjonariusze krzyczeli: „Stój, policja”, to nie miało to żadnego znaczenia, bo tylko bandyta od razu zrozumiałby, co się dzieje. Niewinny człowiek w sytuacji podobnego stresu w naturalnym odruchu chce ratować własne życie. Hytrek kompromituje się dodatkowo, tłumacząc, że nie ogląda policyjnego programu „997”, więc nie wie, że ludzie boją się przebiegających napadających na kierowców.

W Poznaniu doszło do tragicznej pomyłki. Rozumiemy, że pani rzecznik próbuje bronić swoich kolegów, ale sugerowanie, że zabity jest sam sobie winien, to gruba niedelikatność.

Dlaczego tak łatwo godzimy się na odejście pokolenia ludzi, którzy walczyli o wolną i demokratyczną Polskę? Dlaczego oni tak łatwo rezygnują z dalszego wysiłku odpowiedzialności?

NIE ZGADZAM SIĘ!

Ostatnia książka Adama Michnika to cichy krzyk rozpaczliwej 50-latk, by czasy, w których jego zdjęcia wisiały w domach wielu Polaków tuż obok Papieża, powróciły chociażby na kartce papieru. Michnik nie odchodzi sam. Zabiera ze sobą całe pokolenie słonimczyków, KOR-owców. Idą za nim obydwie strony barykady. Odchodzą zastępy zasłużonych nieszczęśliwych odgrywających Wallenrodów w szeregach partii władzy. Odchodzą zastępy świeckich intelektualistów rozdzielonych przez wybory, jakich dokonali za poprzedniego systemu, opowiadając się po którejś ze stron. Kruszą się mury, o których śpiewał Jacek Kaczmarski. Ludzie z przeciwnych stron barykady stoją teraz złączeni, obserwując swoje własne zasypianie. Odegrali historyczną rolę i przestają być społeczeństwu potrzebni. Jednych zabiera śmierć, innych choroba, jeszcze innych zabiera polityka. Wszyscy jednak zdają sobie sprawę, że ich czas mija. Afera Rywina, która w sposób zasadniczy przyczyniła się do tego stanu rzeczy, nie była tylko próbą oszustwa „grupy trzymającej władzę”. To było zderzenie dwóch światów wartości, w którym każda strona walczyła własnymi metodami. Michnik ma twarz. Oni nie. Wróg bez twarzy przeobraża się i nieopstrzeżenie odradza w czystych szatach. Michnik takiej możliwości nie ma. W opinii wielu ludzi przegrał. Tyle że on wygrać nie mógł. Bierze się to z tego, że naczelny „Gazety” grał w nową grę według starych reguł. Nikomu nie jest już potrzebny heroizm, etos i niezłomność tego faceta. Dla niego to życie. Dla ludzi – teatr. Tymczasem ludzie najczęściej wybierają dobry film w sobotę wieczór.

On przez całe swoje życie trzymał się z dala od pieniądza. Chował się w książkach i między ludzi, którzy tak jak i on na pieniądzu nie znajdują się nijak. Raz. Jeden jedyny raz złamał tę zasadę i prawdopodobnie już nigdy nie odzyska znaczenia, które właśnie traci. Pytam jako człowiek młody. Student, który czytał i czyta książki napisane przez niego.

Po jaką cholere wpleprzył się Pan w to gówno, Panie Michnik?

Odchodzące pokolenie, którego światłym przedstawicielem jest niewątpliwie Michnik, zostawia nam Polskę pełną wad, kompleksów, fobii, resentymentów, ale też Polskę wolną i demokratyczną. Polskę wielkich szans i nadziei. Ja jednak nie uważam, by ludzie Okrągłego Stołu tak po prostu mogli odejść. Ogarnia mnie wściekłość, kiedy słucham, że „my już swoje zrobiliśmy”. Polska właśnie teraz potrzebuje tych, którzy wiedzą najlepiej, jak smakuje poníženie i poczucie beznadziejności.

Obecny system potrafi moje pokolenie upodlić i zniewolnić nie mniej niż poprzedni. Potrafi odrzeć ludzi z godności. Bezsilność finansowa czy wręcz zniewolenie to coś gorszego od ograniczenia wolności. Więzi polityczny ma silne poczucie, że wielu ludzi w niego wierzy, i nie zapomina o nim. Czuje ludzką wdzięczność i ma przekonanie, że robi coś w wielkiej sprawie. Tymczasem młody człowiek poszukujący bezskutecznie pracy z każdą kolejną odmową czuje, że nikomu nie jest potrzebny. Czuje wewnętrzną pokusę buntu wobec wszystkiego. Nie potrafi sobie poradzić z presją, jaka na nim ciąży. Nie radzi sobie z odpowiedzialnością za rodzinę. Jak wielu tych, którzy nie znajdują legalnej pracy, chodzić musi na poniżające kompromisy, stając się niewolnikiem nastrojów i dobrej woli urzędników, nieuczciwych szefów pozwalających łaskawie dorobić na czarno. Jeśli posiada choć trochę świadomości, wzbiera w nim wściekłość. Jeśli nie, odczuwa jedynie nasilające się poczucie niższości i przeświadczenie, że ten świat, ten kraj nie są dla niego. Że być może tak właśnie wygląda normalność, a on jest tą gorszą częścią świata i Polski. Że ci, którzy ją budowali i budują, nieopatrznie o nim zapomnieli. Idzie na bolesne kompromisy z samym sobą. Z własnymi marzeniami. W końcu po prostu przestaje je mieć.

L do cholery, właśnie dlatego nie zgadzam się na ich odejście, bowiem właśnie teraz jak nigdy ich potrzebuję. Odchodzi się wtedy, gdy ma się godnych następców. A takich po prostu nie ma.

Cechą demokracji jest pluralizm. Swoboda myśli i słowa. Stwarza to zmiękczony świat wartości. Ustrój totalitarny tym góruje nad demokracją, że tam jest wszystko czarne albo białe. Albo jesteś draniem, albo nie. Albo jesteś bijącym, albo bitym. Ustroje totalitarne padały pod ciężarem ikon. Pozytywnych wartości wyszcząpanych z dysydentów. Demokracja to istny jarmark wartości. W świecie, w którym ja dorastam, trudno jest odróżnić pięknie opakowaną fałsz od pięknie opakowanej prawdy. Trudniej jest mówić prawdę, bowiem najpierw trzeba ją znaleźć. Rolą nawróconych dysydentów nie powinno być rozpamiętywanie lat swoich uniesień. Demokracja i moje pokolenie potrzebują innych drogowskazów niż te, które w książkach odnajdowali ci, co budowali Okrągły Stół. Właśnie w poszukiwaniu nowych dróg widzę rolę tak ochoczo odchodzącego pokolenia. W książkach, które ja czytałem, nie napisano, jak powinieneś się zachować, gdy widzisz, że twój szef znęca się nad koleżanką z pracy, a ty masz rodzinę i musisz jej zapewnić byt. Są tacy, którzy zareagują, ale szefowie zaraz dają przykład nowego ładu, jaki panuje obecnie w moim kraju, i to skutecznie odstrasza resztę.

Moje pokolenie zgubiło się i chce wyjechać za granicę. „Nie mogą ciochać Rzeczypospolitej, którzy w niej nic swojego nie mają” – pisał poeta Krasiński. Po 15 latach wolności jak nigdy potrzebna pokolenia, które właśnie chce odejść. Nie zgadzam się, by to pokolenie wygodnie zajęło się zażywaniami kąpieli we własnych wspomnieniach, bo dla wielu z nich jeszcze na to nie pora. Ja się po prostu na to nie zgadzam!

ŁUKASZ SOKOŁOWSKI,
STUDENT IV ROKU POLITOLOGII

Odnowa biologiczna

Modelowanie sylwetki

Korzystamy ze specjalistycznej aparatury wykonującej drenaż limfatyczny, który odchudza ciało. Głębokie ciepło poprawia przemianę materii. Elektro-stymulacja nadaje lepszy kształt mięśniom oraz likwiduje nadmiar skóry. W przypadku gdy ciało jest bardzo zbite i twarde stosujemy dodatkowo masaż ręczny. Po serii zabiegów osoba jest szczuplejsza przynajmniej 4 centymetry w udach i 5 centymetrów w brzuchu.



Lifting bez skalpela

Dla pań po 35 roku życia proponujemy lifting twarzy przy pomocy prądów zbliżonych do bio-prądów. Potrzebna jest seria 8-16 zabiegów. Z wiekiem mięśnie twarzy zmieniają swój kształt i twarz „opada”. Naszym zadaniem jest więc zmniejszenie ilości skóry na powiekach, podniesienie policzków oraz spłycczenie zmarszczek głębokich i usunięcie płytkich.



Depilacja laserowa

Aby na długo pozbyć się zbędnego owłosienia, można wykonać zabieg epilacji laserowej. Ponieważ ingerujemy głęboko w skórę - nie ma znaczenia opalanie się. Należy wykonać kilka zabiegów w odstępach 1-2 miesięcy. Ilość zabiegów zależy od koloru i grubości włosa.



GABINET OFERUJE:

- laserowe zamykanie naczynek krwionośnych,
- pojednianie mięśni, masaże,
- kosmetykę, saunę, solarium.



GABINET ODNOWY BIOLOGICZNEJ

Warszawa, ul. Bracka 23 lok. 24
tel./fax (22) 827 65 70

www.odnowabiologiczna.w-wa.net

KUP N na bezpłatne badanie składu ciała i zapotrzebowania kalorycznego

*prosimy o wcześniejszy telefon

Warszawa, ul. Bracka 23 lok. 24 tel./fax (22) 827 65 70

Wymarzony urlop

- Morze Śródziemne
- Wyspy Kanaryjskie, Maroko
- Fiordy Norwegii
- Karaiby
- Transatlantyk Queen Mary 2

Polski opiekun podczas wybranych rejsów.



oferty od 140 €
+ opłaty portowe 107 €

Marco Polo Travel

Marco Polo Travel sp. z o.o.
00-542 Warszawa, ul. Mokotowska 49
tel.: (22) 622 00 81 + 82, 660 05 45
fax: (22) 660 05 46, e-mail: rejsy@rejsy.pl

Nasza oferta w wybranych biurach podróży w całej Polsce

W cenie: pełne wyżywienie, 24-godzinny serwis kabinowy, korzystanie z urządzeń sportowo-rekreacyjnych (baseny, jacuzzi, sauny, siłownia, boiska do koszykówki itp.), udział we wszystkich atrakcjach i imprezach organizowanych podczas rejsu (koncerty, przedstawienia, kino, dyskoteki, kasyna), serwis bagażowy. Pełna informacja o wszystkich kierunkach i terminach w biurze i na stronie internetowej

Rejsy wycieczkowe to idealne wakacje

www.rejsy.pl

Dieta Cambridge

Brak rezultatów dotychczasowego odchudzania?

jest „Dieta ostatniej szansy” – Dieta Cambridge zbilansowana, bezpieczna, skuteczna, prowadzona pod fachowym nadzorem. Szeroki asortyment produktów (wielosmakowe zupy, koktajle oraz nowości: napoje gotowe do spożycia, batony) ułatwiają pokonanie trudów odchudzania.

Informacje: Centrum Diety Cambridge;
02-793 Warszawa, ul. Belgradzka 4, tel/fax (0-22) 859-03-04

Atak na alzheimera

Naukowcy z University of California pod kierownictwem profesora Marka Tuszyńskiego rozpoczęli badania nad operacyjnym leczeniem choroby Alzheimera. Metoda polega na wszczepianiu wprost do mózgu chorego genetycznie zmodyfikowanej tkanki. Wykorzystano fragmenty naskórki, które zostały przystosowane do wytwarzania nerwowego czynnika wzrostu (NGF). Poprawia on funkcjonowanie komórek nerwowych i zapobiega ich obumieraniu. Rok po pierwszych operacjach zaobserwowano u chorych wzmoczoną aktywność komórek w miejscu wprowadzenia

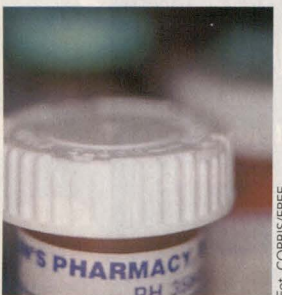


Fot. SP/UEAST NEWS

tkanki i spowolnienie postępu choroby. W Polsce na chorobę Alzheimera cierpi ponad 200 tysięcy osób, zapada na nią co trzeci człowiek po 80. roku życia.

Zbyt bezpieczne

90 procent dorosłych z trudem otwiera opakowania leków zabezpieczone przed dziećmi – takie są wyniki



Fot. CORBIS/FREE

badania przeprowadzonych w Wielkiej Brytanii. Szczególnie osoby po pięćdziesiątce nie mają dość siły, by poradzić sobie z zakrętkami. Postuluje się, by producenci leków zaczęli pakować środ-

Sypnęło kometami

Takiego urodzaju na komety dawno nie było – w maju

gołym okiem lub za pomocą niewielkiej lornetki możemy zobaczyć aż trzy „gwiazdy z warkoczem”. Najlepiej obserwacje zacząć od komety C/2001 Q4 (NE-AT). Pod tą przydługą nazwą kryje się obiekt zauważony po raz pierwszy trzy lata temu. Najlepszym okresem do jego obserwacji jest właśnie druga połowa maja. Księżyc



Fot. NASA

w nowiu nie przeszkadza w obserwacji. Bardzo szybko przemieszczająca się po niebie kometa widoczna jest wieczorem około 30 stopni nad południowo-zachodnim horyzontem – w gwiazdozbiórze Raka. Bez problemu można ją dostrzec gołym okiem. Drugą z komet odkryto za-



[z bliska]

PAJĄK KRZYŻAK ZŻERA MUCHĘ. Zaznaczonymi na czerwono szczękoczułkami wstrzyknął jej paraliżującą truciznę. Toksyna rozpuszcza ciało ofiary, umożliwiając pająkowi wessanie nadtrawionego pokarmu

Fot. SP/UEAST NEWS

Nie wystarczy chwalić mydło, by być czystym.

LUDWIK HIRSZFELD (1884–1954), LEKARZ MIKROBIOLOG, IMMUNOLOG I SEROLOG

się C/2004 F4 (BRADFIELD) i widać ją przed wschodem słońca w gwiazdozbiorze Andromedy. Najlepiej do jej obserwacji użyć lornetki – jasność komety zaczyna już spadać. Ostatnia z wielkiej trójki to C/2003 K4 (LINEAR) widoczna nad ranem wysoko na niebie – w gwiazdozbiorze Łabędzia. To najślabsza z magnetycznych komet – tu zdecydowanie nie obejdzie się bez średniej wielkości lornetki. Jak widać, każdy znajdzie coś dla siebie – i ci, którzy długo nie mogą zasnąć, i ci, którzy lubią wcześniej wstać.

Projektor w oku

Amerykańska firma Microvision opracowała system, który rzutuje za pomocą la-

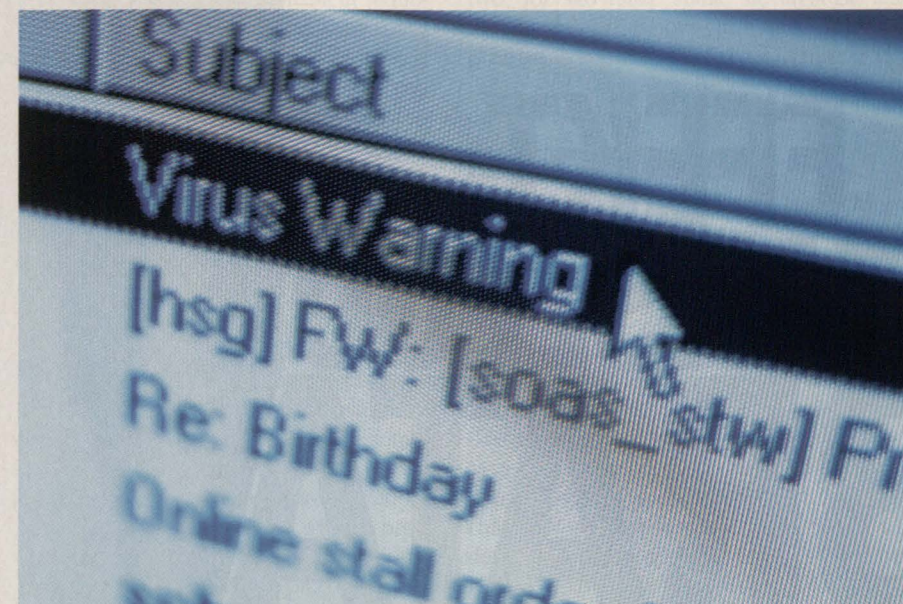


Fot. GETTY IMAGES/FPM

sera obrazy wprost na siatkówkę oka. Minimalna moc lasera sprawia, że system jest całkowicie bezpieczny. Informacje wyświetlone w oku wydają się unosić w górnej części pola widzenia. Można tam wyświetlać obrazy lub napisy. Z tego systemu korzysta już około stu amerykańskich żołnierzy w Iraku, testowano go też w warsztatach samochodowych Hondy, gdzie technicy korzystali z wyświetlanej instrukcji obsługi bez odrywania się od pracy. System może znaleźć zastosowanie także podczas operacji chirurgicznych, u pilotów samolotów czy kierowców. Jego twórcy twierdzą też, że w ciągu pięciu lat możliwe byłoby połączenie go z telefonami komórkowymi czy kieszonkowymi komputerami.

■ Najstynniejsza uczelnia techniczna świata Massachusetts Institute of Technology przeprowadziła badanie, w którym Amerykanów pytano o wynalazek, jakiego najbardziej nienawidzą, ale bez którego nie mogliby się obejść.

- 30% wskazało telefony komórkowe
- 25% wybrało budzik
- 23% żywi mieszane uczucia wobec telewizji
- 14% nienawidzi maszynek do golenia
- Jednocześnie 95% osób uważa, że te wynalazki podniosły jakość ich życia



Fot. SP/UEAST NEWS

Nowy i sprytny

Sasser – nowy wirus, który w ciągu pierwszego tygodnia zainfekował ponad 1,5 miliona komputerów, wciąż pozostaje groźny. Zdążyliśmy się już przyzwyczaić do kolejnych ataków coraz to nowszych wirusów. Wszystkie one rozprzestrzeniały się dzięki e-mailowi i ludzkiej nieostrożności. Zazwyczaj scenariusz był następujący: ktoś otrzymywał maila o intrygującym temacie, na przykład „list miłosny” lub „odpowiedź na twoją prośbę”. Zaskoczony otwierał go i... to mogło już wystarczyć. Jeżeli nieszczęśliwie miał pecha korzystać z programu Outlook, wirus uruchamiał się sam i rozsyłał pod kolejne adresy.

Jednak Sasser jest inny – dużo groźniejszy. On nie potrzebuje programu pocztowego – rozsyła się sam, odnajdując w Internecie podatne na zarażenie komputery. Ludzka pomoc nie jest mu w żaden sposób potrzebna. Na szczęście celem wirusa nie jest sianie zniszczenia. Objawem zarażenia komputera jest jego ciągłe restartowanie się. Niby nic groźnego, ale jeżeli taka przypadłość dotknie całą sieć firmy – katastrofa gotowa.

Tak stało się w niemieckiej poczcie. Sasser zainfekował tam 300 tysięcy kom-

puterów. Zanim zdołano sobie z nim poradzić, całe przedsiębiorstwo zostało sparaliżowane. Podobnie wyglądała sytuacja w brytyjskiej Agencji ds. Morskich i Straży Przybrzeżnej. – Musieliśmy wrócić do rysowania map na papierze, zamiast korzystać z naszego systemu komputerowego – skarżył się rzecznik agencji. W Polsce Sasser wdarł się między innymi do sieci Uniwersytetu Warszawskiego.

Sasser należy do dominującej obecnie grupy niebezpiecznych programów, które łączą sposób rozprzestrzeniania charakterystyczny dla wirusa z atakowaniem komputerów metodami hakerskimi. Do staje się do systemów komputerowych, korzystając z dziury w Windowsach. Co prawda od pewnego czasu dostępna jest już łatka zatykająca tę dziurę, ale kto by sobie zwracał głowę jej ściąganiem?

Co robić? Przede wszystkim myśleć. Dbać o komputer, zainstalować w nim oryginalny program antywirusowy, który będzie się często aktualizował. Regularnie ściągać łatki na systemowe dziury. Albo... zostawić Windowsy i przesiąść się na komputer Apple – tu się takie problemy nie zdarzają...

(PST + IBOOK)

[Zagadka]

Czy temnospondyle mają pygostyl?

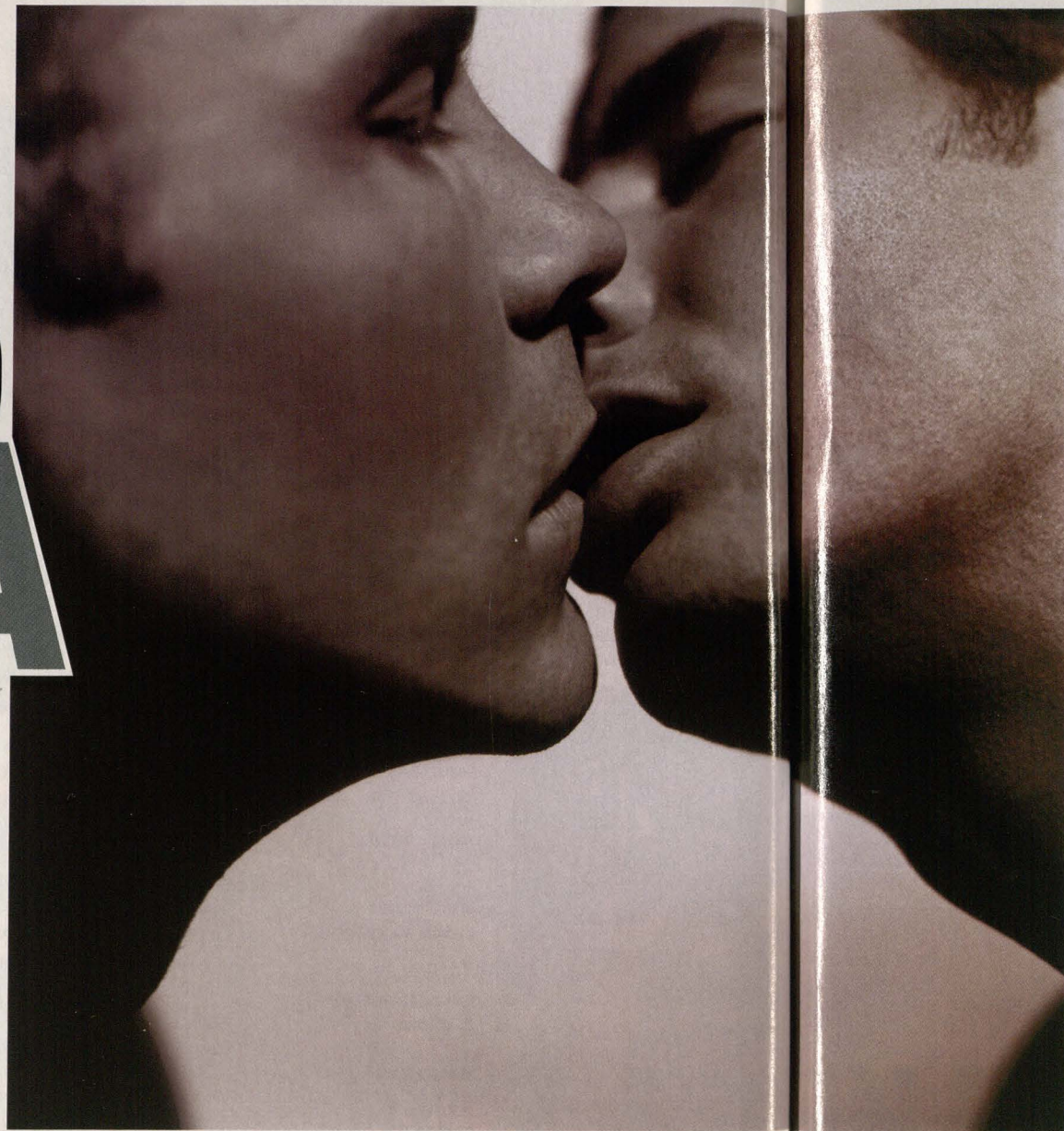
ODPOWIEDŹ DO ZAGADKI Z NUMERU 19
Pytanie powinno brzmieć: „Czy odkryłem TAK?”



www.MINI.com.pl

EFEKT STARSZEGO BRATA

Skąd się biorą homoseksualiści? Geje orientację seksualną zawdzięczają starszym braciom i... uczuleniu – uważa jeden z cenionych badaczy ludzkiej seksualności. Nie wierzysz? On też w to nie wierzył



Fot. GETTY IMAGES/FPF

Nie każdy homoseksualista ma brata. Z badań wynika, że mężczyźni rodzeństwu swoją orientację seksualną zawdzięcza co siódmy gej

Pomysłów na wytłumaczenie męskiego homoseksualizmu było w nauce już setki. Badacze – sami często homoseksualiści – wciąż usiłują znaleźć odpowiedź, która wytrąciłaby z ręki oręż wrogom „zorientowanych inaczej”.

Ci zaś uważają często, że miłość do przedstawicieli własnej płci to tylko fanaberia, wybór złej drogi życiowej lub błędy wychowania, które można naprawić odpowiednią terapią. Gdyby udało się udowodnić, że homoseksualizm jest wrodzony, a nie nabyty, sprawa zaczęłaby wyglądać zgoła inaczej. Dlatego przyczyn homoseksualizmu próbowano już szukać w genach (jak dotąd bezskutecznie) czy w różnicach w budowie mózgu (z częściowym powodzeniem).

Znany badacz ludzkiej seksualności Ray Blanchard z Centre of Addiction and Mental

Health w Toronto doniesienia tego typu traktował z dużym dystansem. Kiedy w kolejnej publikacji przeczytał, że homoseksualizm może wynikać z posiadania starszego brata, uznał to za naukowy humbug. Paradoksalnie jego próby udowodnienia nieprawdziwości tej tezy sprawiły, że sam jest jednym z jej głównych orędowników. Widać coś w tym musi być.

Test na brata

Poirytowany Blanchard postanowił „przetestować na starszego brata” ponad 300 homoseksualistów. Na podobną okoliczność przepytał też kontrolną grupę mężczyzn heteroseksualnych. Wyniki zdumiały go: odsetek posiadaczy starszych braci był dużo wyższy w grupie homoseksualnej. To nie mógł być przypadek.

Podobne dane uzyskało wielu innych badaczy. Zależność nie dotyczyła liczby rodzeństwa

w ogóle, liczby sióstr czy młodszych braci – wyraźnie chodziło tu o wpływ braci starszych. Ta zasada powtarza się niezależnie od szerokości geograficznej, kultury czy przynależności rasowej. Co ciekawe, wydaje się (choć badania trwają), że obowiązuje także wśród zwierząt.

O co tu może chodzić? – zastanawiał się Blanchard, nerwowo przeglądając wyniki, które jeszcze niedawno uważał za naukową anegdotę. Jak posiadanie starszego brata może decydować o czyjejś orientacji seksualnej?

– Może to wpływ wychowania? – podsunęli psychologowie. – Przebywanie z chłopcami w czasie dojrzewania, możliwość molestowania przez męskie rodzeństwo mogłoby ukierunkować zainteresowanie tą samą płcią.

Blanchard machnął ręką z irytacją. Przyczyny muszą tkwić znacznie głębiej. Ośrodek orientacji seksualnej wykształca się bowiem

jeszcze w życiu płodowym. Znajduje się w części mózgu zwanej podwzgórzem. Część podwzgórza odpowiadająca za typowo męskie zachowania seksualne u gejów jest znacznie mniejsza niż u mężczyzn heteroseksualnych i przypomina z wyglądu ten sam fragment mózgu u kobiet. Coś zatem musi wpływać na organizację mózgu na bardzo wczesnym etapie rozwoju. Ale jak ma się do tego starszy brat?

Swój czy obcy

Plód nie wie, ilu chłopców pomieszkowało przed nim w tej samej macicy. Plód nie. Ale organizm matki wie o tym doskonale. Skąd?

Każda komórka naszego ciała jest oznaczona. Te oznaczenia można porównać do numerów rejestracyjnych. Różnica polega na tym, że ludzkich numerów nie da się przebić. Na błonie każdej z komórek składających się na

sze ciała wszyscy mamy wypisane, kim jesteśmy. Te same numery mają bliźnięta jednojajowe, ludzie spokrewnieni ze sobą mają podobne oznaczenia. W naszym ciele funkcje numerów pełnią odpowiednie białka. Nazywa się je antygenami zgodności tkankowej.

Po co oznacza się komórki? Po to, by siły obronne naszego organizmu umiały odróżnić, kto jest wrogiem, a kto swoim, i nie zwalczały własnych tkanek. (Ten mechanizm przeszkadza przy przeszczepianiu narządów, ponieważ natychmiast są one rozpoznawane jako obce i tępione. Zapobiec temu mogą leki osłabiające układ odpornościowy biorcy przeszczepu).

W „numerze” zgodności tkankowej znajduje się także „cyfra” kodująca płć. Jeśli jesteś chłopcem, na błonie wszystkich twoich komórek znajduje się odpowiednie białko – tak zwany antygen HY. Za jego powstanie odpowiada męski chromosom Y. Stąd właśnie organizm matki wie, jakiej płci dziecko znajduje się w macicy. Komórki dziecka przedostają się do krwiobiegu matki. Zwiadowcy układu odpornościowego kobiety szczytują numery rejestracyjne płodu i wszystko staje się jasne.

Uczulenie na chłopca

– Moim zdaniem kłopoty zaczynają się wtedy, gdy organizm kobiety „uczula się” na męski plód – mówi Blanchard. – Ze względu na pokrewieństwo antygeny zgodności tkankowej kobiety i dziecka są bardzo podobne. Z pewnością jednak na żadnej kobiecej komórce nie znajduje się antygen HY. Jej układ odpornościowy może więc uznać to białko za wroga i starać się je zwalczyć.

Czy rzeczywiście może mieć to wpływ na potomstwo płci męskiej? Sprawdzono na myszach. Synowie tych, które sztucznie uczulono na to białko, zaczęli mieć kłopoty z płodnością.

A jak to jest u ludzi? Homoseksualiści z reguły mogą mieć dzieci. Antygen HY obecny jest u ludzi zwłaszcza na błonach komórkowych neuronów (komórek nerwowych znajdujących się głównie w mózgu). Jeśli więc organizm matki zacznie z nim walczyć, może to wpłynąć na organizację mózgu.

– To, moim zdaniem, jest wytłumaczeniem, dlaczego z każdym kolejnym męskim płodem wzrasta prawdopodobieństwo wykształcenia się homoseksualizmu u chłopca – mówi Blanchard. Kolejny syn wzmacnia odpowiedź układu odpornościowego matki, który z większą zacieklnością atakuje „chłopięce białko” HY.

O tym, że starsi bracia wpływają na stan młodszych jeszcze przed urodzeniem, może też świadczyć to, że młodszy chłopcy mają zwykle znacznie niższą wagę urodzeniową, towarzyszy im też powiększone w stosunku do przeciętnego łożysko.

– Widać w życiu prenatalnym nie jest im łatwo; łożysko może starać się łagodzić ataki układu odpornościowego matki, stąd jego przerost – komentuje Michael Vernier z University of California w Berkeley, który przebadał pod tym kątem 7500 łożysk.

Efekt uboczny

Ray Blanchard wyliczył, że gdy na chłopca przypada średnio 2,5 starszego brata, prawdopodobieństwo, że będzie on homoseksualistą, wzrasta dwukrotnie. Przy czterech starszych braciach jest ono już czterokrotne.

Nie wiadomo, dlaczego niektóre kobiety uczulają się na chłopców, gdy inne nie. Faktem jest, że chłopcy są płcią biologicznie droższą (kosztują matkę więcej energii). Męskie płody są delikatniejsze i do utrzymania ich w zdrowiu potrzeba większych nakładów sił. Może więc na chłopców uczulają się słabsze kobiety? Nie wiadomo. Być może też alergia na „męskie białko” HY jest tylko jednym z bodźców, który wpływa na kształtowanie chłopięcego mózgu.

Niektórzy badacze uważają, że homoseksualizm może być także wynikiem wysokiego stężenia męskiego hormonu – testosteronu – w czasie życia prenatalnego. Odpowiada on za nabieranie przez plód męskich cech. Jego nadmiar może jednak wpłynąć na kształtowanie się mózgu. Tak uważa John Manning z University of Central Lancashire w Preston.

On także zauważył „efekt starszego brata” u badanych homoseksualistów. Ma jednak inne – hormonalne – jego wytłumaczenie.

– Myślę, że organizm matki, wiedząc, iż na świecie jest już starszy brat chłopca, który ma się dopiero urodzić, chce zapewnić mu „równe szanse”. Dawniej było to o tyle istotne, że chłopcy musieli walczyć o dostęp do pokarmu, o partnerki. Silniejszy wygrywał. A silniejszym był zwykle starszy.

By wyrównać szanse młodszego, organizm matki „pompuje” w chłopca więcej testosteronu, czego efektem jest większa masa mięśniowa, odporność na choroby układu krążenia. Skutkiem ubocznym zaś, gdy poziom hormonu przekroczy wartość krytyczną, mogą być zmiany w organizacji mózgu powodujące homoseksualizm. Być może homoseksualizm jest więc ceną za przeżycie.

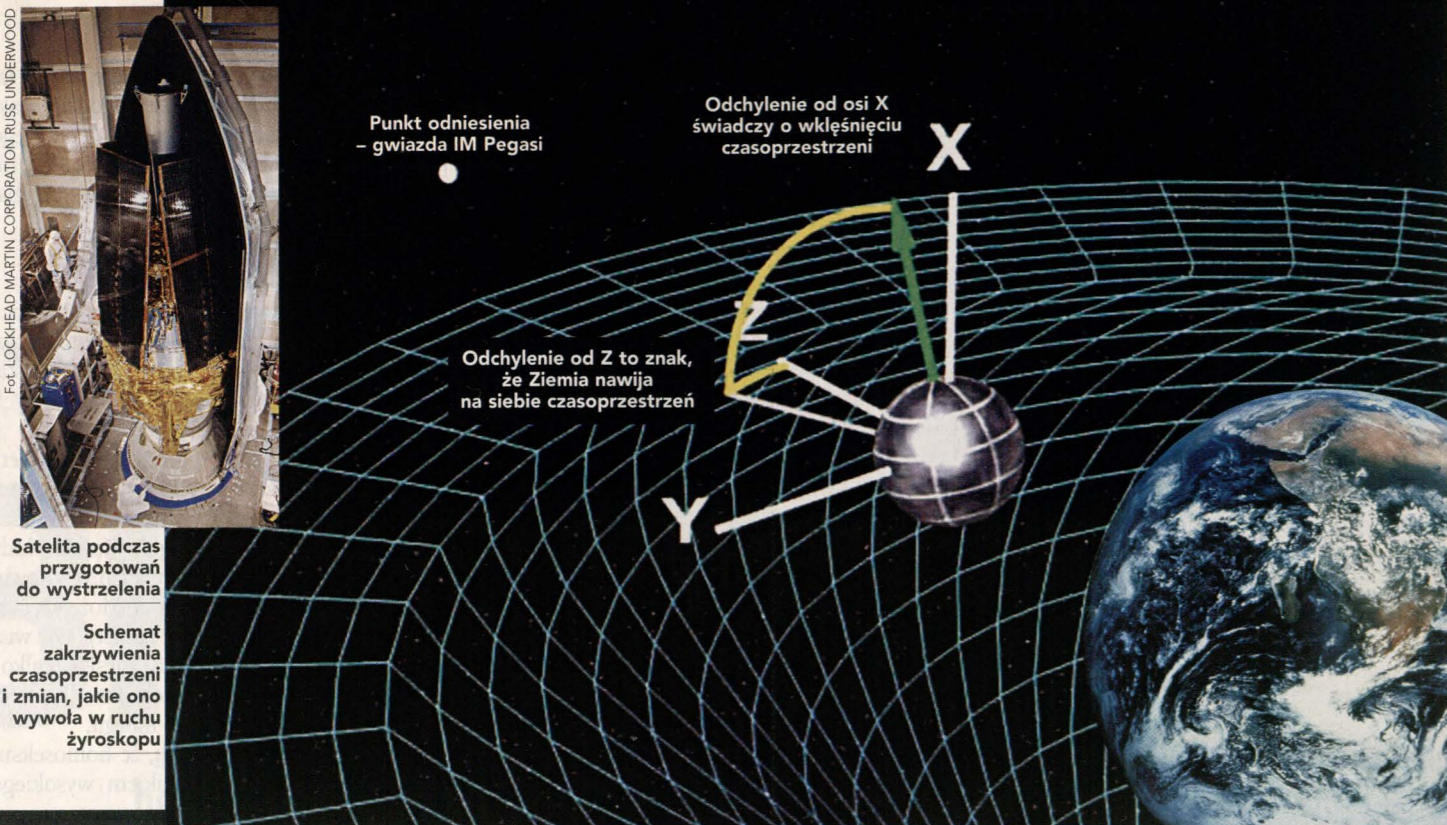
– Myślę, że nasze teorie mogą się uzupełniać – odpowiada na to Blanchard. – Potrzeba dalszych badań, by to wyjaśnić.

Tyle o gejach. No dobrze – zapyta ktoś – skąd zatem biorą się lesbijki? W nauce nie było do tej pory dość zdeterminowanych kobiet, by to zbadać.

OLGA WOŹNIAK

KORZYSTAŁAM M.IN. Z „NEW SCIENTIST” NR 29/03/03

$$E=mc^2$$



Satelita podczas przygotowań do wystąpienia

Schemat zakrzywienia czasoprzestrzeni i zmian, jakie ono wywołuje w ruchu żyroskopu

GRA W KULKI

Na orbitę właśnie trafił jeden z najdziwniejszych satelitów, jakie kiedykolwiek wystartowały. Jego zadaniem nie jest ani przekazywanie sygnałów telewizyjnych, ani robienie zdjęć szpiegowskich czy obserwowanie kosmosu. Ma udowodnić najbardziej znaną i najmniej zrozumianą teorię, jaką udało się człowiekowi wymyślić – ogólną teorię względności Alberta Einsteina.

Dziura w rzeczywistości

Mimo że od jej sformułowania minęło niemal 90 lat, tak naprawdę mało kto rozumie, o co chodzi. Problem w tym, że cała teoria mocno kłóci się ze zdrowym rozsądkiem – a przecież to właśnie jemu najchętniej ufamy.

Każdy normalny człowiek, pomijając fizyków, wie, że Newton dostał w głowę jabłkiem z powodu grawitacji. A grawitacja to przecież nic innego, jak przyciąganie się dwóch ciał – dużej Ziemi i małego jabłka, któremu na drodze stanął biedny Newton. Tak samo Ziemia jest przyciągana przez Słońce, a Księżyc przez Ziemię. Proste? Tyle że nieprawdziwe.

Zdaniem Newtona i pani od fizyki z podstawówki ciała przyciągają się tym silniej, im bliżej siebie się znajdują. Przez ponad 200 lat nie było w tym problemu – w zasadzie wszystko się zgadzało. Potem pojawiła się refleksja – wiadomo, że nic nie może przenosić się

szybciej od światła, a przecież grawitacja działa natychmiast, czyli coś tu się nie zgadza.

Rozwiązanie, zdaniem Einsteina, jest proste: duża masa sama niczego nie przyciąga – ona po prostu robi zagłębienie w czasoprzestrzeni. Brzmi to dość abstrakcyjnie, ale w sumie łatwo to sobie wyobrazić dzięki modelowi. Weźmy dużą gumową płachtę – to będzie nasza czasoprzestrzeń. Na jej środku połączmy

Cztery idealne kwarcowe kule dadzą nam odpowiedź na pytanie, czy Einstein miał rację

sporą metalową kulę – to będzie Ziemia. Oczywiście gumowa czasoprzestrzeń ugięła się pod wpływem kuli, tworząc zagłębienie. Jeżeli teraz na płachcie położymy mniejszą, dajmy na to, szklaną kulkę, to potoczy się ona do środka zagłębienia i uderzy w metalową Ziemię – tak właśnie zachowują się meteoryty. Jeżeli szklana kulka będzie większa i w dodatku popchniemy ją po płachcie, to zacznie krążyć wokół zagłębienia, powoli zbliżając się do jego środka. To przypadek na przykład Księżyca. Natomiast kuleczka bardzo szybko lecąca po płachcie tylko trochę zmieni trasę – lekko skłęci przy zagłębieniu i polecą dalej.

Tak właśnie wygląda grawitacja według Einsteina – po prostu zagłębienie, w które wpadają różne rzeczy. Z jego teorii względności

wynika jeszcze jeden efekt – otóż jeżeli jakieś ciało o dużej masie się kręci (tak jak Ziemia), to owija wokół siebie i czas, i przestrzeń.

O włos

Brzmi to strasznie abstrakcyjnie i niezbyt wiarygodnie? To właśnie problem z teorią Einsteina – ładnie wygląda, tylko trudno ją jakkolwiek udowodnić. Gdy tylko człowiek zaczyna się zastanawiać, pojawiają się jakieś czwarte czy piąte wymiary i wyobraźnia wysiada. Na szczęście naukowcy wymyślili doświadczalne dowody. Jednym z nich jest właśnie doświadczanie, które ma wykonać nowy satelita.

Chodzi o sprawdzenie, czy czasoprzestrzeń rzeczywiście zagina się wokół Ziemi i czy nasza planeta, kręcąc się, owija ją wokół siebie. Pomysł polega na wysłaniu na orbitę niezwykle czułych żyroskopów. Zostaną one rozprężone i będą wirowały przez rok. Specyfika żyroskopu polega na tym, że bardzo trudno zmienić jego położenie w przestrzeni – wirująca masa nie lubi się ruszać. To zresztą jeden z powodów, dla których łatwiej jeździ nam się na rowerze.

Jeżeli Einstein miał rację, to mimo niechęci do zmieniania swojej pozycji żyroskopy tro-

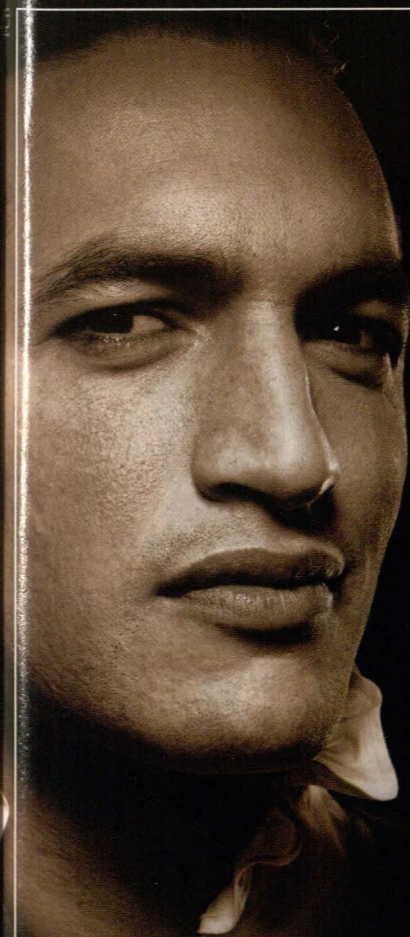
szeczkę „zsuną się” do zagłębienia odcisniętego w czasoprzestrzeni przez Ziemię. W dodatku kierunek ich ruchu zostanie odrobinę skręcony w bok – to efekt nawijania czasoprzestrzeni. Aby te zmiany stwierdzić, potrzebny jest jakiś niezależny punkt odniesienia – w końcu wszystko, co znajduje się w pobliżu Ziemi, podlega takim samym zniekształceniom. Wybrano jedną z gwiazd leżących w gwiazdozbiórce Pegaza – taką, której ruch po niebie można bardzo precyzyjnie wyliczyć. To względem niej obliczone zostaną ewentualne zmiany ruchu żyroskopów.

Zresztą same żyroskopy też są niezwykle – ich najważniejszą częścią są kwarcowe kulki wielkości piłeczek do ping-ponga, będące najdoskonalszymi kulami, jakie kiedykolwiek wykonano. Umieszczone zostaną w wypełnionym próżnią termosie schłodzonym do temperatury wyższej tylko o 1,5 stopnia od zera absolutnego. Wszystko po to, by wyeliminować jakiegokolwiek zakłócenia zewnętrzne – odchylenia wywołane pomysłami Einsteina mają być naprawdę minimalne. Mniej więcej takie jak kąt, o który trzeba obrócić głowę, patrząc z 15 kilometrów raz na jedną, raz na drugą krawędź włosa.

Po roku obserwacji będziemy już wiedzieli, czy Einstein miał rację. Jeżeli żyroskopy zmienią położenie o tyle, ile przewiduje teoria względności, to naukowcy poczują się uspokojeni, ale za to zwykli ludzie będą mieli o czym myśleć – ich wizja zdroworozsądkowego świata okaże się niewiele warta. Gdyby jednak przewidywania Einsteina się nie sprawdziły, czekałaby nas rewolucja w fizyce.

Czy całe przedsięwzięcie ma jakieś praktyczne zastosowanie? Przede wszystkim wiedza o istocie grawitacji przydatna jest w różnego rodzaju pomiarach. Nawet minimalne zakłócenia w namiarach światowych systemów lokalizacji satelitarnej GPS i Galileo przekładają się na znaczne błędy przy kierowaniu statkami czy samolotami. Grawitacja ma też znaczenie dla funkcjonowania superdokładnych zegarów atomowych. Przede wszystkim jednak doświadczenie da nam częściową odpowiedź na najbardziej podstawowe z pytań: jak działa świat, w którym żyjemy? A ta wiedza jest najcenniejsza.

PIOTR STANISŁAWSKI



OLYMPUS

Your Vision, Our Future

FASCYNACJA

zbliża. Nie tylko w tańcu.

Te aparaty to powiązanie metalowego korpusu z innowacyjną technologią zapewniającą doskonałe zdjęcia. Czyż nie jest to wspaniałe połączenie? www.eurocolor.pl

IT'S DIGITAL.



Dla kciukowców

Nową wersję telefonu-konsole NOKIA N-GAGE QD pokochają zapaleni gracze z „cywilizacji kciuków”. Gracze na całym świecie mogą łączyć się za pośrednictwem sieci komórkowych.

www.nokia.pl
www.n-gage.com

**Kobiety kobietom**

Oto pierwszy samochód na świecie zaprojektowany przez kobiety! VOLVO YCC ma automatyczną skrzynię biegów przy kierownicy i komputer pokładowy nadzorujący przebieg eksploatacji, który w razie potrzeby przesyła informacje do najbliższego serwisu. Parkowanie ułatwia system podpowiadający, czy auto zmieści się we wskazanym miejscu, i automatycznie sterujący kierownicą. Nic, tylko wsiadać, wciskać pedał gazu i hamulca oraz kręcić kierownicą.

www.volvo.pl

**Zamiast lampki**

Właściciel zegarka LIGHT ME UP firmy SWATCH nawet w środku nocy bez problemu odczyta godzinę. Wystarczy, że dotknie palcem szkiełka zegarka, a tarcza się podświetli. Po chwili sama zgaśnie. 275 złotych
www.swatch.pl

**Sportowy uwodziciel**

Zamknięty w metalicznym szkłe męski zapach ALLURE HOMME SPORT firmy CHANEL jest świeży, ciepły i zmysłowy. Uwodzicielska mikstura pachnie pomarańczą z Kalabrii zmieszaną z białym piżmem, czarnym pieprzem z Madagaskaru i ostrymi nutami cedru z gór Atlasu. 50 mililitrów – 227 złotych
W perfumeriach na terenie kraju

**Zawsze do usług**

Smukły aparat cyfrowy CYBER-SHOT T1 firmy SONY fotografuje w niecałą sekundę po włączeniu. Cyfrowka ma rozdzielczość 5,1 megapiksela, obiektyw z trzykrotnym zoomem i duży hybrydowy ekran LCD 2,5" pomagający w wyborze ujęcia. Około 2700 złotych
www.sony.pl

lipopmoda]

Czy markowy produkt musi mieć markę? Nie, wystarczy, że ma dobrą jakość, niską cenę, prosty design, jest przyjazny dla środowiska i... został wymyślony przez Japończyków!

„Czy wszystkie przedmioty w twoim domu wyglądają jak z odzysku i nie musisz się martwić, że wszystko, co posiadasz, zostanie zniszczone w trzęsieniu ziemi, zmyte przez powódź albo podeptane przez Godzillę?” – żartobliwie pytają brytyjscy dziennikarze. „Jeśli tak, to najwyraźniej jesteś stałym klientem sieci sklepów MUJI”. A jeśli tak, to podobnie jak Catherine Deneuve, Johnny Depp czy Vanessa Paradis, uległeś czarowi japońskiego designu promowanego według prostej zasady – „muji-rushi ryohin”, czyli „dobry produkt bez marki”. Dla MUJI liczy się sklep, w którym kupujesz, bo na produktach nie ma żadnych natrętnych znaczków firmowych.

Azjatycka IKEA

Tajemnica sukcesu firmy tkwi w ograniczeniu nadmiernych wydatków na produkcję – materiały z odzysku, szare opakowania, pełne wykorzystanie każdego surowca. Pośród ponad pięciu tysięcy produktów odnaleźć można papierowe szuflady, aluminiowe organizery...

Asortyment jest szeroki: od ryżowych krakersów, ziołowych kosmetyków do segregatorów, garnków, łóżek, zamrażarek... Większość Japończyków zapytanych o ulubioną

markę, wykrzykuje natychmiast: „Kocham MUJI!”. W Europie króluje sieć IKEA, a w Azji MUJI. Mimo pogłębiającej się recesji na Dalekim Wschodzie japoński koncern od czasu pojawienia się na rynku na początku lat 80. nieustannie notuje wzrost finansowy. Obecnie jego sieć to 265 sklepów w kraju, po kilka w Hongkongu i Singapurze oraz w Wielkiej Brytanii, Irlandii i we Francji. Dla Amerykanów towary codziennego użytku MUJI dostępne są przez Internet (www.mujionline.com).

Yen wyparł zen

– Ekologiczna świadomość jest jedną z ważniejszych inspiracji dla konceptu MUJI – mówi menedżer firmy Masaki Kanai. – Przez dokładny dobór materiałów, efektywny proces produkcji i proste pakowanie możemy wyeliminować zbędne odpadki i konserwować bogactwa mineralne.

Nie tylko „przyjazność dla środowiska”, nienachalnie reklamowana pięknymi billboardami z naturalnym krajobrazem kraju, przyciąga Japończyków do MUJI. Stonowane barwy produktów, surowe materiały i proste wzornictwo odwołują się wprost do dwóch podstawowych kategorii estetycznych – wabi i sabi. Mówi się, że kiedy „yen wyparł zen”, powrót do tradycji stał się doskonałym antidotum na modne zachodnie marki.

JACEK SKOLIMOWSKI

Oto MUJI MUJI MUJI



Fot. FORUM (3), SERVIS FIRMOWY (5), SIP/FAST NEWS (3), SNAPPIX/BULLS



www.mini.com.pl

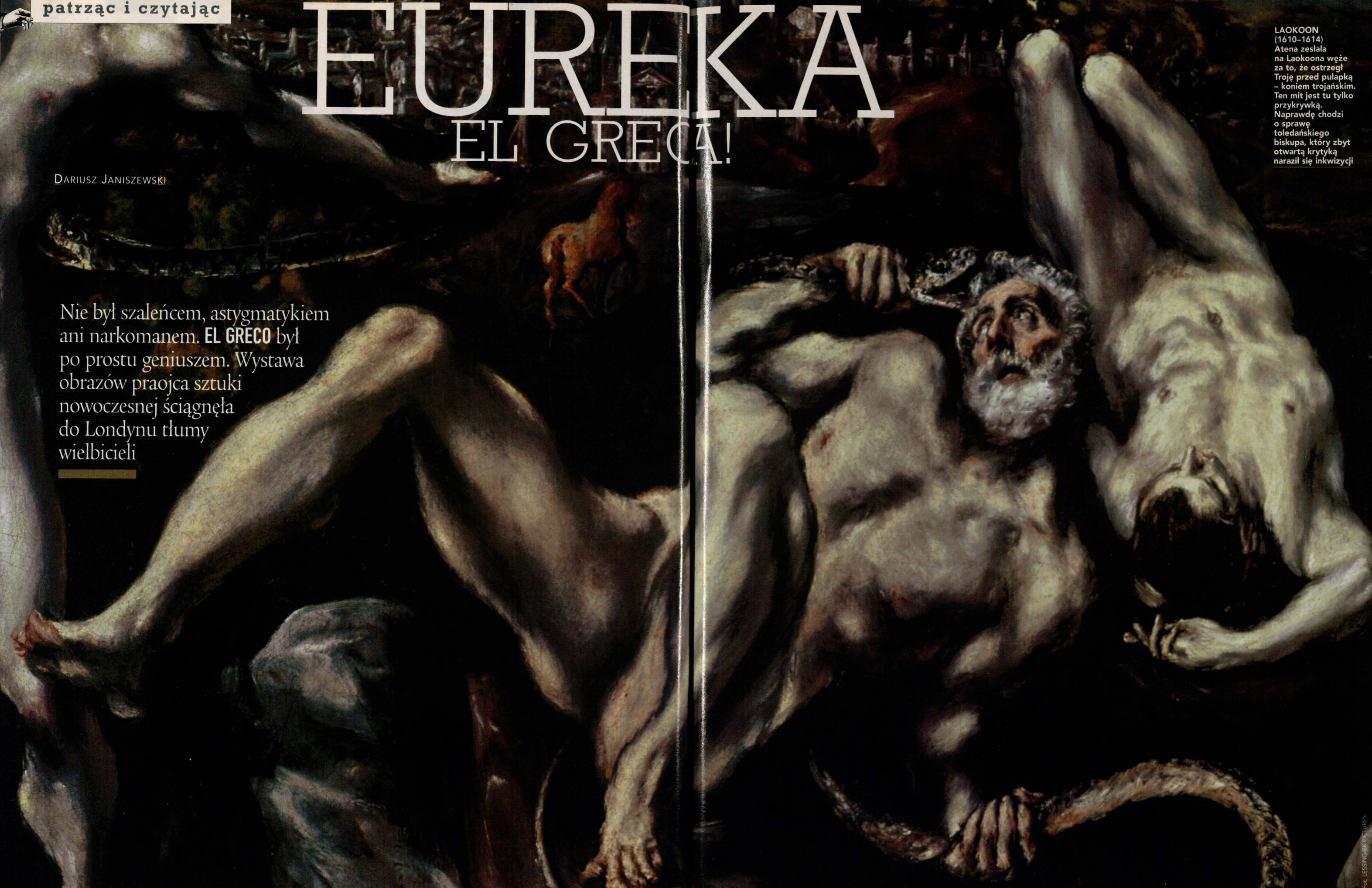
EUUREKA

EL GRECO!

DARIUSZ JANISZEWSKI

Nie był szaleńcem, astygmatykiem ani narkomanem. **EL GRECO** był po prostu geniuszem. Wystawa obrazów praojca sztuki nowoczesnej ściągnęła do Londynu tłumy wielbicieli

LAOKOON
(1610-1614)
Ateńskie zezwolenie na Laokoona węża za to, że ostrzegł Troję przed pułapką - koniem trojańskim. Ten mit jest tu tylko przykrywką. Naprawdę chodzi o sprawę toledońskiego biskupa, który zbyt otwartą krytyką naraził się inkwizycji



- Może
Buonarroti
jest wielkim
rzeźbiarzem,
ale nie potrafi
malować
- wypalił Grek.
- Bez trudu
mógłbym
zastąpić jego
dzieło własnym,
równie dobrym,
a niesiejącym
zgorszenia
- dodał



Fragment obrazu
ŚWIĘTA RODZINA
ZE ŚWIĘTĄ ANNA
(1595)
El Greco
podejmował ten
temat wiele razy.
Na jednym
z płócien nadal
tworzy świętego
Józefa własne rysy



Fragment obrazu **POGRZEB HRABIEGO ORGAZA** (1586-1588) Zabieg piętrzenia nad sobą ludzkich postaci El Greco przeniósł z bizantyjskich mozaik



FOT. BRIDGEMAN/BL&W

Gdy zarzucano mu, że na religijnych dziełach maluje ludzi we współczesnych strojach, odpowiadał: – Co jest nieprzystojnego w ubraniach, które noszą katolicy w całej Hiszpanii?



Fragment obrazu **ADORACJA IMIENIA JEZUS** (1579) El Greco namalował go dla Filipa II, żeby zdobyć dworskie zamówienia. Połączył tu technikę weneckich mistrzów z warsztatem malarzy ikon z Krety

FOT. NATIONAL GALLERY COLLECTION/CORBIS/RETNA

Pod dachem pałacu kardynała Farnese w Rzymie znajdowali schronienie wybitni XVI-wieczni artyści, duchowni i humaniści, których łączyło zamiłowanie do sztuki. Szczególną czcią darzono tu Michała Anioła, uważając jego dzieła za niedościgniony wzór. Często dyskutowano o ich mistrzostwie. Podczas jednej z takich rozmów – tym razem na temat fresków z Kaplicy Sykstyńskiej – nieoczekiwanie zabrał głos cudzoziemiec zwany El Grekiem. – Bez trudu mógłbym zastąpić całe to dzieło własnym, równie dobrym, a niesiejącym zgorszenia – wypałił. Rozmowa zamarła. Orsini, bibliotekarz kardynała, przyjaciel wypowiadającego te słowa Greka, mało się nie zakrzuszył.

– Może i Buonarroti jest wielkim rzeźbiarzem, ale nie potrafi malować – dorzucił Grek zirytowany hołdami dla nieżyjącego artysty. Wiedział, że wyrządził prawdziwą przykrość Orsiniemu, który zamówił u niego aż sześć płócien, ale miał już wszystkiego dosyć. Konkurencja w Rzymie była zbyt duża, z trudem udawało mu się zdobywać zamówienia na niewielkie obrazy dla prywatnych odbiorców. Ileż można studiować dzieła innych malarzy, choćby najlepsze?! Minał rok, odkąd zamieszkał w Palazzo Farnese, i czuł, że się dusi. Uznał, że czas na zmiany.

KRĘTA DROGA Z KRETY DO KARIERY

Gdyby nie był genialnym buntownikiem, Domenikos Theotokopulos prawdopodobnie do końca swoich dni żyłby na Krecie i malował ikony. W XVI wieku jego rodzina wyspa była wenecką kolonią coraz liczniej odwiedzaną przez przybyszów z łądu. Dzięki nim Domenikos poznał malarstwo największych włoskich artystów. I zbrzydły mu ikony. Nie chciał do końca życia powtarzać dawno ustalonych schematów. Na ikonie „Św. Łukasz malujący Dziewicę i Dzieciątka” wprowadził perspektywę – nieznaną w ortodoksyjnym malarstwie. No i jeszcze ten anioł, jakby przeniesiony z weneckiego płótna. Takie wprawki nie zaspokoili jednak jego malarzskich ambicji.

W 1567 roku 26-letni Domenikos postanowił wrócić do roli ucznia – ruszył do Wenecji studiować dzieła tamtejszej szkoły. Przede wszystkim Tycjana, Veronesego i Tintoretta. To od nich nauczył się, jak wiele w malarstwie można osiągnąć za pomocą koloru i światła, w jaki sposób stworzyć iluzję głębi i pokazać postaci w ruchu. W pracowni Tintoretta podpatrzył małe figurki z gliny i wosku, których mistrz używał jako modeli. El Greco podwieszał je pod sufitem i obserwował z różnych punktów – dzięki temu mógł malować ciało nawet w najśmielszych skrótach. Odwiedzał studia ulubionych malarzy, zachwycał się czciami, jaką wszyscy otaczali mistrzów, i marzył, że pewnego dnia zajmie ich miejsce.

Swoją szansę widział w podróży do Rzymu, centrum ówczesnego świata sztuki. Po drodze

zdążył jeszcze poznać obrazy manierystów pełne smukłych postaci o łabędzych szyjach i dłoniach zastygłych w teatralnych gestach. Zauważył, że ich autorzy wcale nie próbowali naśladować natury, inspirację znajdowali we własnej wyobraźni. Ich obrazy były sposobem na oddanie osobistych przeżyć.

W Wiecznym Mieście nie zagrał jednak miejsca. Wkrótce wyjechał do Hiszpanii – i dobrze, bo właśnie tam w pełni rozwinął swój niepowtarzalny styl.

ŚWIĘCI MAJĄ ZACHĘCAĆ DO MODLITWY

Do Madrytu zwabiły go wieści o budowie Escorialu, rezydencji Filipa II. Jednak plany zdobycia pozycji nadwornego malarza spełzyły na niczym. Wykorzystując znajomości, zdobył wprawdzie zamówienie, ale współpraca z dworem się nie układała. Pierwszy obraz, który miał być testem jego umiejętności, podobał się Filipowi. Król nie mógł się oprzeć propagandowej wymowie „Adoracji imienia Jezus” sławiącej zwycięstwo ligi antyturskiej i pokazującej go na pierwszym planie, obok papieża. Drugi – „Męczeństwo św. Maurycego” – na którym widać było pierwsze próby nowego stylu Greka, zbyt odbiegał od przyjętego schematu. Konserwatywny w swych gustach Filip zapłacił po królewsku, ale płótno wylądowało na strychu. – Święci powinni być tak namalowani, żeby nie odbierali chęci, by się do nich modlić – wyszeptał bibliotekarz Escorialu, próbując wytłumaczyć decyzję swego pana. El Greco zapamiętał tę radę do końca życia.

Obrazy, które do tej pory malował, do zdumienia przypominały te weneckich mistrzów. Zdarzyło się nawet, że pomyłono jego płótno z dziełem Tycjana. Jednak Domenikos nie uznał tego za komplement. Wręcz przeciwnie – wpadł w furję. Zrozumiał, że musi stworzyć styl tak niepowtarzalny, by nigdy więcej nie popełniono podobnego nietaktu.

W XX wieku w końcu uznano go za wielkiego geniusza hiszpańskiego malarstwa

Przede wszystkim wrócił do założeń wzgardzonych niegdyś ikon. Chciał, aby jego obrazy tak jak one były środkiem, który przez kontemplację umożliwia człowiekowi kontakt z Bogiem. Jego dzieła nie miały więc być próbą oddania tego, co widzialne. Zrezygnował z ograniczeń perspektywy i precyzyjnego odtwarzania anatomii. Wydłużeniem postaci – jak u manierystów – i operowaniem światłem – jak u weneccjan – osiągnął ich odrealnienie. Bez włoskiej lekcji nie doszedłby też do swojej własnej – chłodnej – palety barw.

NARESZCIE GO SŁUCHAJĄ

Nowatorskie pomysły Greka cieszyły się ogromnym wzięciem w ultrakatolickiej Hisz-

panii. Rosnące wpływy protestantów poważnie niepokoiły Kościół. Niedawno zakończony sobór trydencki ustalił, że orężem kontrreformacji ma być sztuka głosząca nie tylko wielkość i siłę Kościoła, lecz także potęgującą uczucia religijne. Klientela Domenikosa, która w większości składała się z osób wykształconych, rozumiała, że styl jest u niego podporządkowany mistycznej wymowie płócien. Że światło ma tu znaczenie sakralne – nie estetyczne – a odwrócenie od realizmu ma zachęcać odbiorcę do wykraczania poza świat zmysłów, do kontemplacji i modlitwy.

Teraz nie musiał się martwić brakiem pracy. W 1576 roku wyruszył do Toledo, gdzie dostał duże zlecenie. Został tu aż do śmierci, malując portrety dla miłośników sztuki

Fragment obrazu **CHRYSZTUS W OGRODZIE OLIWNYM** Nowoczesne rozwiązania El Greca, m.in. odważne skróty perspektywy i eliminacja szczegółów, inspirowały twórców takich jak Cézanne i Picasso



Zrobił z niego ośrodek życia kulturalnego – zapraszał doń artystów, duchownych, pisarzy. Znowu mógł dyskutować o architekturze, literaturze i muzyce. Ale tym razem wszyscy musieli wysłuchiwać jego opinii z szacunkiem.

RACHUNKI GENIUSZA

Sukces uderzył mu do głowy, a przecież już wcześniej uważał się za kogoś wyjątkowego.

Przekonał władze, że jako artysta, przedstawiciel sztuk wyzwolonych, a nie rzemieślnik, zasługuje na zwolnienie z podatku. Śmiało posunięcie, zważywszy, że jego pracownia większość tematów wykonywała seryjnie – wypuściła choćby ponad setkę „Świętych Franciszków”.

Twierdził, że jego płótna są wprost bezcenne. Po namalowaniu „Pogrzebu hrabiego Orgaza” rzekł kwaśno: – Cóż, dostałem za ten obraz o wiele mniej, niż był wart. Ale jest pewne, że potomni zaliczą mnie do największych geniuszy hiszpańskiego malarstwa.

Niestrudzenie procesował się o pieniądze ze swymi zleceniodawcami. Miał słabość do zbytku, żył bardzo rozrzutnie. Mimo że świetnie zarabiał, wciąż się zadłużał.

Ale najważniejszy powód jego sądowego awanturnictwa leżał zupełnie gdzie indziej. Duchowni zamawiający obrazy El Greca starali się znaleźć pretekst do obniżenia ceny. Najczęściej zarzucali mu niestosowność w przedstawieniu biblijnych tematów. Przy okazji „Obnażenia z szat” kapituła katedry kręciła nosem na to, że na obrazie głowy tłumu górują nad głową Chrystusa, a całej scenie przygląda się z bliska Matka Boska, co jest niezgodne z Ewangelią. Zarzucano mu także niestosowność umieszczania na religijnych dziełach ludzi we współczesnych strojach. – Jeśli nie mieliby na sobie współczesnych strojów, jak odróżnilibyście ich od świętych?! I co jest nieprzystojnego w ubraniach, które noszą katolicy w całej Hiszpanii?! – ripostował rozwścieczony malarz.

El Greco odbierał te zarzuty jako próbę ingerencji w swoje dzieła. Zwodził obietnicami wprowadzenia zmian, ale rzadko dotrzymywał słowa. Procesy ciągnęły się latami i zwykle kończyły się kompromisowym obniżeniem ceny.

IGRANIE Z OGNIEM

Wchodzenie w spory z Kościołem w czasach inkwizycji było – dosłownie – igraniem z ogniem. Otoczenie malarza stanowili wybitni duchowni, teologowie i profesorowie uniwersyteccy, ale w Toledo nie brakowało twardogłowych dogmatyków. Domagali się religijnej ortodoksji za wszelką cenę.

El Greco doskonale zdawał sobie sprawę z zagrożenia. Był świadkiem prześladowań żydów i morysków, potomków Arabów, zmuszonych wcześniej do zmiany wyznania. Sam uczestniczył w procesie jako tłumacz, gdy sądzono jego rodaka.

Ta atmosfera grozy odbiła się w jego pracach. „Laokoon” w antycznym kostiumie na-

wiazuje do dramatu toledońskiego biskupa, który trafił do więzienia na 17 lat, choć sam ostrzegał swoich wiernych przed herezją. „Portret inkwizytora kardynała Niño de Guerevara” pokazuje człowieka bezlitosnego – na myśl, że mógłby decydować o naszym losie, aż ciarki przechodzą po plecach. Niepokój i trwogę wyczuwa się też na „Widoku Toledo” – jednym z najwcześniejszych obrazów w sztuce Zachodu, gdzie krajobraz jest samodzielnym tematem. Artysta umieścił gmach katedry w centrum płótna, żeby zaakcentować pozycję Kościoła. Zarys królewskiej rezydencji po lewej stronie symbolizuje jego stronnika – państwo. Nad całym widokiem gromadzą się gęste, ciemne chmury, jakby zapowiadające nadciągający sąd boży.

Mimo wiecznych zatargów z duchownymi, nieformalnego związku i obcego pochodzenia Grekowi udało się dożyć sędziwego wieku. Zmarł w 1614 roku, zostawił po sobie trochę mebli, ubrań, bogatą bibliotekę, 200 zaczętych obrazów i pokaźne długi.

SZALONE ŻYCIE POŚMIERTNE

Chociaż za życia uważano go w Hiszpanii za mistrza, bardzo szybko pojawiły się opinie o ekstrawagancji jego dzieł. Zmieniła się moda, popularny stał się naturalizm spod znaku Caravaggia. Zapomniano o malarzu z Krety. W czasach klasycyzmu, kiedy symetria i harmonijne proporcje decydowały o wartości sztuki, dorobek El Greca służył za przykład niezrównowagi i złego smaku. Dopiero romantycy odkryli go na nowo. Zachwyciła ich wyjątkowość płócien Domenikosa. Podchwycili legendę o szalonym twórcy mistyku. Późniejsze teorie widziały źródło oryginalności artysty w jego słabości do haszyszu. Wreszcie uznano, że biedak miał astygmatyzm. Zupełnie jakby jego styl przyszedł z zewnątrz, jakby jego ambicja, intelektualna niezależność i konsekwencja w poszerzaniu artystycznych horyzontów nie miały z nim nic wspólnego.

Dzisiaj El Greco przyciąga tłumy do londyńskiej National Gallery. Krytycy oddali mu hołd – widzą na jego płótnach elementy chyba wszystkich prądów współczesnego malarstwa: ekspresjonizmu, kubizmu, nawet surrealizmu. W katalogu napisano, że portretami Greka zachwycał się Velázquez i Cézanne, że „Otworzenie piątej pieczęci” zainspirowało Picassa do namalowania „Panien z Awinionu”. Pokrewną duszę widział w nim Jackson Pollock, a Sergiej Eisenstein uznał go nawet za praojca montażu filmowego.

Wygląda na to, że jego prorocтво, późno, ale się spełniło i potomni rzeczywiście uznali go za największego geniusza hiszpańskiego malarstwa.

DARIUSZ JANISZEWSKI

WYSTAWA W LONDYŃSKIEJ NATIONAL GALLERY
POTRWA DO 23 MAJA



Nie komentujcie!

No, tym razem to ja już nic nie rozumiem z tej okładki! Dlaczego to niby do Unii nie pasujecie? Przecież poglądy macie raczej prounijne. A może po prostu chcecie pokokietować czytelnika, że niby tacy outsiderzy i w ogóle? A pod spodem dopisek: „Redakcja »Przekroju« w Unii Europejskiej”. Więc wertuję ja tygodnik z nadzieją, że wreszcie zobaczę tę Waszą redakcję, i to na dodatek w Unii. A tu nic – obietnki cacanki. Deski jakies w Warszawie do okien przybite – w każdej gazecie to już było. Po co obiecujecie, jak potem nie dajecie? Wierny, choć zawiedziony

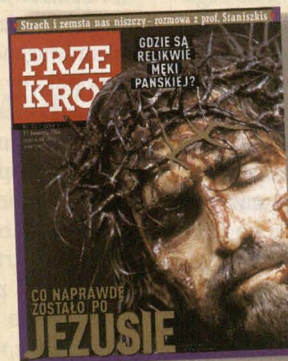
CZYTELNIK

Dziękuję za zdjęcia

Bardzo dziękuję za artykuł „Rzeź niewiniątek” („P” nr 17 z 25 kwietnia). Mieszkam od 15 lat za granicą, lecz śledzę na bieżąco polską prasę. Uważam, że tematyka środowiska naturalnego, przyrody jest w polskich mediach traktowana bardzo „po macoszemu”.

W Niemczech natomiast informacje tego typu są podawane w wiadomościach lub specjalnych reportażach, czego efektem są petycje, spontaniczne akcje w miastach, a nawet demonstracje przed ambasadami. Wasz artykuł jest dowodem na to, że także w Polsce zaczyna się coś w tej kwestii zmieniać. Najwyższy czas i dziękuję Wam, że napisaliście o tym, nie szczędząc makabrycznych, ale jakże istotnych faktów, przed którymi nie ma co chować głowy w piasek. Zdjęcia też uważam za znakomite: oddają całkowicie nieludzkość „myśliwych” (a raczej oprawców) i bezbronność niewinnych zwierząt. Zdjęcie małej foczki w sieci wzruszyło mnie do łez – jest smutne, ale jednocześnie więcej warte niż tysiąc słów.

ANNA JANASZKIEWICZ,
Niemcy



Redagowanie to naciąganie

Opublikowany w 15. numerze „Przekroju” tekst „Prasłowianie to Germanie” wzbudził dużo kontrowersji. Odezwali się zarówno przeciwnicy tezy,

jakoby Słowianie pojawili się na ziemiach polskich dopiero około VI-VII wieku naszej ery, jak i jej zwolennicy wytykający błędy w materiale. Z pierwszymi dyskutować się nie podejmuję, ponieważ ten spór trwa w archeologii od niemal 30 lat, a ja zdecydowałem się przedstawić jeden z punktów widzenia – moim zdaniem poparty mocniejszymi dowodami. Czuję się jednak w obowiązku odpowiedzieć drugim. Przede wszystkim biję się w pierś – popełniliśmy kilka pomyłek. Największą było zdjęcie otwierające materiał – okazało się, że faktycznie przedstawia ono Biskupin, ale nie jest to pradawny gród, tylko fragment dekoracji do „Starej baśni”. Pozostałe pomyłki znalazły się nie w samym tekście, tylko w redakcyjnych do niego dodatkach: nadtytuł, tytuł i leadzie. Sporą niezręcznością był też dopisek „niemiecki Biskupin”. Biskupin był co najwyżej germański, choć i na to nie ma archeologicznych dowodów – o czym zresztą wspominam w tekście. Błędem też jest sugestia, że mieszkańcy Biskupina mogli posługiwać się językiem starogermańskim – tego też nie wiemy. Jednak najczęściej emocji wzbudził tytuł „Prasłowianie to Germanie”. Choć wymyślony jako gra słów zachęcająca do przeczytania tekstu, wywołał oburzenie. Przepraszam obu naukowców – profesora Andrzeja Kokowskiego i doktora Jacka Andrzejewskiego. Od nich pochodzą informacje zawarte w tekście, choć nie w tytule, nadtytuł i leadzie.

PIOTR STANISŁAWSKI

ADRES REDAKCJI:
UL. WIEJSKA 12A, V.P., 00-490 WARSZAWA,
TEL. (0-PREFIKS-22) 584 25 25
FAKS (0-PREFIKS-22) 584 25 21
WWW.PRZEKROJ.PL

E-MAIL:
redakcja@przekroj.pl
REDAKTOR NACZELNY – WYDAWCA:
Piotr Najsztab

PIERWSZY ZASTĘPCA REDAKTORA NACZELNEGO:
Agnieszka Dajbor
ZASTĘPCA REDAKTORA NACZELNEGO:
Jacek Kowalczyk

DYREKTORZY ARTYSTYCZNI:
Elżbieta i Bogdan Zochowscy
SEKRETARZE REDAKCJI:
Magda Gedziągowska, Marcin Sendeki,
Mária Swietlik (zastępca)

ASYSTENTKA:
Anna Romotowska
KULTURA:
Bartek Chaciński (szef), Marcel Andino Velez,
Tadeusz Nyczek, Małgorzata Sadowska,
Andrzej Saramonowicz,
Justyna Sobolewska

KRAJ:
Magda Papuzińska (szef), Marcin Fabjański,
Joanna Gorzelińska, Dorota Sajnog, Max Suski,
Paweł Wieczorek, Michał Wójcik

ŚWIAT:
Wawrzyniec Smoczyński (szef), Filip Łobodziński,
Andrzej Łomanowski, Jakub Mielnik, Marek Rybarczyk

NAUKA:
Olga Woźniak (szef), Piotr Stanisławski

ROZRYWKA:
Marcin Pieszczyk
PRACOWNIA GRAFICZNA:
Piotr Gidlewski (szef), Maria Klich, Patrycja Kühn,
Małgorzata Łaska, Agata Loth,
Maciej Morus, Krzysztof Zakrzewski

PAN OD RYSUNKÓW:
Jacek Ziemiński

FOTOEDYCJA:
Tomasz Kniolek (szef), Marcin Kapica,
Bogdan Krężel (fotograf), Urszula Matusik, Olga Piłśniak,
Marek Szczepański

KOREKTA:
Lucyna Dyczkowska (szef), Tatjana Hardej,
Dariusz Janiszewski

ARCHIWUM:
Wanda Lacrampe (szef), Dominika Bok

PRZYGOTOWALNIA:
Edipresse Polska – Zbigniew Szymański (dyrektor)

REDAKTOR TECHNICZNY:
Alan Jawor

SEKRETARIAT: Iwona Chmielewska

EDIPRESSE
POLSKA

WYDAWCA:
EDIPRESSE POLSKA S.A.
UL. WIEJSKA 19, 00-480 WARSZAWA,
TEL. (0-PREFIKS-22) 584 22 00,
FAKS (0-PREFIKS-22) 584 22 01

PREZES WYDAWNICTWA:
Zbigniew Napierala

WICEPREZES-DYREKTOR ZARZĄDZAJĄCY:
Ewa Redel

DYREKTOR FINANSÓW:
Paweł Satkowski

DYREKTOR MARKETINGU:
Izabela Bochenek

DYREKTOR DS. ROZWOJU
I KONTAKTÓW MIĘDZYNARODOWYCH:
Agnieszka Smit

PUBLIC RELATIONS:
Marcin Fedisz

DYREKTOR TYGODNIKA „PRZEKROJ”:
Iwona Zabielska-Stadnik

DZIAŁ DYSTRYBUCJI I PRODUKCJI:
Grzegorz Barej – dyrektor

DZIAŁ PROMOCJI:
Adriana Ciczak, Magda Ojędzka
KONKURSY@PRZEKROJ.PL

BIURO REKLAMY:
Ewa Kozłowska – dyrektor,
Anna Orłowska – zastępca dyrektora,
Artur Dudek, Jagna Federowicz,
Grażyna Janiak, Małgorzata Skorupa
ul. Wiejska 19, 00-480 Warszawa
tel. (0-prefiks-22) 5842-295, -297, -311, -584, -594
faks (0-prefiks-22) 584 22 92

Druk:
WINKOWSKI SP. Z O.O. – RADZYMIŃ
PAPIER: OKŁADKA – GALERIE FINE 90 GSM,
PRODUCENT – M-REAL
ŚRODEK – GALERIE BRITE 60 G;
PRODUCENT – M-REAL

PRENUMERATA: U WYDAWCY
Izabela Mroczek, Agnieszka Bogdańska
TEL. (0-PREFIKS-22) 584 22 29 LUB 584 22 30
FAKS (0-PREFIKS-22) 584 22 32
PRENUMERATA@PRZEKROJ.PL
PRENUMERATA.KONKURSY@EDIPRESSE.PL

PRZEZ POCZTĘ
PRZEDPŁATY PRZYJMUJĄ URZĘDY POCZTOWE
NA TERENIE CAŁEGO KRAJU

PRZEZ RUCH SA
INFORMACJA TEL. (0-PREFIKS-22) 532 87 31,
FAKS (0-PREFIKS-22) 532 87 32

NA CAŁYM ŚWIECIE W INTERNECIE
WWW.EXPORTIM.COM
FAKS/TEL. +46-8-6639963
ARTYKUŁÓW NIEZAMÓWIONICH NIE WZWRACAMY.
REDAKCJA ZASTRZEGA SOBIE PRAWO DO ZMIAN
I SKRÓTÓW W NADESŁANYCH ARTYKUŁACH I LISTACH.



„Przekrój” wydaje polecenia kulturalne

DWOJĄ SIĘ POD TROJĄ

„Troja” Wolfganga Petersena może uczynić gwiazdą z aktorów spoza Hollywood, którzy dopiero zaczynają kariery. I tak piękną Helenę zagrała była modelka, Niemka Diane Krueger, Parysa – Brytyjczyk Orlando Bloom, Hektora – Eric Bana, Australijczyk (znany z „Hulka” Lee). – W tak wielkiej produkcji aktor jest najmniej ważny – mówi „Przekrojowi” Bana. – W niskobudżetowych filmach to na aktorach skupia się cała uwaga. Tu masz tylko wyjść i sprawnie wykonać swoją część zadania. Drobnie, ale szczególne zadanie przypadło Rose Byrne (kolejna Australijka) – zagrała Bryzeidę, niewolnicę i kochankę Achillesa. – Jak to jest całować się z Bradem Pittem? Najpierw strasznie się wstydziłam – mówi „Przekrojowi”. – Ale w końcu było bardzo przyjemnie! Recenzja filmu i rozmowa z reżyserem – na s. 78.

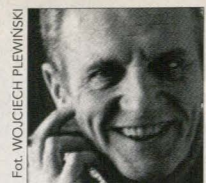
(MASA)

Troja



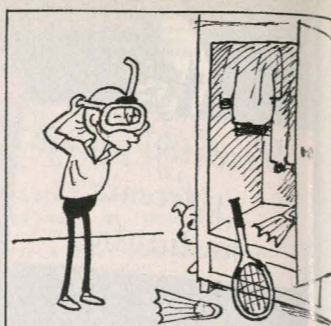
© MAREK RACZKOWSKI

PAN STANISŁAW i PROF. FILUTEK W KRÓLIKARNI

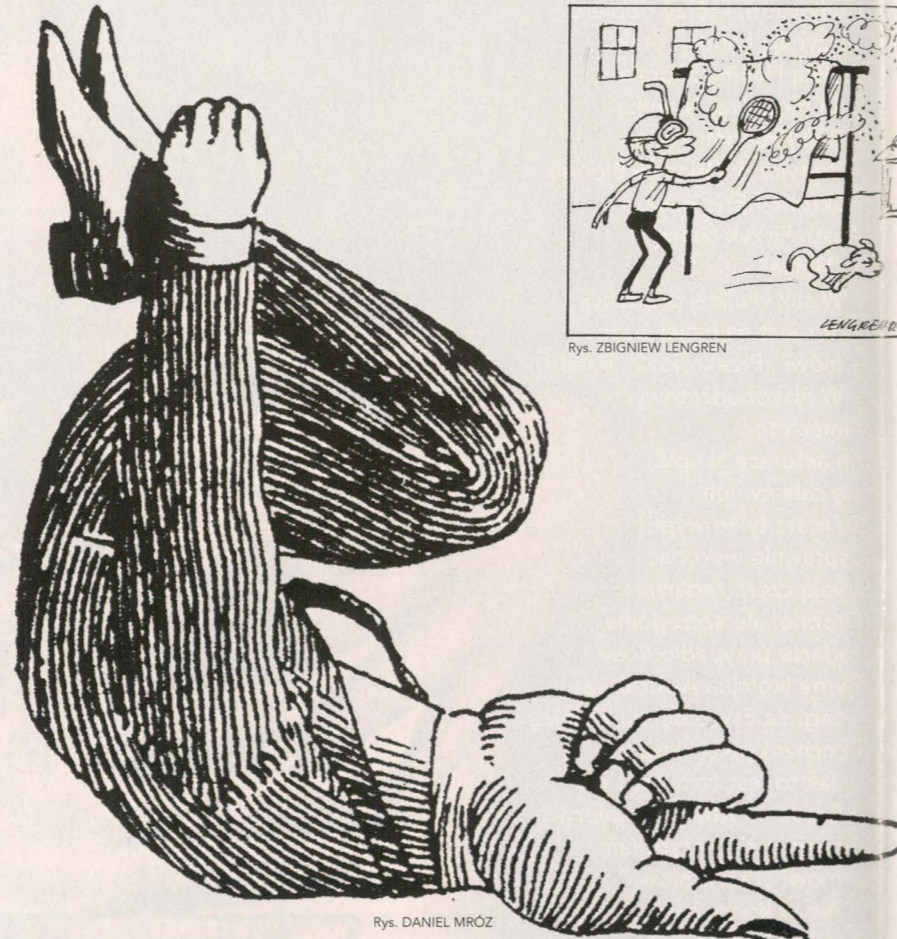


Fot. WOJCIECH FLEWINSKI
ZBIGNIEW LENGREN (1919–2003)

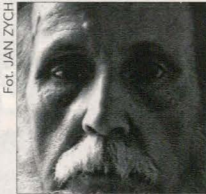
W Toruniu niebawem stanie pomnik profesora Filutka i jego psa Filusia. Możliwe, że na samym rynku, nieopodal Kopernika. Dlaczego w Toruniu? Bo to tu urodził się Zbigniew Lengren, twórca najdłużej ukazującego się komiksu w Europie. Z Toruniem i Kopernikiem łączy Lengrena jeszcze coś. Tak jak Polacy i Niemcy nie mogą się dogadać, czym krakaniem był wielki astronom, tak warszawiacy i krakuski wydzierają sobie Lengrena. On sam po wojnie zamieszkał w Warszawie, ale trudno sobie wyobrazić, by to w stolicy mieszkał profesor Filutek. Staroświecki elegant, który przez 55 lat zabawił czytelników „Przekroju”, to ucieleśnienie Krakowa. Dziś, kiedy postacie Lengrena i Filutka niemal całkowicie się zrosły, mało kto pamięta, że rysownik był także satyrykiem i literatem. Pisywał skecze, fraszki, poezje. Nawet reportaże. Zdarzało mu się wystąpić na scenie.



Rys. ZBIGNIEW LENGREN



Rys. DANIEL MRÓZ



Fot. JAN ZICH
DANIEL MRÓZ (1917–1992)

Surrealista i oryginał, bohater niezliczonych anegdot. Do „Przekroju” trafił w 1951 roku, tuż po studiach. Absurdalny humor i misterna kreska zupełnie nie pasowały do socrealizmu i na całe dziesięciolecie nadaty „Przekrojowi” szczególnie, trochę odrealniony charakter. Oprócz ilustracji i okładek projektował liczne drobne winiетки w stylu „surrealistycznego retro”. Do dziś zachowała się jego „tapka” wskazująca, że artykuł ma swój dalszy ciąg na następnej stronie. Wieloletni redaktor naczelny „Przekroju” Mieczysław Czuma nazwał Mróz sumieniem artystycznym tygodnika. Dla nas jest nim nadal.

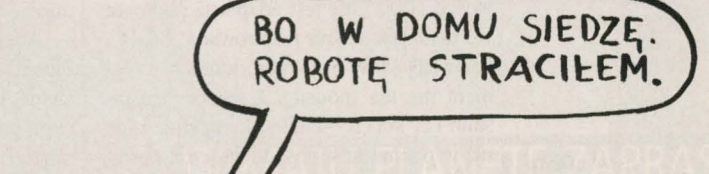
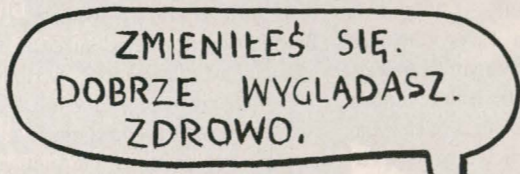


Fot. BOGDAN KRZYZEL
MAREK RACZKOWSKI (ur. 1959)

Naczelny pesymista „Przekroju”. Jego depresyjne rysunki co tydzień sieją defetyzm wśród tysięcy Polaków, którzy bez Raczkowskiego żyć nie mogą. „Im smutniej, tym lepiej się wymyśla karty. Im bardziej ponuro, tym lepiej się rysuje” – wyznał niedawno. Raczkowski jest ojcem Stanisława z Łodzi, bohatera na miarę naszych czasów. Ciężki los Stanisława i kraju, w którym żyje, poruszył w ubiegłym roku pewne wpływowym piórem. Uradziło ono, by Raczkowskiego obdarować Nagrodą Specjalną Miesięcznika „Press” w kategorii Publicystyka. Zapewne liczone, że Raczkowski z wdzięczności ulży trochę bohaterom swoich rysunków. A on nic. Na skłonność do czarnowidztwa bierze się zapewne z tego, że Raczkowski jest nocnym markiem. Wszystko, co robi, robi przed świtem. W dzień nie robi nic.



Rys. MAREK RACZKOWSKI



Fot. BOGDAN KRZYZEL
WILHELM SASNAL (ur. 1972)

Osobisty zajadły wróg George’a W. Busha. Gdyby Bush był w połowie tak dobrym prezydentem, jak Sasnal jest artystą, wszystkim na świecie żyłoby się lepiej. Poza zwalczaniem Busha na łamach „Przekroju” Sasnal realizuje coraz bardziej niezwykłe projekty artystyczne. Nadal maluje, ale jego obrazy straciły już swoją figlarną lekkość, którą charakteryzowały się kilka lat temu, kiedy wraz z Marcinem Maciejewskim i Rafałem Bujnowskim debiutowali pod szyldem Grupy „Ładnie”. Dziś Sasnal, przykładowy mąż i ojciec, przejmując się światem. Ale jest w tym jakaś delikatność, która sprawia, że jest artystą wyjątkowym. Na tej wyjątkowości poznał się świat sztuki. Jego wystawy krążą po najlepszych galeriach, a w ubiegłym roku w Niemczech ukazała się nawet książka o Wilhelmie.



Fot. BOGDAN KRZYZEL
MARCIN MACIEJEWSKI (ur. 1974)

Słynny malarz. Znany również z tego, że niewiele mówi. Może dlatego, że jako słynny malarz wszystko, co ma do powiedzenia, przelewa na płótno. Niestety, Maciejewski jako osoba małowerna nie odpowiedział na to pytanie. Sława Maciejewskiego jest międzynarodowa. W styczniu miał wystawę w Los Angeles – wszystkie obrazy sprzedały się jeszcze przed wernisażem. Kupowali prywatni kolekcjonerzy i prestiżowe muzea. Marcin miał trochę kłopotów z dotarciem do L.A., bo w konsulacie amerykańskim w Krakowie nikt nie wiedział, że mają do czynienia ze słynnym malarzem. W Polsce Maciejewski podbił wszystko, co było do podbicia, więc już więcej nie podbija, tylko maluje obrazy. Jego motto: „Lubię sobie malować”. Kiedyś wyduśił z siebie, że tak ogólnie, to „na sztukę się nie napata”. Zadebiutował w 2000 roku, jeszcze jako student krakowskiej ASP. Współtworzył wraz z Wilhelmem Sasnałem i Rafałem Bujnowskim Grupę „Ładnie”, która nieźle namieszła w polskiej sztuce.



Rys. MARCIN MACIEJEWSKI

NIE BYŁEM PIJANY. DLACZEGO WIĘC ZABRALI MNIE NA IZBĘ WYTRZEŻWIENIA? NIE WIEM.

Wystawa „Rysownicy „Przekroju”... O, rety! Co tu pisać? Po prostu zapraszamy

SCENOGRAFIA JACEK ZIEMIŃSKI I LECH BIAŁOŃSKI, sponsorem wystawy jest Drukarnia Winkowski, patronem medialnym – Program Trzeci Polskiego Radia
MARCEL ANDINO VELEZ
Rysownicy „Przekroju”, Warszawa, Muzeum im. Xawerego Dunikowskiego w Królikarni, od 11 maja



arcydzielo ●●●●●●●●
 świetne ●●●●●●●●
 dobre ●●●●●●●●
 przeciętne ●●●●●●●●
 słabe ●●●●●●●●
 dno ●●●●●●●●

Koń jaki jest, każdy widzi – mówi popularne powiedzonko. Ale koń trojański z filmu Petersena swoim wyglądem zaskoczył wszystkich

HOLLYWOOD UDAJE GREKA

●●●○○○
 Tak, „Troja” jest wielkim filmem – co nie znaczy, że jest wielkim dziełem

Najbardziej szalony projekt od czasów „Titanica” – mówiono o „Troji” na długo przed premierą. Ale film Wolfganga Petersena jest „naj” jeszcze z kilku powodów – żeby go nakręcić, stworzono największy plan w historii kina, wszystko wskazuje też na to, że była to jedna z najdroższych produkcji (oficjalnie mówi się o 180 milionach dolarów, ale niektóre źródła podają, że budżet filmu wyniósł aż ćwierć miliarda!). No i przede wszystkim „Troja” powstała na podstawie najsłynniejszego z poematów – „Iliady” Homera.

Żeby jednak nie było żadnych wątpliwości: „Troja” nie jest adaptacją poematu Homera, jest jedynie inspirowana „Iliadą”. Pojawiają się w niej wątki, których u Homera nie ma (podstęp z koniem trojańskim czy śmierć Achillesa), zupełnie inne niż w poemacie są losy niektórych postaci, a z obawy przed nadmiarem efektów specjalnych scenarzysta David Benioff zrezygnował z fundamentalnych dla poematu relacji bosko-ludzkich – bogów w „Troji”

nie ma w ogóle! Razem z nimi zniknął wątek przeznaczenia i fatalizmu ludzkiego losu. Co więc zostało?

Zrealizowana z niebywałym rozmachem, przetykana efektownymi scenami pojedynków i bitew patetyczna historia o kilku ambitnych, skonfliktowanych mężczyznach. W „Troji” dużo się mówi o pasji i namiętnościach – i trzeba bohaterom wierzyć na słowo, bo mimo płomiennych deklaracji padających co rusz z ich ust to film po prostu zimny. Zbyt dużo widowiskowych scen, za dużo bohaterów i za mało czasu, by ich poznać czy zrozumieć – oto problem „Troji”.

Dlatego u Petersena Parys (Orlando Bloom) jest tylko kapryśnym chłopczykiem, Achilles (Brad Pitt) lekko znużonym, nonszalanckim idolem żołnierskiego tłumu (zadziwiająca paralela z sytuacją Pitta!), zaś Hektor po szkolnemu porządnym i szlachetnym wojownikiem. Dlatego jeśli jest tak, jak mówi Petersen (patrz obok), że oto kończą się czasy efektownych wido-

wisk, a nadchodzi epoka filmów z wyrazistymi bohaterami, „Troja” może być jedną z pierwszych ofiar tego trendu.

Ale najważniejsza bitwa dopiero przed „Troją” – bitwa o widzów. W USA film wchodzi tydzień po „Van Helsingu” i tydzień przed „Shrekiem 2”. Zresztą to lato obfitować będzie jeszcze w inne kinowe hity („Spider-Man 2”, „The Day After Tomorrow”, kolejny „Harry Potter”), które mogą łatwo odwrócić uwagę widzów od „Troji”. Tymczasem tak kosztowna produkcja potrzebuje długotrwałego zainteresowania, żeby zacząć zarabiać. I Petersen, i szefowie produkcji Warnera, i nawet Brad Pitt wiedzą, że od sukcesu „Troji” zależy ich „być albo nie być” w Hollywood.

Za wcześnie więc jeszcze mówić, czy Petersen wyszedł z konfrontacji z „Iliadą” z tarczą, czy na tarczy. On sam się pociesza: – Nawet jeśli ludzie nie pójdą do kina na Homera, na pewno pójdą na Pitta!

MAŁGORZATA SADOWSKA



W co ja się wpakowałem! Przecież to czyste szaleństwo! – mówi o „Troji” Wolfgang Petersen

MAŁGORZATA SADOWSKA: Czy myślał pan o innych niż Brad Pitt kandydatach do roli Achillesa?

WOLFGANG PETERSEN: Nigdy! Brad ma niesamowitą intuicję, charyzmę. Poza tym Achilles był wspaniałym, pięknym mężczyzną i także z tych względów Pitt pasował do roli. Udział w „Troji” kosztował go wiele wyrzeczeń – musiał rzucić palenie, przez kilka miesięcy stosował specjalną dietę i intensywnie trenował. Musiał pięknie wyrzeźbić konkretne partie mięśni.

Dlaczego uznał pan, że warto ożywić uznany od dawna za martwy gatunek „miecza i sandałów”?

– Żyjemy w czasach, w których nie ma wielkich osobowości. Na przełomie lat 60. i 70., kiedy dorastałem, było inaczej: podziwialiśmy Rolling

WRACAJĄ BOHATEROWIE

Stonesów, Johna Lennona, wzorem dla nas, młodych Niemców, był – tak, tak! – Willy Brandt. Z kina bohaterowie zniknęli w momencie, gdy Lucas i Spielberg zaczęli kręcić filmy, w których najważniejsze były efekty specjalne, wtedy kino poszło w nowym kierunku. Ale dziś kończy się fascynacja efektami i znów najważniejsze staje się opowiadanie wspaniałych historii o wspaniałych ludziach.

Co pan czuł wieczorem przed pierwszym dniem zdjęciowym?

– Siedziałem w małym londyńskim pubie i byłem niesamowicie podniecony, czułem – jak zawsze przed filmem – ściskanie w żołądku. Wspaniale pomaga na to Guinness... A drugi jeszcze bardziej... Tamtej nocy spałem może cztery godziny. Kiedy otworzyłem oczy, pomyślałem: „To dziś zaczynam tę niesamowitą podróż”. A po chwili: „Jezu! W co ja się wpakowałem, przecież to czyste szaleństwo!”

Nigdy nie chciał pan zrezygnować?
 – Miałem jeden jedyny moment wahania – kiedy zaproponowano mi

kręcenie filmu „Superman vs Batman”. Uwielbiam Supermana i zdecydowałem, że wyreżyseruję tamtą historię. Wtedy Warner powierzył robienie „Troji” Chrisowi Nolanowi, temu od „Memento”. Ale namyśliłem się raz jeszcze i wybrałem „Troję”.

Czy film o mitycznej wojnie miał być komentarzem do tej prawdziwej, w Iraku?

– Kiedy rozpoczęła się operacja w Iraku, mieliśmy już gotowy scenariusz i nie zmieniliśmy w nim ani linijki. Zresztą tematem poematu Homera nie jest wojna – to opowieść o tym, do czego mogą doprowadzić żądza władzy, sławy, pożądanie i miłość. Zdaję sobie sprawę, że oglądając dziś „Troję”, ludzie będą myśleć o Iraku, a bohaterowie filmu – choćby Agamemnon, który pragnie za wszelką cenę rządzić całym światem – będą się kojarzyć z konkretnymi postaciami.

ROZMAWIAŁA
 MAŁGORZATA SADOWSKA

PLANETE



**PRZECZYWISTOŚĆ
 DOSTARCZA WIĘCEJ
 WRAŻEŃ NIŻ FIKCJA**

17-21 maja

seria „Klub grubasów” – 19.45

17 maja

„Napakowane chłopaki” – 20.45

„Żelazne muskuły” – 21.45

18 maja

„Współczesna Barbie” – 20.45

„Skalpele Hollywoodu” – 21.15

19 maja

„Być pięknym w Miami” – 20.45

„Fitness club” – 21.40

20 maja

„Operacje plastyczne nastolatek” – 20.45

„Cena piękna” – 21.40



**W MAJU PLANETE ZAPRASZA
 NA WIECZORY TEMATYCZNE**

„OBSESJA CIAŁA”

Kanał PLANETE należy do grupy MultiThématiques S.A. Dostępny w sieciach kablowych i na platformie cyfrowej CYFRA+



www.MINI.com.pl



JESTEŚ PORUSZONY?



DO BIEGU, GOTOWI, START!

SA PRAWDZIWI CYGANIE

Najlepszy album w karierze Gypsy Kings

Kiedyś dzieci straszono Cyganami albo ich przebojami: „Bamboleo”, „Djobi Djoba”. Na szczęście przez ostatnie 15 lat z ich muzyką oswajali nas filmowcy: Tony Gatlif i Emir Kusturica. Tyle też czasu potrzebowała kapela Gypsy Kings na nagranie w końcu płyty uzasadniającej tytuł „królów muzyki cygańskiej”. Na „The Roots” muzycy z wielkich rodów Reyes i Baliardos powrócili do korzeni flamenco. Odrzucili popowy blight, pozbyli się elektrycznego instrumentarium i w XVII-wiecznej willi w południowej Francji nagrali szczerzy, pełen pasji akustyczny album. Z pomocą muzyków ze sceny nowojorskiej i odwołując się do legendy cygańskiego jazzmana Django Reinhardta, Gypsy Kings w końcu dojrzeli.

JACEK SKOLIMOWSKI



Marcin Cichy (z lewej) i Igor Pudło latami pracowali na debiut, ale za to wydają go od razu w Wielkiej Brytanii

WYCIĘLI, WKLEILI, ZWYCIĘŻYLI

Gdy Edyta Gómiak otarła się o dziewiątą dziesiątkę niemieckiej listy przebojów, mówiono, że robi międzynarodową karierę. Podobnie, gdy Myslovitz poprzedzali na Zachodzie koncerty zapomnianych Simple Minds. Dla duetu Skalpel „międzynarodowa kariera” to na szczęście coś więcej. Nie licząc na przychyłność rodzimej fonografii, swój debiut od razu wydają nakładem londyńskiej wytwórni Ninja Tune, uznanej firmy na polu wszelkiej maści nowych brzmień.

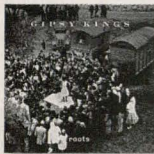


SKALPEL „SKALPEL”, Ninja Tune

Nagrań Skalpela nie usłyszycie w polskim radiu. Co innego w BBC Radio 1, które produkcje Igora Pudła i Marcina Cichego gra od dawna, a ostatnio zaprosiło ich na wywiad. Zainteresowanie świata muzyką naszego duetu nie powinno dziwić. Polski jazz Komedy, Namysłowski, Novi Singers czy Stańki od zawsze cieszył się uznaniem zachodniej krytyki. Z ich dorobku korzysta Skalpel, tworząc jazz wirtualny: po elektronicznym liftingu, ale wierny tradycji. Choć hiphopową techniką „wytnij i wklej” został stworzony jedynie za pomocą samplera, brzmi zaskakująco żywo i naturalnie. Interesujący i dla ortodoksa, i dla sympatyka elektronicznych hybryd. Ten pierwszy wychwyti tu nuty z nagrań dawnych mistrzów,

BARTEK WINCZEWSKI

www.MINI.com.pl



GYPSY KINGS „THE ROOTS”, Sony

WOJNA O SERCA

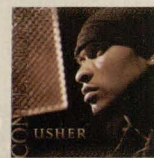
Justin Timberlake powinien się mieć na baczności!



Fot. BMG

Ledwo Timberlake zniknął ze światowych list przebojów, a po swoje wrócił jego najgroźniejszy konkurent w batalii o dziewczęce serca. I to w jakim stylu! Usher, młody czarnoskóry gwiazdor soulu, potrzebował zaledwie tygodnia, by „Confessions” znalazło się na szczycie zestawienia najlepiej sprzedających się albumów zarówno za Atlantykiem, jak i na Wyspach Brytyjskich. To jednak norma – ten 25-letni wokalista, tancerz i aktor w ciągu 10-letniej kariery sprzedał już ponad 20 milionów płyt. Jest przystojny, utalentowany, a do kompozytorów i producentów również ma szczęście, bo przyszło mu pracować ze wszystkimi najlepszymi w soulowej branży. Sprawdzone metody wykorzystał i tym razem. Jest przebojowo i namiętnie, choć bez rewolucji.

BARTEK WINCZEWSKI



USHER „CONFESSIONS”, Arista

ODNOWIONY GARAŻ

Nadzieje polskiej alternatywy grają muzykę ściany wschodniej”



PUSTKI „8 OHM”, Polskie Radio

Trzy lata temu byli prawdziwą sensacją. Ich muzykę graną na archaicznych instrumentach w szopie nazywanej Pustki w podwarszawskim Ostrówku porównywano z The Stooges, MC 5 czy Velvet Underground. Odwołując się do korzeni garażowego grania, muzycy Pustek nagrali młodzieżową gitarową płytę z chwytliwymi piosenkami i brzmieniem retro. Potem odnowili salę prób, kupili porządne instrumenty, wykonali kilka rozsad personalnych, a przede wszystkim dojrzeli.

Na drugim albumie „8 Ohm” wraca już zupełnie inny zespół. Wyrósł z luźnej improwizacji i stawia na kompozycje. Poszerzył in-



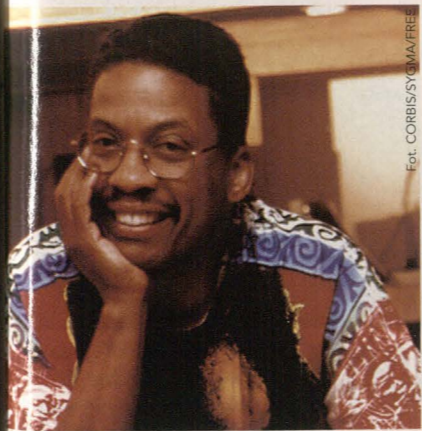
Fot. KUBA DĄBROWSKI/CITY MAGAZINE

strumentarium o skrzypce, saksofon i wibrafon. Starego ducha Pustek słychać jednak w piosenkowej formule i oryginalnie polskim (cokolwiek by to znaczyło) brzmieniu. Muzycy wymyślili na to etykietkę: „muzyka ściany wschodniej” – i taką muzykę rzeczywiście powinno się u nas grać!

JACEK SKOLIMOWSKI

KAWIOR I HAMBURGER

Muzyka Herbiego Hancocka żyje dialogiem tradycji z nowoczesnością. Tym razem usłyszmy jego tradycyjny projekt



Fot. CORBIS/SYGMA/PRIE

HERBIE HANCOCK & ROMA SYMPHONY ORCHESTRA POD DYR. ROBERTA SADINA, WARSZAWA, FILHARMONIA NARODOWA, 20.05 ZABRZE, DOM MUZYKI I TAŃCA, 21.05

Wsuahili – Mwandishi. Znany też jako Watermelon Man, choć lepiej jako Herbie Hancock. Pianista i czołowy twórca większości muzycznych stylów pojawiających się w ciągu ostatnich 40 lat. Hancock wyśmiewa budowanie muzycznych hierarchii, podziela na sztukę z wyższych i niższych półek. Komponuje reklamowe dzingle, ścieżki filmowe i grywa na jazzowo chorały Bacha w filharmoniach. Tylko czasem zabrzmi snobissimo, gdy porównując pop z jazzem, powie coś o jednokowej, historycznej roli hamburgera i kawioru. Ale zaraz przypomni: „Miles słuchał wszystkiego”. Wie, co mówi, bo w latach 60. należał do zespołu Milesa Davisa uważanego przez niektórych za jazzową grupę marzeń.

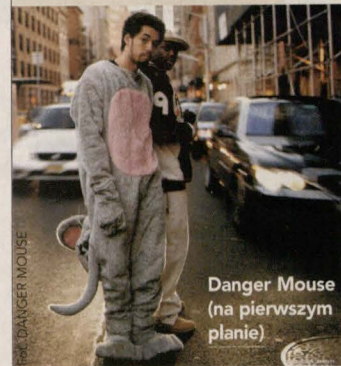
Czystość w jazzie, paradoksalnie, polega na jego otwartości na inne gatunki, uważa Hancock. Dwie ścieżki jego kariery – akustyczna i elektro-

niczna – dobrze to ilustrują. W latach 70. nagral płytę „Headhunters”, której funkowy groove zdobył uznanie szerokiej publiczności i szczyty list przebojów. Niemal równocześnie stworzył VSOP, nostalgiczną formację nawiązującą składem i stylistyką do wspomnianego wyżej Davisowskiego kwintetu. Lata 80. przyniosły choćby jego elektryzującą płytę „Future Shock” upowszechniającą hiphopowe skracze. Ale niedawny „Directions In Music” – nagrany na 75-lecie urodzin Davisa i Coltrane’a – to przecież dialog z przeszłością. Do tego obsypany nagrodami „Gershwin’s World”, z którym artysta przyjeżdża do Polski. W Zabrzu i Warszawie nie zaśpiewa co prawda ani Kathleen Battle, ani Stevie Wonder, nie zagrają Chick Corea i Wayne Shorter, którzy uczynili tę płytę tak różnorodną, ale gwiazda Hancocka wystarczy.

MAJA MOZGA-GÓRECKA

MYSI SKANDAL

26-letni Brian Burton nagrywający jako Danger Mouse (od ulubionej myszy z kreskówki) zarazem zdobył muzyczną sławę i wywołał skandal płytą „Grey Album”, na której zmiksował dwie legendy: „White Album” (1968) The Beatles z „Black Album” (2003) Jaya-Z. Najpierw sięgnął po jedną z ulubionych płyt Beatlesów z dzieci-



Danger Mouse (na pierwszym planie)

stwa. Dwa tygodnie nie wychodził z domku pod Los Angeles. Z elementów „Białego albumu” (uderzenia w perkusję, akordy gitarowe) składał podkłady pod wokale „a capella” Jaya-Z. Prawnicy z EMI zabronili oficjalnej dystrybucji płyty, ale Danger Mouse wypalał „Grey Album” znajomym. Nagrania trafiły do Internetu i... stały się symbolem walki o wolność artystyczną. 24 lutego internauci ogłosili akcję „Grey Tuesday”. Na 170 stronach zamieścili utwory z zakazanego albumu. Ściągnęło je ponad sto tysięcy osób. Sztuka „mash-up”, „mieszania” dwóch różnych utworów, staje się coraz modniejsza. David Bowie ogłosił konkurs na „mash-up” swoich kompozycji. A Danger Mouse właśnie skończył miks „Black Album” Jaya-Z i „Black Album” Metalliki. Zabawy w „kotka i myszkę” ciąg dalszy! (JAS)

BARTEK CHACIŃSKI

SMUTNA SKAZA

Duet Pezet-Noon to hip-hop na bardzo poważnie



PEZET-NOON „MUZYKA POWAŻNA”, Embargo Nagrania

Pierwszą płytę nazwali „Muzyka klasyczna” – i rzeczywiście, przeszła do klasyki polskiego hip-hopu jako jeden z najlepszych albumów. Poszarpane dźwięki smyczków wycięte najpewniej z jakichś przeraźliwie starych polskich płyt, charakterystyczne przybrudzone partie rytmiczne Noona, przez wiele osób uznawanego za producenta numer jeden w polskim hip-hopie.

Płyta druga nazywa się „Muzyka poważna” i tym, co ją odróżnia od debiutu, istotnie jest powaga. Znikły rozrywkowe teksty Pezeta typu „Ej, señorita, sprawdź nasz nakład na kompak-

tach / Lecisz na V.I.P.-a, jesteś mokra jak Bonaqua”. Flagowe dla tej – obok wyrazów pokoleńowego smutku, peerelowskiej szkazy i alkoholowej tradycji – są słowa „(...) dziś hajs was niszczy / Bo pieniądz i czas to najwięksi terroryści”. Znow kopalnią odkryć będą podkłady Noona, jeszcze bardziej pocięte rytmicznie i częściej grane niż samplowane. Co prawda zrobiło się melancholijnie i ponuro jak w wielu polskich produkcjach, ale to na tę należy w pierwszej kolejności zwrócić uwagę.

Turning Sounds 2 – spotkania, koncerty, warsztaty – wystąpią między innymi: Mira Calix – 13.05 Warszawa, Jazzgot,

Patrick Pulsinger – 14.05 Warszawa, Piekarnia, Hannes Löscher/Burkhard Stangl – 15.05 Warszawa, Jazzgot



Fot. SCANPIX/BULLS (3)

KSIĘGA ZŁUDZEŃ ŁUDZI

•••••
W „Księdze złudzeń” Paul Auster zwodzi – wydaje nam się, że zgłębiamy wielką mądrość, ale to tylko wrażenie



PAUL AUSTER
„KSIĘGA ZŁUDZEŃ”,
PRZEL. ROBERT SUDÓŁ,
Noir sur Blanc,
Warszawa 2004

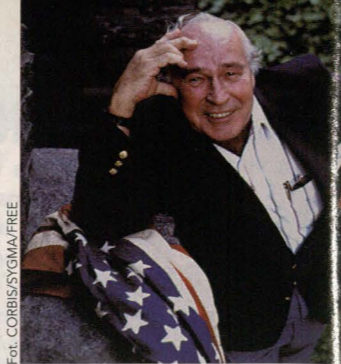
Tej nocy nad Nowym Jorkiem szalała burza. Pewien niedoceniany poeta siedział w teatrze i złościł się, że sztuka jest tak nudna. Nagle poczuł przymus pisania. W domu zasiadł do maszyny. Rano dowiedział się, że właśnie wtedy, kiedy rodziło się jego pierwsze opowiadanie, umarł mu ojciec. To historia jak z książki Paula Austera: śmierć, tajemniczy zbieg okoliczności. I rzeczywiście, to historia z życia Austera, którą opisuje w najnowszej książce „Oracle Night”. U nas ukazała się właśnie jego poprzednia powieść „Księga złudzeń”, w której również nie brakuje dziwnych i niespodziewanych zdarzeń. Auster znowu w świetnej formie – ogłosili krytycy. „Piękny, elegancki i mroczny mężczyzna, który pisze piękne, dobrze skrojone i mroczne historie” – dodawali złośliwi. Po kilku słabszych powieściach stworzył wreszcie coś na miarę słynnej „Trylogii nowojorskiej”. Wołę „Trylogię...”, ale „Księga złudzeń” ma najlepsze cechy stylu Austera. Jednocześnie pozostawia niepokój. Czytając ją, mamy wrażenie, że zgłębiamy niezwykłą mądrość. Dopiero po chwili czar pryska i okazuje się, że to była bardzo umiejętnie stworzona aura. Po przeczytaniu nie pozostaje nic oprócz kilku powszechnie znanych prawd.

Auster jest mistrzem pierwszych zdań. Jerzy Pilch kupił natychmiast książkę nieznanego sobie pisarza, kiedy przeczytał: „Wszystko zaczęło się od pomyłki telefonicznej”. „Księga złudzeń” również zaczyna się obiecująco: „Wszyscy myśleli, że nie żyje”. W ten sposób zostajemy wrzuceni w sam środek zagadki, jakby to był kryminał. Zwyczaj powieści Austera otwiera jakaś zagadkowa śmierć albo tajemnicze zniknięcie.

W „Księdze...” znikła Hector Mann, komik z lat 20. Po 60 latach niejaki David Zimmer przypadkiem zobaczył jego film. I uśmiechnął się. A był to pierwszy uśmiech od czasu, kiedy stracił żonę i synów. Pierwszy znak, że nie do końca stał się trupem. Zimmer postanawia napisać książkę o zapomnianym komiku, ożywić tę postać. Próbuje rozwikłać zagadkę Manna. Ale i on, jak wiele innych postaci u Austera, nie zdoła zgłębić czyjegoś życia. Jak w gabinecie luster: pojawia się droga, ale jest to tylko lustrzany tunel, zwielokrotnione odbicie.

Auster lubi gry aluzjami i cytatami. Jego powieści utkane są z cytatów z literatury europejskiej, co jak na pisarza amerykańskiego jest rzadkie. Nie przypadkiem nazwiska Zimmer i Mann można by złożyć w jedno. Obaj są martwi za życia – przeżyli utratę najbliższych. Czytając tę samą, znaczącą książkę – „Pamiętniki zza grobu” Chateaubrianda. Obaj odkrywają, że „świat jest złudzeniem, które trzeba odtwarzać każdego dnia na nowo”. Przypadek, ulubiony bohater Austera, zetknął ich na moment i podobnie odebrał im wszystko. Auster, tak jak w innych książkach, wyklada tutaj swoje credo: człowiek jest tylko zabawką w rękach Przypadku, dla innych i dla siebie pozostaje obcy. Przy czym, żeby zilustrować te prawdy, buduje skomplikowaną i mocno nieprawdopodobną intrygę. Jesteśmy w królestwie iluzji, uwodzącej i zwodniczej, nic dziwnego więc, że jej ulegamy. I wszystko byłoby dobrze, gdyby to była tylko gra literacka. Ale Auster sugeruje, że chodzi o coś więcej.

JUSTYNA SOBOLEWSKA

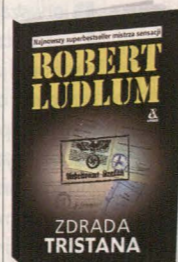


Fot. CORBIS/SYGMA/FREE

ACH, SZPIEGIEM BYĆ...

Fajnie jest być szpiegiem. Piękne kobiety, szybkie samochody. No, może samochody trochę wolniejsze, bo akcja powieści Ludluma toczy się głównie w czasie II wojny światowej. Każdy, kto chciałby spróbować tego fachu, znajdzie tu wiele praktycznych wskazówek. Jak zaprojektować mieszkanie, aby umieścić w nim kilka niewykrywalnych skrytek? Ludlum podpowiada, że najmodniejsze skrytki można umieścić w obudowie telefonu albo w pudle na cygara. Jeszcze cenniejsze są jego rady dla tych, którzy chcieliby się podjąć planowania szpiegowskich misji. Wskazówki dotyczą prowadzenia rozmowy z agentem. „Jeśli coś pójdzie nie tak – mówi szef siatki – będziemy musieli się ciebie wyprzeć”. W ten sposób zmotywowany oficer amerykańskiego wywiadu wybiera się do Moskwy, aby odwrócić losy wojny. Daje to Ludlumowi okazję do rozważań nad istotą totalitaryzmu i zniewolenia jednostki. A jednostki bywają w „Zdradzie Tristana” barwne. Pewnie nie wszyscy wiedzą, dlaczego w 1941 roku Hitler zaatakował ZSRR. Ludlum to ustalił: pewna baletnica zakochała się w amerykańskim przedsiębiorcy. I nie jest to największy idiotyzm, jaki znalazłem w „Zdradzie...”.

PIOTR NIEMCZYK



ROBERT LUDLUM „ZDRADA TRISTANA”,
PRZEL. JAN KRAŚKO,
Amber, Warszawa 2004

•••••
Odrażające typy z węgierskiej prowincji w przejmującej książce Krasznahorkaia

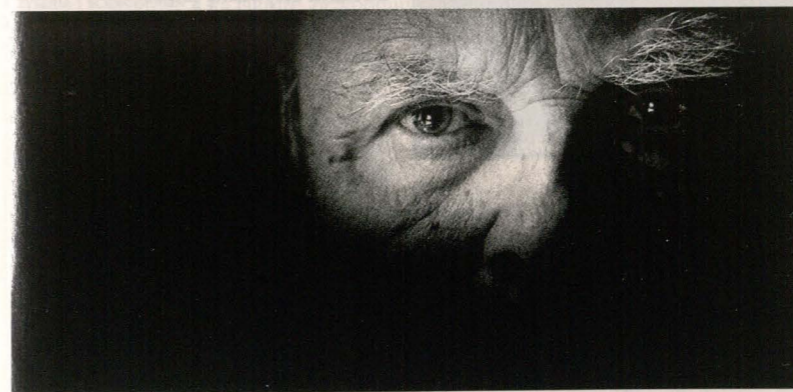


LÁSZLÓ KRASZNAHORKAI
„SZATAŃSKIE TANGO”,
PRZEL. ELŻBIETA SOBOLEWSKA,
W.A.B., Warszawa 2004

NA WĘGRZECH, CZYLI NIGDZIE

Znamy ich, bo widzieliśmy film dokumentalny Ewy Borzęckiej „Arizona” o ludziach z byłych PGR-ów. Węgrzy znają ich jeszcze lepiej. Gdy László Krasznahorkai opublikował „Szatańskie tango” – mieszkańcy kraju nad Balatonem zdębieli. A więc oni istnieją! Te pokraczne kreatury z głębokiej prowincji. Bohaterów polskiego filmu i węgierskiej książki łączy jedno. To debile. Jak ślepcy z obrazu Boscha czy pijacy Brueghla fascynują przeżartą kiłą fizjonomią.

Krasznahorkai sporo po Węgrzech podróżował i naoglądał się ludzkich typów. Tu mamy do czynienia ze specyficznym gatunkiem z dolnej półki. Aby jakkolwiek wejść w ich świat, należy zanurzyć się w odmętach schizofrenii i nawdychać oparów absurdu. To ciężka wyprawa. I nie dla wszystkich. Na szczęście – Krasznahorkai nie wszystkich zaprasza. Przez pierwsze 200 stron ściemnia i zwodzi. Akcja powoli zawiązuje się w miejscowej spelunie. To tu wegetują otumanieni palinką miejscowi żule. Tu też z marazmu



Fot. ANNA WŁOCH/AG

PSOTNIK W SPIŻARNI

•••••
Czesław Miłosz wyciąga ze spiżarni pamięci smakowite kąski

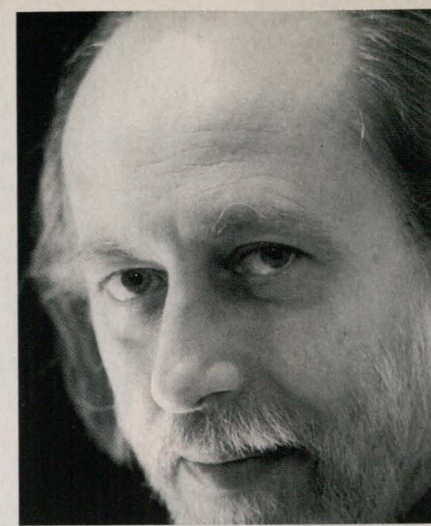


CZESŁAW MIŁOSZ
„SPIŻARNIA LITERACKA”,
Wydawnictwo Literackie,
Kraków 2004

Szalony starzec Miłosz jest coraz bardziej szalony. Życzyłbym każdemu choć odrobiny takiego szaleństwa nie tylko po osiągnięciu wieku Miłosza. Już mógłby dawno przestać i zająć się konsumpcją swojej pomnikowej wielkości. A on siedzi w fotelu i dyktuje sekretarce – bo, jak twierdzi, kiepsko już widzi i pisać nie może – teksty, na które nigdy by się nie zdobył w czasach, kiedy budował Gmach Literatury Czesława Miłosza. Sięga mianowicie w głąb swojej pamięci i z radosną dezynwolturą wydobywa przeróżne kwiatki, kamyki,

piórka i okruszki zalegające tam od dziesięcioleci. Najpierw, w założeniu cyklu drukowanego od dwóch lat w „Tygodniku Powszechnym”, miały to być komentarze do zapomnianych wierszy. Rychło zaczęły powstawać teksty na rozmaite tematy – często o biologii, filmie czy bzikach i nawykach pamięci historycznej. Te minieiki cechują się prostotą stylu i luzem narracyjnym bliższym gawędzie, gatunkowi równie dawno zapomnianemu, co taki choćby wierszyk:

*Co, ja, taka śliczna muszka,
Mamże iść za żółto brzuszka,*



Fot. SZILAGYI LENKE

próbuje wyciągnąć ich tajemniczy przybysz. Pojawia się trup nafaszerowany strychniną i obietnica lepszego życia. Susan Sontag, która obejrzała siedmiogodzinny film nakręcony na podstawie tej książki, była zachwycona. Powiedziała, że będzie szczęśliwa, oglądając go raz do roku. W takim razie zapraszamy do województwa pomorskiego, gdzie w byłych PGR-ach takimi „klimatami” pooddycha do woli, i to przez cały rok.

MICHAŁ WÓJCIK

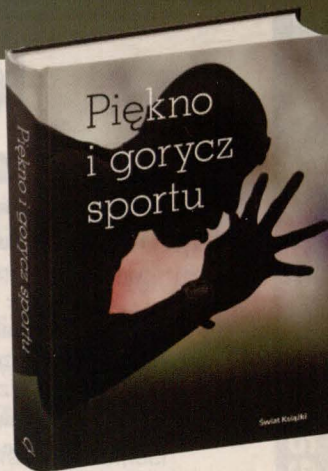
*Nigdy na to nie pozwolę,
Starą panną zostać wolę.*

Spiżarnia jako miejsce przechowywania dóbr też już chyba przeszła do lamusa i jeśli ktoś jeszcze cokolwiek tam przechowuje, to musi pamiętać czasy, kiedy konfitury robiło się w domu, a podjadanie ich przez dzieci było rytuałem. Miłosz odtwarza taką spiżarnię własnej pamięci, a że są w niej przetwory różnej proveniencji, nie dziwnym jest, że obok wiersza Mandelstama spotkamy taki choćby wierszyk jak wyżej. Do spiżarni zagląda się jawnie, ale i pokątnie, gdy przyjdzie chęć coś zlasować; Miłosz zachowuje się raz jak dobry szafarz, raz jak przekorny psotnik. I ma poczucie tej radosnej dwiistości, bo w jednym z felietoników wyznaje z całą otwartością: „Mógłbym na tę szczerść zdobyć się trochę wcześniej. Wolność! Teraz dopiero myślę, że mógłbym się wyśwobodzić i cała moja twórczość byłaby inna”.

Tym niezwykłym wyznaniem wolę skończyć, bo otwierają się takie otchłanie domysłów, że głowa boli.

TADEUSZ NYCZEK

Wszyscy
jesteśmy
Ateńczykami.
Świat Książki



od 6 maja
w księgarniach

Świat Książki

www.swiatksiazki.pl



Kutza postawił w „Śmierci komiwojażera” na interwencyjny wymiar opowieści. Czy to wystarczy, by ocalić starzejący się dramat Millera?

KURZ NA BÓLU

••••• Najnowszy spektakl Kazimierza Kutza jest tyleż ważny, co nieco staroświecki

„ŚMIERĆ KOMIWOJAŻERA” ARTHURA MILLERA, REŻ. KAZIMIERZ KUTZA, SCEN. ANDRZEJ DUDZIŃSKI, Teatr Narodowy w Warszawie

„Śmierć komiwojażera” Kutza jest demonstracyjnie niedzisiejsza. W sporze o kształt teatru, jaki przynika współczesną scenę, u jednych wywołuje wzruszenie ramion, u innych orgazm zachwytu. A przecież taka zachowawczość o niczym nie przesądza. Powodzenie spektaklu (wyprzedanego z góry na całe tygodnie) świadczy tylko o tym, że wciąż działa oferta w starym stylu: utwór dobrego pisarza, wielcy aktorzy, ceniony reżyser, aktualizująca interpretacja. I dobrze: obok eksperymentów musi być miejsce i na taki teatr, co nie zwalnia od obowiązku sprawdzenia, czy stare atrakcje nie straciły na wartości.

Miller nie napisał melodramatu

W liczącej ponad 50 lat sztuce Kutza dostrzegł procesy społeczne dzisiejszej Polski. Przede wszystkim mechanizm upokorzenia: uczciwy, starzejący się ko-

miwojażer (w dzisiejszym języku: mobilny agent handlowy) spostrzega, że jego rzetelne życie nie jest warte nawet uboższego spokoju na stare lata, ponieważ leci na bruk niczym niedopałek papierosa, bez cienia godności. A porządny 20-latek musi zapomnieć o godności, już gdy zaczyna wysadywanie kolejnych przedpokojów, oczekując na (nie)przyjęcie przez potencjalnych pracodawców. W naszym wczesnokapitalistycznym kraju, gdzie o takie upokorzenia otarł się – w rodzinie czy wśród przyjaciół – praktycznie każdy, rozpacz wyrzuczonego agenta, jego żony i synów zda się samograjem: wzrusza automatycznie.

Tyle że Arthur Miller nie napisał łzawego melodramatu. Komiwojażer Willy Loman jest, owszem, ofiarą systemu, w którym ludzkie uczucia tłamsi bezduszny interes. Ale jest także ofiarą własnego życia wśród mirażu przykrywają-

cych kompleksy i małostkowość. Wie to Janusz Gajos malujący na scenie kolejny portret ze swojej galerii małych wielkich ludzi. Jego Willy jest tchórzliwym i upierdliwym knypem z wielkimi ambicjami w głębie i małym krętactwem: na co dzień, ponoszącym klęskę przede wszystkim jako ojciec rodziny.

Ten rodzaj trzeźwo portretowanego bólu zawsze był ważny u Kutza. Tym razem jednak reżyser nie do końca pomógł aktorowi w wygraniu wszystkich możliwości tkwiących w roli. Niewiele wynika z intymnych dialogów Willega z nieżyjącym starszym bratem; ten rodzinny idol i wzór do naśladowania jest tu tylko irytująco schematyczną figurką bez wyrazu i charyzmy. W finale bohater wykonuje symboliczno-patetyczne gesty, sprzeczne z delikatnym dotąd rysunkiem postaci. Kutza najwyraźniej ciągnie „interwencyjny” wymiar opowieści; dobitna teza społeczna bierze górę nad obserwacją ludzkich duszyczek. Obraz całości splaszca się i podtrzuwa to, co u Millera najżywotniejsze.

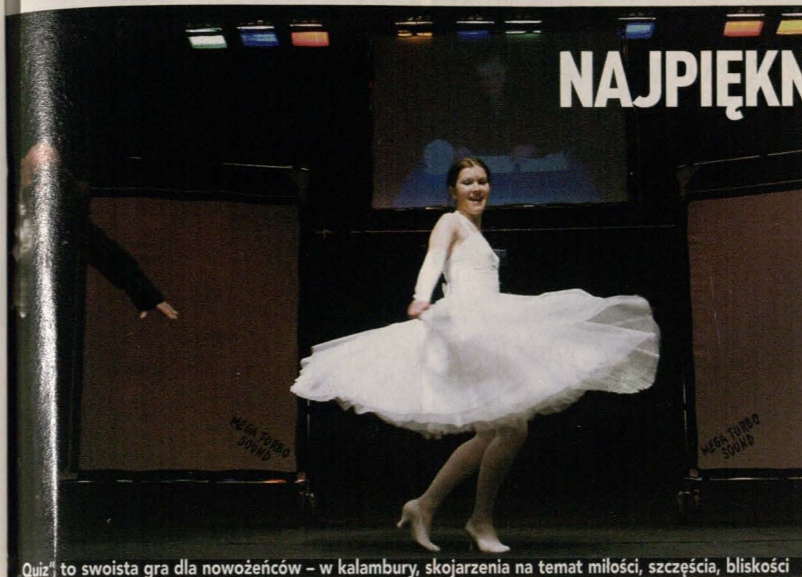
Sztuka myszką trąci

Bo nie jest prawdą (co naiwnie głoszą apologety), że „Śmierć komiwojażera” nie została dziabnięta zębem czasu. Sztuka myszką trąci w sposobie opowiadania, czy raczej dopowiadania, wszystkiego do końca. Tak się już dziś nie prowadzi narracji ani w kinie, ani w teatrze. Zapomnieliśmy o nocnych rozmowach, w których bohaterowie długo komunikują sobie wzajem myśli i uczucia. Tę staroświecką łopatologię Kutza nie tylko pozostawił, lecz także ją podbił dosłownością scenografii, narażając aktorów na jałową dreptaninę między salonikiem a sypialnią. Powstało coś rozdwojonego: przedstawienie z jednej strony dobrze trafiające w czas, celne w detalach ról Gajosa czy Wojciecha Malajkata (grającego syna bohatera) – równocześnie obsuwające się w poczciwe oczywistości, refleksje przewidywalne na całe minuty naprzód. Owszem, niegłupie. Cóż z tego, skoro pozostawiające wyobraźnię widza w bezruchu.

Największym obciążeniem spektaklu zdaje się brak zaufania do wyobraźni odbiorcy. I to powoduje pewną zapyziałość, tym bardziej drażniącą, że niewiele trzeba tu dmuchnąć, by cały ten kurz rozwiać jak dym.

JACEK SIERADZKI

NAJPIĘKNIEJSZE PYTANIE ŚWIATA



„Quiz” to swoista gra dla nowożeńców – w kalambury, skojarzenia na temat miłości, szczęścia, bliskości

Intymny spektakl wędrującego teatru rodzinnego pokazuje miłość mocniejszą niż śmierć

Najbardziej niezwykle przeżycia dopadają nas czasem zniekacka. Wędrowny Teatr Własny Stanisławiak, prowadzony przez małżeństwo Lidii i Grzegorza, przez lata działał na uboczu i zmagał się z biedą. Ich spektakle, inspirowane najczęściej poezją Krystyny Miłobędzkiej, miały osobliwą poetycką fakturę, przypominały dziecięcą grę, w której z najprostszych słów budujemy dom, świat, drugiego człowieka. Stanisławiakowie grali w przydomowych ogródkach w okolicach Chorzowa,

„Quiz” KRYSZYNY MIŁOBĘDZKIEJ, REŻYSERIA I SCENOGRAFIA GRZEGORZ STANISŁAWIAK, Teatr Własny Stanisławiak w Chorzowie

w hali Carrefoura w Krakowie, przy działkach pracowniczych w Jaśle... Nie przeszkadzało im, że spektakle oglądało najczęściej parę osób, że występowali na zimnie i w deszczu. Teatr był życiem dla dwojga, a kiedy życia we dwoje niedawno zabrakło, został tylko teatr.

Bohaterem „Quizu” jest para nowożeńców (Małgorzata Nartowska i Ryszard Pochroń). Tajemniczy showman (Grzegorz Stanisławiak) zaprasza ich do udziału w scenicznym teleturnieju. To gra w kalambury, skojarzenia na temat miłości, szczęścia. Stanisławiak gra kogoś w typie Forresta Gump lub Rain Mana, prostaczka, który posiadał najbardziej fundamentalną wiedzę.

W spektaklu, opatrzonym dedykacją: „Dla Lideczki, która odeszła”, śmierć przychodzi na jedną scenę. Oto mężczyzna ubiera kobietę w nowy kostium. Nowa spódnica, bluzka, sweterek. W kilka minut jego partnerka ma na sobie wszystkie bluzeczki świata. Wtedy on składa jej ręce jak umarłej. Delikatnie zrywa kolejne warstwy miłości, w którą została ubrana. Znikają za kulisami. Potem na scenie pojawia się Stanisławiak i zbiera porzucone na podłodze rzeczy do foliowego worka. Tym jednym gestem w niezwykle dyskretny sposób opowiada o tęsknocie za kimś najbliższym, zagłusza pustkę, jaka towarzyszy śmierci.

W jednym z ostatnich testów dla pary zakochanych pada najpiękniejsze pytanie świata: „Gdybym dał ci wszystkie słowa świata, to jakie zdanie byś z nich ułożyła?”. Grzegorz Stanisławiak swoje zdanie ułożył.

ŁUKASZ DREWNAK



Bez komentarza?

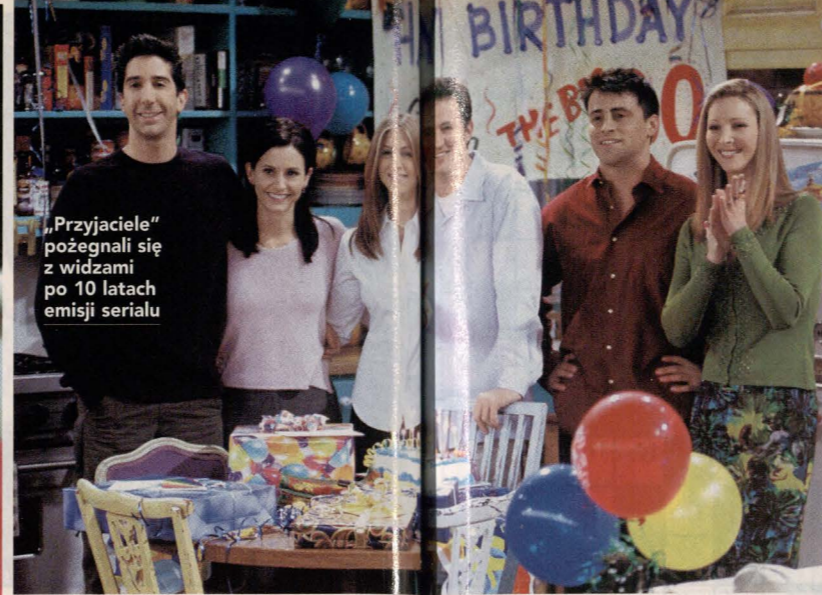
Nie zostawiaj wiadomości bez komentarza. Serwis Wirtualnej Polski umożliwia szybką wymianę poglądów na każdy temat. Wysoki poziom polemiki gwarantują nasi stali felietoniści - Rafał Ziemkiewicz i Daniel Passent. Sprawdź wiadomości, przeczytaj felieton.

...dodaj swój komentarz na www.wiadomosci.wp.pl





„Klan” – nowela, której nigdy nie masz dość?!



„Przyjaciele” pożegnali się z widzami po 10 latach emisji serialu



Bohaterki „Seksu w wielkim mieście” stały się wzorem dla milionów kobiet

(NIE)KOŃCZĄCA SIĘ OPOWIEŚĆ

Widzowie w Stanach żegnają się ostatecznie z serialami „Przyjaciele” i „Seks w wielkim mieście”. Czy czeka nas kiedyś podobny dramat?

W naszym wypadku takim dramatem byłaby śmierć „Klanu” (TVPI), najdłużej emitowanej polskiej telenoweli. Prowokacyjnie można powiedzieć, że pokazany od siedmiu lat „Klan” (ponad 800 odcinków) nie może się skończyć. Przynajmniej w kinowym stylu – trudno sobie wyobrazić happy end sagi rodziny Lubiczów. Przy wielowątkowej fabule wraz ze zbliżaniem się ostatniego odcinka konflikty wokół bohaterów musiałyby stopniowo wygasać, a wyroki losu omijać serialową rodzinę coraz szerszym łukiem. Wtedy twórcom „Klanu” pozostałoby zamknąć serial zbiorowym wniebowstąpieniem Lubiczów.

Mamy już dość

Bardziej prawdopodobne jest to, że nie będzie ostatniego odcinka – serial po prostu się urwie i tylko widz będzie miał poczucie końca. Raczej nie ma co liczyć, że doktor Lubicz pomacha nam ręką na pożegnanie. Istnieje jednak cień szansy, że

tak jak w przypadku „Dynastii” czy serialu „Z archiwum X” przerwaną opowieść „Klanu” będzie znakiem czasu, w którym żyli.

O końcu serialu czy telenoweli decyduje kilka spraw – czasem, jak w przypadku „Przyjaciół”, dość mają aktorzy. Zdążyli na fali popularności serialu zrobić kariery i chcieliby teraz (choćby Jennifer Aniston) pójść o krok dalej i zabytnąć w kinie. Zresztą producenci tego akurat filmu na otarcie łez przygotowali dla widzów nie tylko specjalny, pożegnalny, dwugodzinny odcinek, lecz także przenieśli jedną z postaci, Joego (Matt Le Blanc), do nowego serialu „Joe”.

Czasem jednak dość mają widzowie – oglądalność spada, reklamodawcy odchodzą i serial trzeba zamknąć.

– Jeśli ludzie nie będą już chcieli „Klanu”, nie pomoże mu nawet najgenialniejszy scenarzysta – mówi Mirosław Gronowski z Redakcji Filmów i Seriali TVP1.

– „Klan” tak naprawdę nigdy się nie skończy, bo po wielu latach emisji i tak będzie istniał w świadomości społecznej – dodaje Paweł Karpiński, reżyser, współ-

twórca i producent serialu. – Dla sześciu milionów ludzi, którzy nas oglądają co tydzień, „Klan” będzie znakiem czasu, w którym żyli.

Takim punktem odniesienia w latach 80. dla polskich widzów była „Niewolnica Isaura”. Telewizja pokazała w latach 1984–1985 40 odcinków brazylijskiego wyciskacza łez – oglądalność „Isaury” sięgała niebotycznych 80 procent. – Sukces tego serialu był zaskoczeniem – mówi Mirosław Gronowski. – Polska telewizja odkryła wtedy ten gatunek.

Z kolei na początku lat 90. w niedzielne wieczory Polacy masowo śledzili losy amerykańskich miliarderów Carringtonów rozpisane na 217 odcinków.

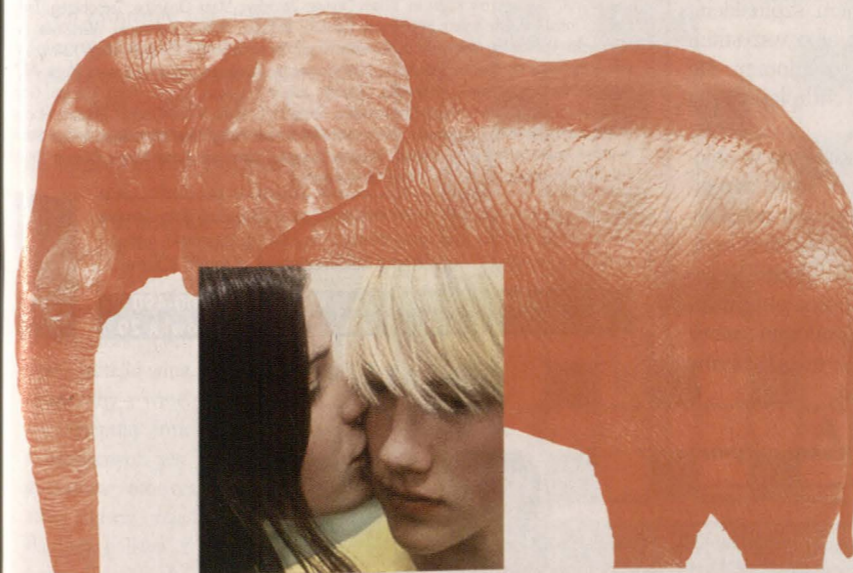
„Isaura” i „Dynastia” jeszcze nie zostały zapomniane – urodzone w latach 80. Isaury wkraczają właśnie w dorosłe życie, czasem nie mając pojęcia, dlaczego noszą tak dziwne imię.

Jak to się skończy?!

W wypadku „Klanu” odpowiedź brzmi: „Nie wiadomo”, scenarzyści myślą

ZŁOTA PALMA
CANNES 2003

NAJLEPSZY REŻYSER
CANNES 2003



Słoń film w reżyserii
GUSA VAN SANTA

Złotą Palmę oraz nagrodę za reżyserię dostał Słoń. To bardzo śmiały i szlachetny wybór. Wszak Słoń to skromny film o wielkim temacie i niezwyklej formie. Tadeusz Sobolewski, GAZETA WYBORCZA

„Nadzwyczajny, znakomity film.”
NEW YORK TIMES

„Jedyny w swoim rodzaju. Niezapomniany.”
LOS ANGELES TIMES

„Niezwykle przejmujący.”
TV GUIDE

w kinach od 7 maja

pytywali się, czy będzie dalszy ciąg – mówi Krystyna Kosicka, redaktor internetowej strony Romantiki. – Niektórzy prosili: „Niech pani chociaż powie, jak to się skończy!”.

Według Gronowskiego na śmierć ulubionego serialu widownia reaguje zawsze tak samo: najpierw przychodzą listy pełne niedowierzania i oburzenia. Że takie działania przynoszą skutek, widzowie przekonali się, gdy po ich protestach TVP zakupiła nową serię „Dynastii”. A w przypadku zagranicznych produkcji trudno miłośników gatunku oszukać. O istnieniu dalszego ciągu mogą się przecież dowiedzieć z Internetu czy obcojęzycznych kanałów w domowej kablówce.

Nie ma co wierzyć, że istnieją w archiwach TVP jakieś ukryte odcinki „Klanu”. Gdy nadejdzie koniec, nieutuleni w żalu widzowie przejdą od razu do kolejnego etapu wymienionego przez Gronowskiego – zaczną atakować nowe programy, które telewizja zaproponuje zamiast telenoweli o losach Lubiczów.

Wszyscy umrą

– Chcielibyśmy dobić przynajmniej do tysiąca odcinków – deklaruje Paweł

Karpiński. – Mamy już pomysły na następny sezon.

W komfortowej sytuacji są wielbiciele telenoweli „Rebeka” (Romantica). Jako znawcy gatunku wiedzą, że wszystkie wydarzenia znajdują swój finał w ślubie Rebeki. Ale to nie wszystko – widzowie, głosząc za pośrednictwem internetowej strony Romantiki, mogą swej ulubienicy wybrać męża, bo twórcy serialu zapobiegliwie przygotowali aż trzy wersje ostatniego odcinka! W Wenezueli i USA wygrał zamożny Eduardo. A w Polsce? – Na razie prowadzi przyjaciel z dzieciństwa, choć bogaty młodzieniec depta mu po piętach – ujawnia Kosicka.

„Klan” cieszy się ogromną popularnością, sympatię do niego deklaruje nawet obecny lokator Pałacu Prezydenckiego. Mimo że serialowej rodzinie przepowiedane jest długie życie, niektórzy wielbiciele serialu już się niepokoją: – Bardzo lubię „Klan”, ale mam pytanie, tam wszyscy tak chorują, czy oni poumierają na koniec? I w ten sposób skończy się ta telenowela? – pyta jeden z nich.

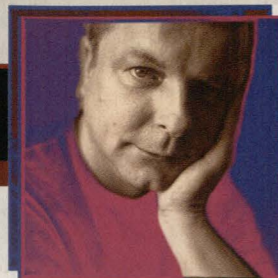
RAFAŁ MADAJCZAK

ŚREDNIA
ROCZNA
OGLĄDALNOŚĆ
„KLANU”:

1997 – 4 240 000
1999 – 8 500 000
2001 – 6 600 000
2004 – 6 500 000



DO BIEGU, GOTOWI, START!
www.MINI.com.pl



TADEUSZ PIÓRO

Czekając na szparagi

Kwiecień ma się ku końcowi, a przednówek ani myśli. Jedynym zwiastunem nadchodzącej obfitości jest młoda kapusta. Wyrabiałem z nią najróżniejsze rzeczy, lecz nie mam czym się pochwalić. Zdecydowanie najlepszy na nią sposób jest tradycyjny i powszechnie znany – kapusta duszona, z cebulową zasmażką, koperkiem i kminkiem. Z nudów zacząłem eksperymentować z musami warzywnymi, korzystając z dostępnych o tej porze roku składników. Rezultaty były całkiem ciekawe.

Mus z pieczonych warzyw podaje się na zimno do chrupkiego pieczywa. Pół kilograma ziemniaków w mundurkach, dwie cebule, cztery czerwone papryki, jednego bakłażana, dwa pomidory i sześć ząbków czosnku smarujemy oliwą i pieczemy w temperaturze 200 stopni. Po godzinie ziemniaki powinny być gotowe, pozostałe warzywa – nieco wcześniej. Należy przewracać je z boku na bok i co pewien czas sprawdzać, czy już dobre. Kiedy warzywa przestygną, obieramy je ze skóry i łupin, po czym miksujemy na gładkie purée w robocie kuchennym. Dodajemy łyżkę octu z czerwonego wina, kilka łyżek oliwy z pierwszego tłoczenia, sól i pieprz. Odstawiamy do lodówki na noc lub na co najmniej cztery godziny. Prosta rzecz, a cieszy.

Nieco bardziej skomplikowana jest zapiekanka – choć skoro słowo *terrina* weszło tylnymi drzwiami do polszczyzny, tak nazwijmy tę zapiekanekę z warzyw i sardeli (takie jest polskie brzmienie *anchois*). Bakłażana, cztery czerwone papryki i dwie cebule pieczemy i obieramy jak wyżej. Kilka filetów z sardeli w oliwie płuczemy w zimnej wodzie i wkładamy wraz z warzywami do robota kuchennego, po czym miksujemy na purée. Liczba

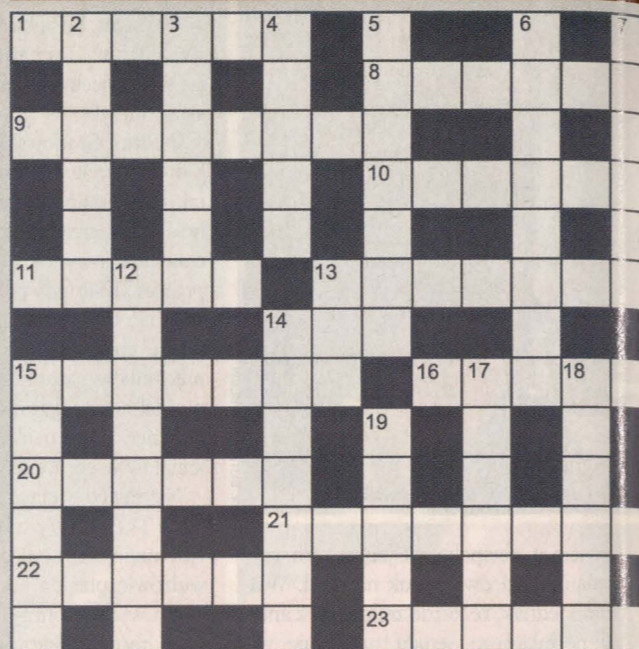
sardeli jest sprawą względną i zależy od indywidualnych upodobań. Można wziąć nawet tuzin tych małych słonych rybek, można ograniczyć się do sześciu. Dla czysto prywatnej satysfakcji wziąłbym ich osiem, lecz domownicy domagają się okrągłego tuzina, więc idę im na rękę. Purée posypujemy białym pieprzem, po czym dodajemy do niego sześć jaj ubitych z ćwiartką słodkiej śmietanki 36-procentowej. Do wysmarowanej masłem podłużnej brytfanny wkładamy masę warzywno-nabiałowo-rybną, brytfannę umieszczamy w kąpielii wodnej i zapiekamy w temperaturze 175 stopni przez godzinę lub nieco dłużej. Kiedy nóż bądź inny szpikulec wbity w środek *terriny* i po chwili wyciągnięty nie nosi śladów bytności w jej wnętrzu, możemy mieć pewność, że danie gotowe. Kiedy *terrina* ostygnie, wkładamy ją do lodówki, przykrytą folią.

Podajemy w plastrach, z sosem winogret zrobionym z octu z czerwonego wina, oliwy z pierwszego tłoczenia, białego pieprzu i – a jakże – kilku filetów z sardeli rozgniecionych widelcem na maź, która zabarwi sos na ziemisty kolor. Dobrze jest otoczyć plastry *terriny* sałatą albo szczawiem, szpinakiem, roszonką czy rukolą albo wszystkim razem i na dodatek pomidorami. Do tego wiejski chleb z chrupką skórką i zimne różowe wino.

W ten sposób 28 kwietnia w oblężonym mieście umilam sobie oczekiwanie na sezon szparagowo-truskawkowy. Być może już za tydzień będę mógł ze stosowną pompą odrząbić jego rozpoczęcie – i koniec oblężenia, podczas którego pogwałcono prawa obywatelskie tysięcy mieszkańców stolicy. Wstyd i hańba. ■

www.przekroj.pl/pioro

KRZYŻÓWKA nr 20



POZIOMO:

- 1. I ŻE CIĘ NIE DOPUSZCZĘ
- 8. KRES KRESÓW
- 9. JEŹDZI OKRESOWO
- 10. JAŃCIO SZUWAREK
- 11. 11
- 13. OŚWIETLA GWIAZDY
- 14. W ALBANI BEZ RECEPTY
- 15. LEŻY NA TWARZY
- 16. STALI W HUCIE
- 20. SAMA JAMA
- 21. BROŃ RUSZANA

22. ŻŁOTY SEDES

- 23. PODPIS ZŁODZIEJZA

PIONOWO:

- 2. NIE TEN NUMER
- 3. ŻAR Z ROZGRZANEGO MU BRZUCHA BUCHA
- 4. OSTATNIA BRZYTWA RATUNKU
- 5. SYNA SYNA SYN
- 6. APACZ NUMER JEDEN
- 7. MYDŁO W KARTACH
- 12. GRA CZASZKĘ W „HAMLECIE
- 13. WNIEBOWŁOSY
- 14. ŚWIECI NA PALUSZKI
- 15. POKRZYWA, CO PŁYWA
- 17. CHWILA DOLNEJ KULMINACJI SŁOŃCA
- 18. DO ODNIESIENIA
- 19. Z CHARAKTEREM

Rozwiązanie krzyżówki nr 17:

Poziomo: 1. ogórek 8. apetyt 9. zaszczyp 10. kolano 11. strzała 13. dieta 15. węzeł 16. szantaż 20. blizna 21. Napoleon 22. rzeźba 23. Anglik

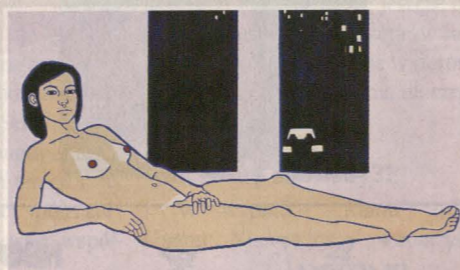
Pionowo: 2. grafit 3. rozkaz 4. krzesło 5. matka 6. atrament 7. strona 12. rozbitki 14. szkapka 15. wybory 17. nocleg 18. Antoni 19. banan

Za poprawne rozwiązanie krzyżówki nr 15 nagrody wylosowali: Marcin Badaruk, Olsztyn; Krystyna Czerwińska, Aleksandrów Kujawski; Adam Doniec, Jarosław; Maria Dziamba, Tarnobrzeg; Tadeusz Gabis, Gorzów Wielkopolski; Małgorzata Gontarz, Koszalin; Adam Grabowski, Warszawa; Leonora Jagłowska, Warszawa; Mirosława Jankowska, Śrem; Jacek Jegliński, Olsztyn; Marta Kalmus, Warszawa; Stanisław Komisaruk, Szprotawa; Józef Konieczny, Warszawa; Anna Kostrzewa, Płock; Andrzej Kozarzewski, Pułtusk; Iwona Krajewska, Gdańsk; Juliusz Krajewski, Słupsk; Anna Kulagin, Gdynia; Agnieszka Kupis, Radom; Hanna Miklaszewicz, Szczecin; Grażyna Miller, Olsztyn; Elżbieta Nucińska, Brójce Lubuskie; Paweł Perkowski, Warszawa; Małgorzata Podgórska, Warszawa; Janusz Sławicki, Szczecin; Iwona Stanisławska, Lisewo; Wiesław Ślusarski, Warszawa; Adam Wnęk, Olsztyn; Krytyka Zielińska, Warszawa; Alicja Żyła, Kielce. **Gratulujemy!**

Pomiędzy czytelników, którzy do niedzieli 23 maja (decyduje data stempla pocztowego) nadesłali poprawne rozwiązanie jolki lub krzyżówki, rozlosujemy 10 egzemplarzy książki **Agaty Miklaszewskiej „Kamyk”** (Czarne).

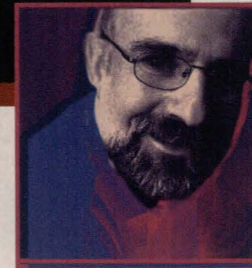
Nasz adres: „Przekrój”, ul. Wiejska 12a, 00-490 Warszawa, z dopiskiem Jolka 20 lub Krzyżówka 20

AGATA BOGACKA



„Kazia”

BIEŃCZYK



MAREK BIEŃCZYK

Straszny sen Tadzia

Tadeusz Pióro, sąsiad z lewej strony, świetny znawca także wina, wyśnił taki oto sen. Został poproszony przez pewną osobę (kobietę? mężczyznę?), by posłużył za pośrednika i przekazał prezent innej osobie (kobiecie? mężczyźnie?). Prezentem okazał się magnum Château Latour. Ponieważ magnum to butelka duża i ciężka, półtoralitrowa, Tadeusz szedł z nią pod pachą jak wopownik z dzidą czy terrorysta z bazooką. Szedł przez miasto pewnie i dumnie aż do chwili, gdy zauważył, że z butelki zaczął się wysuwać korek. Co było robić, Tadeusz pacnął go w łeb, korek wsunął się na powrót, lecz parę metrów dalej wychynał ponownie. Sekwencja powtórzyła się parokrotnie, im mocniej Tadeusz go trzepał, tym szybciej korek wychylał się na nowo jak morda zza krzaka. Tadeusz był coraz bardziej bezradny, a korek coraz bardziej hardy, odpychał dłoń od szyjki, zamieniał się w zieloną glistę, oślizgłą i nieuchwytną. Przerażony Tadeusz skierował kroki do pierwszego na drodze sklepu winiarskiego z nadzieją, że coś poradzą. Wszedł, pokazał swe nieszczęście pod pachą. Sprzedawca spojrzął na Tadzia, spojrzął na butelkę i rzekł dobitnie: – Proszę pana, takiego wina w ogóle nie ma!

Sen z winem w roli głównej nie jest z pewnością powszechny, lecz coraz częściej psuje lub upiększa noce polskich winomanów. Zważywszy, że wciąż ich przybywa, ich wkład w nocne majaki Polaków zwiększa się z roku na rok; obok spoconych mężczyzn, rozebranych kobiet, szefów biegających po korytarzach z majchrem w dłoni pojawiają się w nich w różnych funkcjach (rozebranych kobiet, szalejących szefów) puste czy pełne butelki wina. Mnie samego, wyznam, sny z winem nawiedzają często, zastępując inne koszmary. Jednym z regularnych jest zawodowy sen degustatora: oto rozbawione towarzystwo stawia przede mną zasłoniętą flaszkę, nalewa z niej do kieliszka i rzece: – No, to zgadnij pan, panie mądry, co to za chateau. Kręcąc się,



Przyjemne, majowe, białe węgierskie wina Hilltopa, na przykład Chardonnay-Pinot Grigio, w wielu sklepach

wiercę, przeciągam sprawę, aż wreszcie budzę się spocony.

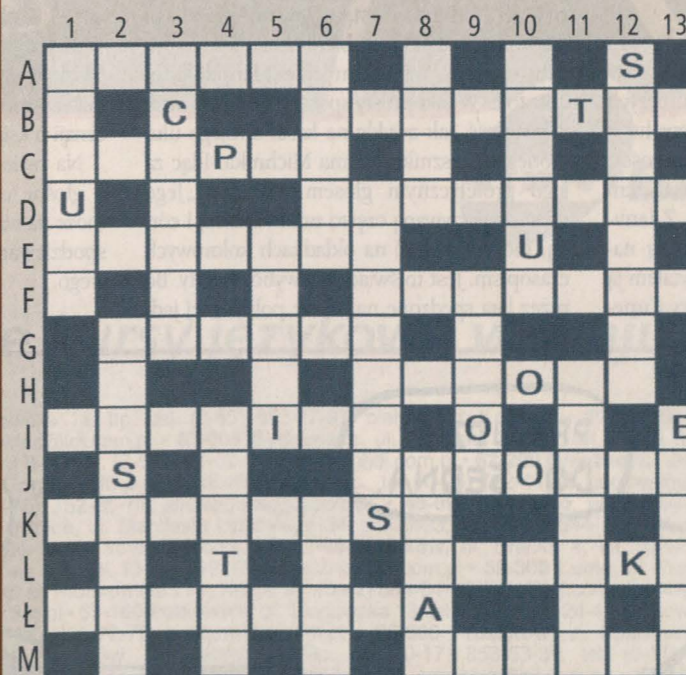
Nic to jednak w porównaniu z innym natrętnym snem, którego się boję, jak niegdyś bałem się w snach gestapowców, a później zomowców. Za każdym razem jego treść jest identyczna, prosta i straszna: przychodzą złodzieje i obrabiają mnie doszczętnie z moich butelek. Rzucam się, budzę w środku nocy ze straszliwym krzykiem. Kot przylatuje przerażony, żona mówi z rezygnacją: „Oho, znowu ci zabrali”. Owszem, zabrali, lecz co mi zabrali? Czym jest wino w tym śnie? ■

www.przekroj.pl/bieńczyk

JOLKA nr 20

OKREŚLENIA PODANO W INNYM SZYKU NIŻ KOLEJNOŚĆ WYRAZÓW W DIAGRAMIE. PO WYPEŁNIENIU DIAGRAMU NALEŻY ROZSZYFROWAĆ NASTĘPUJĄCE HASŁO:

L6 / K1 - F8 - E12 - B8 - L13 / K8 - H8 / M10 - F1 - K2 - A8 / K5 - M2 - G7 - L10 - A2 / C10 - C2 - L6 - M9 - D7 - J8 - F9 - E6 - I11 - I1 - B10 / L2 / H11 - D3 - E2 - D11 - K4 - A1 - K13 - G3 - I3 - L5 - J4...



Rozwiązanie jolki nr 17: TRZYDZIESTOLETNI TAKSÓWKARZ Z PITTSBURGA STRZELAŁ DO TŁUMU NA GŁÓWNEJ ULICY (z „Soboty” Andrzeja Garczarka).

Rzędami: gomółka, Apollo, półtuzin, etos, Kolumbami: siodlarz, apetyt, pryszcz, pluskwa, klocki, staw, warcaby, audi, Bask, damina, unik, Gopło, nawrót, cwibak, małpka, tajga, azot, kaktus, Zeus, rozstrój, Goethe, wziętka. irys, kaszel, krzyżak, otucha, instynkt.

WYRAZY 8-LITEROWE:

- profit z gry
- piarowska katastrofa
- ogórek morza
- manuskrypt w operze
- każdy ma szansę wypłynąć jako zarządzenie
- Drzymała beczki
- akustyka odwilży

WYRAZY 7-LITEROWE:

- siedzisko niecierpliwa
- rajdowa broszka
- myśliwce przyzwoitki
- pierwsze pióro chruśniaka
- ford dla arachnologa
- Gerwazy firmy

WYRAZY 6-LITEROWE:

- zapuszczone lekarstwo

- gąbka Bukki
- odbijka Gdańsk
- niezłomny szczątek
- wśród fal go chwał
- toż ten Tom toczka w toczkę jak książkę
- indyjski „towarzysz” Frydka
- pora śpiwora
- Polska i okolice
- strategia duchów złych

WYRAZY 5-LITEROWE:

- oczy i uszy zamku
- pobudka latarni
- na nim gastryk
- minister zdrowia ostrzegalby przed nimi Twardowskiego

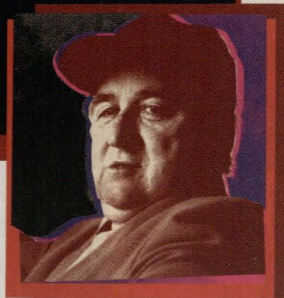
WYRAZY 4-LITEROWE:

- rodzina Pająka
- katolicy na Saharze



ZALEWAJKA

KAZIMIERZ KUTZ



FOT. BOGDAN KRZEL

Apostolski charme

Kiedyś kult jednostki miał charakter urzędowy i przyszedł do nas z końcem wojny, wraz z jałtańskim podziałem Europy. Służył chwale boskich przymiotów Włodzimierza Lenina, Józefa Stalina i jego lokalnych władców. Nasz nazywał się Bolesław Bierut. To były trzy adresy – u nas oczywiście – z których artyści wybierali jeden i musieli coś machnąć na ich cześć; poemat literacki bądź symfoniczny, suitę, powieść, film lub jakiś bohomas. Bez tego nie było co wyciągać ręki do Państwa, a ono potrafiło być hojne. Zabawę tę nazwano ukąszeniem czerwonego pająka, choć rękę wyciągano z własnej woli; ze strachu, wyrachowania albo braku charakteru. Gdyby dziś zebrać wszystkie dzieła spod tego hasła, byłby to zabawny festiwal sztuki, choć pewnie znalazłoby się w tym zbiorze wiele rzeczy wybitnych. Bo zdarzało się (oczywiście w ZSRR), że artyści pod kultowym tytułem przemycali swoje niecenzuralne dzieła.

I tak żył w tejsze Rosji popularny bajkopisarz, który podjął się trudnego zadania opisanie dzieciństwa Wł. Lenina. Był to zbiór uroczych przypowieści o młodym geniuszu rewolucji, przepojonych jego zdumiewającą mądrością i dobrocią. Książeczka stała się bestsellerem warszawskich salonów opozycyjnych. Z Januszem Minkiewiczem podczytywaliśmy ją nawet do obiadu w SPATIF-ie i nieraz czytałem ją także na głos u Stasia Dygata, przy ulicy Curie-

-Skłodowskiej w Warszawie. Prozę tę trzeba było czytać na głos, tak jak się czyta dzieciom bajkę, bo wtedy wyzwał się z niej demon komizmu i ozdrowieńcza radość zasłuchanej zbiorowości. Był to humor najwyższego asortymentu, ale partia rychło połapała się we właściwościach tej książeczki dla maluchów i te uroczyste opowiadania o geniuszu rewolucji radzieckiej wycofano z księgarń.

Myslałem, że już nigdy nie zetknę się z podobnym mechanizmem oddziaływania słowa pisanego. A jednak dożyłem onegdaj takiego dnia, ponieważ zabrano się do preparowania kultu jednostki J.M. Rokity. On sam się zabrał. I raz jeszcze usłyszałem melodie leninowskiego czaru sprzed pół wieku.

Czytam w recenzji jego książki: „Rokita nie byłby sobą, gdyby nie opowiedział anegdoty, jak to kiedyś na dworcu do niego i Michnika podszedł młody człowiek, prosząc o pożyczkę na bilet, bo go okradziono. Michnik natychmiast zniknął. A chłopak okazał się uczciwy. Jego rodzice odesłali Rokicie pieniądze i gorąco podziękowali”. Wystarczy w miejsce Adama Michnika podstawić sobie Judasza i otrzymujemy opowieść o świętym Janie (Marii Rokicie) apostołe. W taki prosty sposób przygotowuje swoją świętość, jak zwykle na koszt swojego ulubionego grzesznika Adama Michnika. Idąc za jego profetycznym głosem, czytamy: „Jego twarz, pokazywaną często razem z żoną i córką, można znaleźć na okładkach kolorowych czasopism. Jest to świadomy wybór Rokity. Bo przez lata spędzone na scenie politycznej jed-

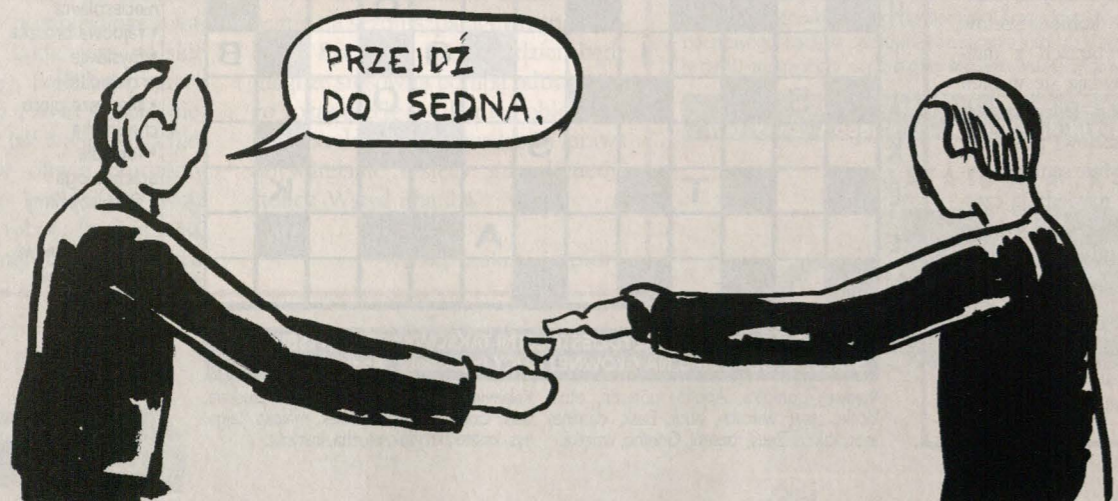
nego nauczył się na pewno – sztuka sprawowania dobrego przywództwa polega na byciu z własnym ludem... Gdy na pytanie o Chopina odpowiada banalnie, że będąc Polakiem, nie można się nim nie wzruszać, ale też gdy chwali Pawła Kukiza, a nawet Kubę Wojewódzkiego i Michała Wiśniewskiego, rozumiemy, że chyba na tym polega to bycie z ludem. Sobą zdaje się być wtedy, gdy mówi o starożytnych Grekach, Bachu i duecie Armstrong – Fitzgerald”.

O ile pamięć mnie nie myli, to „bycie z ludem” u dawnych przywódców ludu nigdy nie miało charakteru działania na pokaz. Raczej związane było z działaniem w obszarach ludzkiej biedy, poniżenia i w ogóle niesprawiedliwości społecznej. Tak było, począwszy od apostołów, Joanny d’Arc, poprzez Gandiego, Martina Luthera Kinga, Wałęsę, a na Lepperze kończąc. Tak, niestety, Lepper potrafi być „z ludem”. Więc jeśli do apostolskich arsenałów działań publicznych Rokity będą służyły jego portrety z rodziną w kolorowych pismach i fałszywe podlizywanie się medialnym idolom, to naprawdę życzę mu – jak PO chce – nowych wyborów do parlamentu w sierpniu. Wtedy będzie już po żniwach, na polach jeno rżyska, zaś kartofle dopiero w dojrzewaniu i lud będzie miał czas, by pójść do urn za swoim przywódcą. Wtedy okaże się, jakie będzie miał imię i jakie nazwisko.

Choć jakaś szansa Rokity „pójścia z ludem” do urn jeszcze się rysuje, wszak dzięki kupowaniu ze znanstwem kaczek i indyków „...przekupki z Kleparza mają mu coś do zawdzięczenia. – Użyłem swoich wpływów politycznych w magistracie i doprowadziłem do postawienia daszków nad straganami – mówi z radością. Bo on zawsze chce tryumfować” – dodaje autor recenzji o książce „Alfabet Rokity”. Ano właśnie!

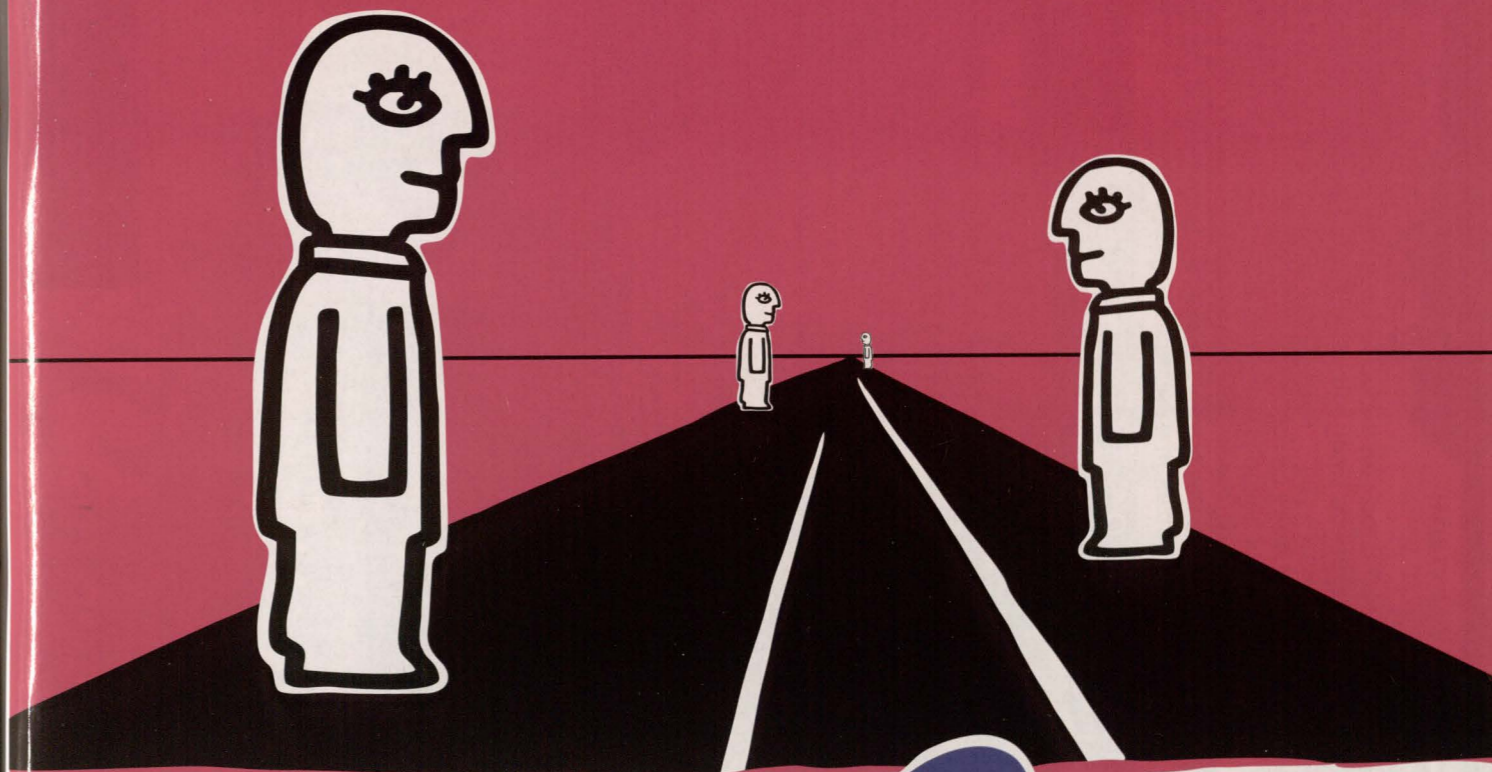
Na razie jeden wniosek ciśnie się na usta – głośne czytanie książek raz jeszcze odżyć może na warszawskich salonach. Byłby to niespodziewany renesans piśmiennictwa kultowego. ■

www.przekroj.pl/kutz



WILHELM SAGNAL

dystans to złudzenie...



JDJ BACHALSKI
www.jdj.com.pl

■ najlepsze kursy językowe w kraju i za granicą

15-062 Białystok, ul. Warszawska 1a, Ilp., tel. (0-85) 653-77-97, bialystok@jdj.com.pl • 59-700 Bolesławiec, ul. Karola Miarki 20, tel. (0-75) 732-44-16, boleslawiec@jdj.com.pl • 85-005 Bydgoszcz, ul. Gdańska 34, lp., tel. (0-52) 322-27-50, bydgoszcz@jdj.com.pl • 80-828 Gdańsk, ul. Długi Targ 8-10, tel. (0-58) 301-32-97, gdaansk@jdj.com.pl • 62-200 Gniezno, ul. Dąbrówki 21, tel. (0-61) 424-44-43, gniezno@jdj.com.pl • 66-400 Gorzów Wilk., ul. Łokietka 32/33, Ilp., tel. (0-95) 722-41-43, gorzow@jdj.com.pl • 58-500 Jelenia Góra, ul. Górna 10-11, Ilp., tel. (0-75) 752-36-71, jeleniagora@jdj.com.pl • 40-096 Katowice, ul. 3 Maja 12, Ilp., tel. (0-32) 609-23-96, katowice@jdj.com.pl • 25-323 Kielce, ul. Manifestu Lipcowego 34, pok. 303, tel. (0-41) 344-78-19, kielce@jdj.com.pl • 62-510 Konin, ul. Chopina 19, tel. (0-63) 244-15-66, konin@jdj.com.pl • 31-005 Kraków, ul. Bracka 4, tel. (0-12) 431-21-79, krakow@jdj.com.pl • 64-100 Leszno, ul. Jana Pawła II 9, tel. (0-65) 529-67-84, leszno@jdj.com.pl • 59-300 Lubin, ul. Piastowska 2, tel. (0-76) 846-68-95, lubin@jdj.com.pl • 90-361 Łódź, ul. Piotrkowska 270, XIII p., tel. (0-42) 684-64-85, lodz@jdj.com.pl • 64-920 Piła, ul. Śródmiejska 24, Il p., tel. (0-67) 215-50-11, pila@jdj.com.pl • 59-100 Polkowice, ul. Głogowska 13, tel. (0-76) 746-24-47, polkowice@jdj.com.pl • 61-737 Poznań, ul. 27 Grudnia 17/19, tel. (0-61) 855-72-78, poznan@jdj.com.pl • 05-800 Pruszków, ul. Kościuszki 8, Ilp., tel. (0-22) 758-15-94, pruszkow@jdj.com.pl • 35-010 Rzeszów, ul. Sokoła 4a, Ilp., tel. (0-17) 853-53-39, tel. (0-17) 858-12-91, rzeszow@jdj.com.pl • 70-412 Szczecin, al. Niepodległości 22, VI p., tel. (0-91) 488-33-66, szczecin@jdj.com.pl • 87-100 Toruń, ul. Św. Katarzyny 4a, tel. (0-56) 652-10-80, torun@jdj.com.pl • 00-549 Warszawa, ul. Piękna 20, tel. (0-22) 627 02 20, warszawa@jdj.com.pl • 50-063 Wrocław, Plac Solny 18/19, tel. (0-71) 341-70-58, wroclaw@jdj.com.pl • 65-454 Zielona Góra, ul. Sikorskiego 27, tel. (0-68) 324-61-09, zielonagora@jdj.com.pl

Z głowy...
Krzysztofa Bilicy
 Komar, brzęcząc,
 prowadzi pierw wojnę
 psychologiczną.



Fot. TAXI/FPM

TOFOTOFO

Występuje:

FAN „STRASZNYCH FILMÓW”

Miejsce: **najlepsze multikino w mieście**

FAN „STRASZNYCH FILMÓW”
 (po kolejnym gagu, donosień):

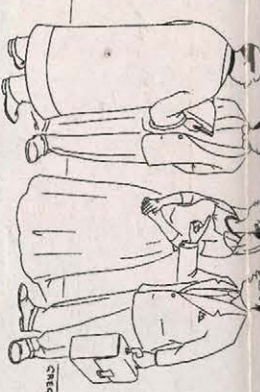
– Buacha, cha, cha, cha!

Zbliżenie: małe, zadziwione oczka, nabiegła brwiga twarz wybitrzywiona w groteskowym grymasie; otwór gębowy, a w nim dwa rzędy zepsutych zębów;

w górnych odnóżach coca-cola i popcorn, dobie na finiszu pomiesz: doko w pozycji półleżącej, odzież poplamiona napojem, wszędzie wokół obruchy przalonej kabanarydzy.

KURJYNA Z ROZPĘDŲ

ZAPADA SIĘ POD ZIEMIĄ



Fot. GREGORY/NEW YORKER

– Mój klient nie musi odpowiadać na to pytanie.

Kino teatrzyk
Przemka Jurka
STRASZNY
Film 3

koszmarny sen
TADEUSZA
SOBOLEWSKIEGO

Rodzina Oblych SOWA

Na lekcji przyrody nauczycielka pokazuje uczniom wy-
 pchaną sowę i opowiada, gdzie ten ptak żyje i jak
 poluje. Każdy może dotknąć sowy. Syn Obly deli-
 katnie gładzi ją po piórach. Żal mu ptaka, który żyje
 uwieczniony. Gdy nikt nie widzi, odrywa sowę od de-
 ski, do której jest przymocowana. – Lec – mówi do
 ptaka i wypycha go przez okno. Sowa spada jak ka-
 mień, ale tuż nad ziemią podrywa się i odlatuje. Inne
 ptaki patrzają na nią zycielwie.

PATRYK PAJAK

DYSTYCHEM O ŚCIANE ZWIERZE STADNE
 Lew – stwierdzono – sam jak palec.
 Dorota Potocka
 Kit wskakują czy też smalec?

HAIKUBRZÓSKI
 Dariusz Brzóska Brzósławicz

Kot

Leży kot koło płota
 Znowu ćwiczy lenia
 Także z niego nierób
 Że go nawet gofłbie podziobały

*** Lepperkaun**
 (nt. Lepperkaun lub
 Lepperkaun)
 – skrzat występujący
 w irlandzkich
 legendach. Ubierany
 w zielony kaubrad
 siedzi na koniku tęczy
 i pilihuje garnika ze
 złotem. Oprócz tego
 psoci, nie się tylko da,
 psoci, nie się tylko da,
 psoci, nie się tylko da.
 Ostatnio coraz
 bardziej popularny
 – jego figurkę można
 kupić w każdym
 irlandzkim sklepie
 z pamiątkami.

Lepperkaun
 Grzegorz Zak

Gdy zrobił, to rozporek zapiął
 Co dziwne, nie zamierzał nawieć
 Sklonił się, niezbyc nisko, gapiom
 I zaczął Lepperkaun przemawiać

Miał wielkie wizje maty krasnal
 Zieloną rozpiął aż kapotę

Musi się – krzyczał – skończyć ten bal...
 Wszystkimi obcecał garniek złota

Ogromne skrzat poparcie zyskał
 Choć płót jak wcześniej grzyw konion
 Czasami pianę toczył z pyska
 Popawiał krawat pulchną dlonią

Wreszcie ktoś wrzasnął – wiwat Lepper
 (huragan braw zagłuszył reszę)
 Ludzie mówili – będzie lepiej
 Akurat mleko znów bezceścił

Tłum wiwatował, gdzieś pies szczekł
 Zaś los pchał dalej karawanę,
 Skwaśniało z jakichś przyczyn miękł
 Kiedy przemawiał znów nad ranem

Tłum coraz większy przykłaśkują
 Wydał się, że nas nie męczy
 Gdy nam Lepperkaun obiecuje
 Gar złota gdzieś na końcu tęczy

TAŚTE
MINUTE

Z tematów naturalnych:
 „Obiecanki cacanki,
 a głupiemu radość” – program
 której partii jest najbliższy
 temu powiedzeniu?
 Krzysztof Pyta